

8452612

5996



# ODKRYWCA SKARBÓW

IWAN SZAPOWAŁ



IWAN SZAPOWAŁ

# ODKRYWCĄ SKARBÓW



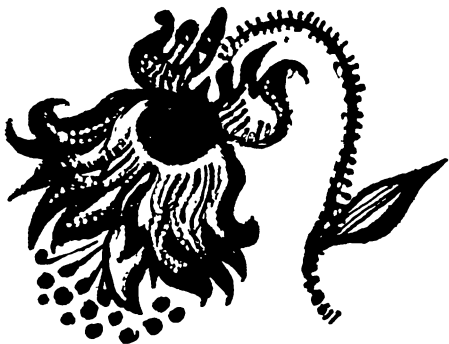


IWAN SZAPOWAŁ

# ODKRYWCA SKARBÓW







**IWAN SZAPOWAŁ**

# **ODKRYWCA SKARBÓW**

**Przełożyła Franciszka Głowacka**

**Nasza Księgarnia Warszawa 1971**

Tytuł oryginału ukraińskiego  
„W poszukach skarbiw”

Redakcja i opracowanie tekstu wydania polskiego  
Jerzy Litwiniuk

Wiersz Tarasa Szewczenki „Ryczy i jęczy Dniepr szeroki” przełożył  
Marian Piechal

Pozostałe wiersze i pieśni w przekładzie  
Jerzego Litwiniuka

Opracowanie graficzne  
Bogdan Zieleniec

Fotografie  
ze zbiorów Muzeum Historycznego w Dniepropietrowsku

## WSPOMNIENIE ZAMIAST PRZEDMOWY

*Któż z nas nie czytał „Trylogii” Sienkiewicza, a w szczególności „Ogniem i mieczem”? Wszyscy chyba czytaliśmy tę powieść w bardzo młodym wieku, kiedy wyobraźnia, nie obciążona jeszcze późniejszymi lekturami i doświadczeniami, pozwala chłonąć dzieło literackie z nieporównaną wrażliwością i emocją. I chyba w każdym z nas powieść ta budziła chęć rozszerzenia swej wiedzy o ludziach i czasach opisywanych przez autora.*

*Z górą pół wieku temu, będąc uczniem gimnazjum — w czwartej czy piątej klasie — przeczytałem Sienkiewiczowskie arcydzieło jednym tchem. A mieszkałem wtedy nad brzegami Dniepru, w mieście, które miejscowi Polacy nazywali Ekaterynosławiem (od oficjalnej rosyjskiej nazwy Jekatierinosław), Ukraińcy — Katerynosławiem, a które dzisiaj zwię się Dniepropietrowskiem. Bez trudu zorientowałem się, że przebywam na teatrze bojów kozacko-polskich, i odtąd znaczną część, wolnych chwil, zwłaszcza w porze wakacyjnej, wykorzystywałem na bliższe i dalsze wycieczki po obszarach Siczy Zaporoskiej. Na wynajętej łódce zacząłem penetrować najbliższe porohy; odległe od miasta zaledwie o kilkanaście kilometrów nosiły nazwę Kajdaskich. Obok nich na brzegu rzeki leżały dwie wioski — Stare i Nowe Kajdaki. W Starych łatwo było odnaleźć ślady dawnej twierdzy polskiej (Kudak albo Kodak). Do największego porożu, zwanego Nienasytceń, czyli Nienasyco-*

nym, gdyż nigdy nie dość mu było ofiar, jechało się drogą lądową około 60 kilometrów, wśród stepów usianych licznymi kurhanami. Widok Nienasytca przejmował grozą: spiętrzenie skał na brzegu i rzecze wytwarzało piekielną eksplozję spienionej wody, która bez ustanku szturmowała głazy, pamiętające jeszcze epokę dzikich Pieczyngów i Połowców. Potężny huk dawał się słyszeć już ze znacznej odległości. W głowie nie mogło mi się pomieścić, że Kozacy zaporoscy przebywali to wodne piekło na płaskodennych łodziach — czajkach. Oczyma wyobraźni widziałem tych śmiałków, jak z nieodłącznymi fajkami w ustach odpychali się wiosłami i drągami od ostrych kamieni, które zewsząd groziły im śmiercią.

Zestawienie obozów historycznych, namalowanych przez Sienkiewicza, z obrazami przyrody ukraińskiej, którą mogłem codziennie oglądać, i z ludźmi, których poznawałem, skłaniało mnie do zastanawiania się nad skomplikowanymi stosunkami, łączącymi, czy raczej dzielącymi, Polaków z Ukraińcami, zarówno kiedyś, jak i współcześnie. Mój zachwyt nad wojennymi czynami rodaków nie malał, ale zarazem rósł podziw dla Zaporozców. Urok dziejów naddnieprzańskiej Kozaczyzny przedziwnie splatał się w moim odczuciu z urokiem dziejów ojczystych. Wspaniałych ludzi nie brakowało ani z jednej, ani z drugiej strony.

Budziły się zaskakujące wówczas mnie samego refleksje: czy to było konieczne, nieuniknione, czy ci wspaniali ludzie musieli wykrwawiać się w długich śmiertelnych zapasach? Dlaczego?

Po rewolucji 1917 roku wprowadzono w szkołach ekaterynosławskich naukę języka ukraińskiego tudzież historii i geografii Ukrainy. Dowiedziałem się o wielu rzeczach, które Sienkiewicz pominął. Przekonałem się, że Ukraińcy są wprawdzie narodem pokrewnym naro-

dowi polskiemu i innym narodom słowiańskim, mają jednak odrębne właściwości i odrębną kulturę, nawet bardzo oryginalną i pociągającą. Przystałem patrzeć na ziemię naddnieprzańskie jako na część Rzeczypospolitej.

Przełomowym momentem w mojej edukacji historycznej stała się lektura książki o Kozakach zaporoskich. Autorem jej był Dmytro Jawornicki, o którym wtedy jeszcze nic nie wiedziałem. Wkrótce jednak zobaczyłem go na własne oczy. Nasz nauczyciel geografii zorganizował wycieczkę szkolną do miejscowego muzeum etnograficznego, zwanego „Muzeum im. Pola”. Ku mojej wielkiej radości okazało się, że dyrektorem muzeum jest właśnie autor przeczytanej przeze mnie książki o Zaporozcach.

Przymiotnik „etnograficzne” nie bardzo odpowiadał charakterowi muzeum; było to właściwie narodowe muzeum ukraińskie. Ekspozycje, które tam ujrzałem, stanowiły jakby żywą ilustrację do moich lektur sienkiewiczowskich: meble, sprzęt wszelaki, stroje i ubiory, broń sieczna i palna (nb. całkiem „po polsku” wyglądająca), malowidła, zwłaszcza portrety wojowników, instrumenty muzyczne, w szczególności słynne teorbany i bandury, fajki, puchary.

Twórca i opiekun tego czarodziejskiego świata pamiętek, Dmytro Jawornicki, był postacią, której się nie zapomina — siwa głowa, wąsy, spokojna, mądra twarz i przenikliwe oczy, w których często błyskały isierki humoru. Prawie się nie uśmiechał, nawet wówczas, gdy słuchacze pękali ze śmiechu, lubił bowiem najpoważniejsze informacje przeplatać zabawnymi dykteryjkami i anegdotami. Był jednym z najpopularniejszych ludzi na całej Ukrainie.

Nauczyciel geografii opowiedział nam pokrótce jego żywót, jego niestrudzoną działalność na polu archeolo-

gii i popularyzacji wiedzy o dziejach Ukrainy; nazwał go „człowiekiem-instytucją”, gdyż jego osobiste dokonania w tej dziedzinie równały się pracy wielu zdolnych i wykwalifikowanych specjalistów. Dmytro Jawornicki sam, nieomal własnymi rękami, rozkopał kilkakaset kurhanów, znajdując w nich bezcenne dla nauki przedmioty.

Byłem jeszcze później nieraz w Muzeum im. Pola. Pewnego razu dyrektor Jawornicki, słysząc, że rozmawiam z kolegą po polsku, przemówił do mnie w moim ojczystym języku; w ogóle znał kilkanaście języków, ale najchętniej i najczęściej posługiwał się ukraińskim. W czasach, o których wspomina, rodziła się nowa państwowość ukraińska. Coraz częściej w szkołach, w urzędach i w życiu prywatnym rozbrzmiewał język Tarasa Szewczenki. Nie podobało się to niektórym szowinistom rosyjskim i polskim, więc próbowali, jak tylko mogli, ośmieszać ten język. I wtedy Dmytro Jawornicki pokazał, jak się to mówi, swój lwi pazur. W muzeum, a później też w nowo otwartym uniwersytecie ekaterynosławskim, gdzie powierzono mu katedrę historii, potrafił całymi godzinami przemawiać po ukraińsku — i to jak! Mowa ukraińska w jego ustach nabierała niesłychanej melodyjności, jej bogactwo frazeologiczne zadziwiało słuchaczy. Profesor przyrównywał ukraiński pod względem dźwiękowym do włoskiego, który przecież słynie z walorów muzycznych. I wszyscy, ci co słuchali Jawornickiego, mogli się przekonać, że nie ma w tym cienia przesady. „Język ukraiński — mówił profesor — może się nie podobać tylko tym, którzy go nie znają albo nie umieją nim władać jak należy”. Na udokumentowanie tych twierdzeń profesor często deklamował wiersze albo śpiewał dumki ukraińskie.

Trzeba było wielkiego patriotyzmu, żeby stworzyć takie dzieło, jak muzeum, które śmiało może być na-

zwane „poematem archeologicznym”, jak również na to, żeby językowi ukraińskiemu torować drogę wśród tylu przeciwności i trudności. Potrafili to ocenić nie tylko ziomkowie profesora, ale i ludzie obcy, zwłaszcza Polacy, którzy przecież patriotyzm mają niejako we krwi. Wśród świątłych Polaków na Ukrainie imię Dmytra Jawornickiego otoczone było szczerym szacunkiem.

Nie ma już dziś porohów dniewprowych — po zbudowaniu słynnej tamy i elektrowni wodnej, zwanej Dnieprogesem, zniknęły na dnie rzeki, ale w pieśniach-dumkach i legendach została ich sława.

Nie ma już dziś profesora Jawornickiego, który do ostatniej chwili swego długiego żywota szerzył rzetelną wiedzę o dziejach Ukrainy. Ale zostało jego dzieło — jego książki, jego zdobycze archeologiczne, bogate muzeum — i pamięć o nim, jako o człowieku wielkiego rozumu i charakteru.

Książka niniejsza ma pamięć tę utrwalić, przekazać sylwetkę wielkiego uczonego i jego zasługi dla kultury ukraińskiej i ogólnoludzkiej młodym czytelnikom. Jej autor to jeden z tych, którzy mieli szczęście pracować w muzealnictwie pod kierunkiem profesora, a więc jeden z tych, którzy mogli go widzieć w codziennej mozolnej pracy. Iwan Szapował, obecny docent Akademii Górniczej w Dniepropietrowsku, z podziwu godną troskliwością zdołał zgromadzić liczne wspomnienia o profesorze Jawornickim i opracować je w formie serdecznej, a pouczającej gawędy. Nie siląc się na błyskotliwość stylu, językiem prostym, ale żywym i barwnym, wysnuł z nich zajmującą opowieść o wielkim uczo-nym ukraińskim, ocalił od zapomnienia mnóstwo szczegółów ciekawego żywota tego wspaniałego człowieka, którym słusznie mógłby się chlubić każdy cywilizowany naród.



*Książka Iwana Szapowała dostarcza wiele wiadomości, niezwykle cennych dla polskiego czytelnika, interesującego się dziejami Ukrainy. Może i powinna przyczynić się do bliższego poznania narodu ukraińskiego, a co za tym idzie — poszerzenia sympatii, którą najlepszy z Polaków zawsze żywili dla swoich braci słowiańskich znad Dniepru.*

**JERZY JĘDRZEJEWICZ**

## DOPÓKI BIJE SERCE

Dmytro Iwanowicz Jawornicki obrał w swoim życiu niełatwą, lecz szlachetną drogę służby narodowi.

*Moją zasadą życiową było — pracuj; pracuj nie zapędzając się naprzód i nie oglądając się za siebie; nie oczekując od nikogo i znikąd nagrody ani podziękii; pracuj ku pożytkowi swego narodu i dla dobra milej ojczyzny.*

Był to człowiek prosty, skromny, ale pełen energii i radości życia. Nie lubił zwracać na siebie uwagi, dlatego może nie mamy o nim drukowanych wspomnień ani tym bardziej — szczegółowej monografii. Ale w Dniepropietrowsku mieszka jeszcze do dzisiaj sporo ludzi pamiętających ciekawe szczegóły z życia tego niezwykłego człowieka.

Dmytro Iwanowicz Jawornicki (Ewarnicki — tak przez wiele lat podpisywał swoje prace naukowe) urodził się w 1855 roku we wsi Soncówce powiatu charkowskiego. Ojciec jego był wiejskim diakiem<sup>1</sup>. Chłopiec uczył się początkowo w domu i już wtedy pokochał pierwszą miłością świat bohaterów Gogoła i Szewczenki<sup>2</sup>. Gimnazjum ukończył w Charkowie.

W 1877 roku wstąpił na wydział historyczno-filozoficzny uniwersytetu charkowskiego, który skończył w 1881 roku. Po czym, zwróciwszy na siebie uwagę wykładowców nieprzeciętnymi uzdolnieniami, otrzymał asystenturę przy katedrze historii Rosji.

<sup>1</sup> Objaśnienia znajdują się na końcu książki.

*Genealogię mam nieświetną — wspominał Jawornicki — dziad i ojciec pisali się Jaworniccy, mnie zaś w szkole jakiś głupiec dopisał E i zrobiono mnie Ewarnickim. A tymczasem chodzi o jawor, drzewo podobne do klonu, tylko o liściach bardziej zielonych, na końcu ząbkowanych.*

Jako student gorąco pokochał historię i kulturę swego narodu, zbierał i zapisywał ludowe pieśni Charkowszczyzny. Bodźcem do tego stały się dlań wykłady znanego językoznawcy O. P. Potebni, którymi Jawornicki się zawsze zachwycał.

Po ukończeniu studiów Jawornicki miał już skrytalizowane zainteresowania naukowe. Zajął się historią Zaporoskiej Siczy<sup>3</sup> i zamierzał napisać o niej rozprawę magisterską.

Młody, budzący nadzieje historyk zostaje w 1883 roku członkiem Towarzystwa Historyczno-Filologicznego, założonego przy uniwersytecie w Charkowie.

Wędrując po ziemi zwanej dawniej Katerynosławszczyzną, Jawornicki zbierał podania, pieśni, bajki, badał zabytki przeszłości, pamiątki historyczne. Po kilkakroć odwiedzał siedziby Siczy Zaporoskiej, przewędrował wybrzeża siwego Dniepru, odnajdował żywych świadków narodowych dziejów.

Po powrocie z wędrowek wygłaszał w Charkowie publiczne odczyty o swoich znaleziskach i w prasie miejscowej drukował artykuły o Kozakach zaporoskich.

Ale te wędrowki, a tym bardziej wystąpienia publiczne młodego uczonego nie budziły entuzjazmu zwierzchności, która uważała je za działalność wywrotową. W roku 1884 dosięgają go represje. Za umiłowanie wolnościowych tendencji Zaporozców, za przywiązanie do ziemi ojczystej, za budzenie patriotyzmu wśród młodzieży zostaje oskarżony o separatyzm<sup>4</sup> i pozbawiony możliwości pracy na uniwersytecie.

Z goryczą pisze o tym Jawornicki do swego przyjaciela:

*Jak ja kocham swoje Zaporozie i jego serdeczne niebożęta! Ale cóż z tego! Czyżbym był separatystą? Ani mi się śniło kiedykolwiek być separatystą. Kocham ten kawałek ziemi. Kocham, bo nic mię bardziej nie cieszy, kocham, bo tam znajduję szeroki przestwór dla mojej wolnej natury, kocham, bo w czystych rzecznych wodach mojej Ukrainy widzę smętne odbicie mojej własnej osoby. Gdybyż to ludzie wiedzieli, jak mi ciężko na świecie! Jedyne radość dla mnie — to wyprawić się w step, pogrążyć się w dawno minioną przeszłość. Czyż to jest separatyzm?*

Po zwolnieniu z pracy (1885) Jawornicki przenosi się do Petersburga, gdzie zostaje nauczycielem historii i literatury. Jednocześnie pracuje w archiwach państwowych, latem zaś prowadzi na Ukrainie wykopaliska archeologiczne. W 1886 roku zostaje członkiem Cesarzowskiego Towarzystwa Archeologicznego w Petersburgu.

W stolicy Dmytro Iwanowicz zetknął się z przedstawicielami kultury rosyjskiej, takimi jak I. Riepin i W. Stasow<sup>5</sup>, a także, w środowisku postępowej inteligencji twórczej, spotkał się z koryfeuszami sceny ukraińskiej: Kropywnickim, Zańkowiecką, Staryckim, Sadowskim, Saksahańskim, Karpenko-Karym, Zatyrykiewicz-Karpyńsk, których znał już dawniej. Często udzielał im porad, gdy wystawiali sztuki o tematyce historycznej.

Wkrótce środowisko to rozproszyło się, a i Jawornickiemu nie dane było na dłużej zagrzać miejsca w stolicy. Przyczynił się do tego ówczesny minister oświaty Dielanow, który dwukrotnie w poufnych pismach domagał się u kuratora petersburskiego okręgu szkolnego, by odebrano Jawornickiemu prawo wykładania w zakładach naukowych stolicy. Dielanow dopiął swego:

w 1892 roku Jawornicki został zesłany na trzy lata do Taszkientu, gdzie miał być pod nadzorem policji, przy czym zabroniono mu wyklądać w tamtejszych gimnazjach.

Podczas pobytu w Azji środkowej Jawornicki pracuje jako urzędnik w kancelarii gubernatora i tu też znajduje czas na badania historyczno-topograficzne i archeologiczne. W roku 1893 publikuje „Przewodnik po Azji środkowej”, a zebrane w Turkiestanie kolekcje przesyła do Petersburga (do Ermitażu) i do Moskwy.

Warto dodać, że pozostający pod nadzorem uczony, sam nie opływając w dostatki, cały dochód ze sprzedaży „Przewodnika” przekazuje na rzecz sierot, których rodzice zmarli na cholereę grasującą właśnie w Taszkencie.

Nie powiodły się starania o powrót do Petersburga. Po prostu jako „wolnomyślny” nie mógł otrzymać posady w stolicy cesarstwa. Dopiero dzięki wstawiennictwu F. E. Korsza<sup>6</sup> i innych uczonych rosyjskich, wysoko ceniących jego pracę, mógł wreszcie Jawornicki w roku 1896 zostać prywat-docentem<sup>7</sup> uniwersytetu moskiewskiego, gdzie aż do roku 1905 prowadził wykłady z archeologii oraz historii Ukrainy i kozaczyzny zaporoskiej.

W roku 1901 Jawornicki obronił w uniwersytecie kazańskim rozprawę magisterską. Podstawą jej był I tom „Historii Kozaków zaporoskich”. Wykładając na uniwersytecie moskiewskim, w dalszym ciągu opracowywał dzieje Siczy i w tym celu wertował archiwa Kijowa, Warszawy, a nawet monasteru sołowieckiego. Chcąc dobrze poznać krainy, do jakich trafiali Zaporozcy w czasie wypraw morskich lub w godzinę niedoli — w jasyrze i na galerach sułtana — jeździł Jawornicki do Turcji, Iranu i Palestyny. Naturalnie najbardziej interesował go Sambuł, stolica dawnego pań-

stwa Ottomanów, nieraz przeklinana w ukraińskich dumkach i podaniach.

W Turcji odwiedził wszystkie miejsca w jakikolwiek sposób związane z historią Ukrainy. Oglądał grób Roksolany<sup>8</sup> i Marusi Bohusławki, owej popówny z Bohusławszczyzny, uwiezionej w XVI wieku do niewoli tureckiej, o której lud ułożył znaną dumkę; zwiedził także „bazyry łez i rozpaczy”, rynki niewolników, na których sprzedawano nieszczęsnych jeńców. Podobne rynki istniały w Smyrnie, Aleksandrii, Tebach i w Sais. Był także w górach, gdzie niegdyś wynędziali niewolnicy łamali kamień i marli z tęsknoty za krajem. Oglądał zamek o siedmiu wieżach, z którego zrzuciono na żelazny hak kniazia Dymitra Wiśniowieckiego, założyciela Siczy Zaporoskiej.

W połowie wieku XVI Dymitr Wiśniowiecki założył na wyspie Mała Chortyca<sup>9</sup> warowny zamek w celu obrony Ukrainy od południa przed nieustannymi najazdami tatarskich harcówników, będących na służbie sułtańskiej. Odtąd mocną stopą stanęli Kozacy na Niżu, objęli we władanie szerokie, nie zamieszkane stopy po obu brzegach Dniepru — Sławuty.

W „Historii Kozaków zaporoskich” D. I. Jawornicki wspomina, że w roku 1564 księcia Dymitra Wiśniowieckiego ujął fortelem w Mołdawii bojar Tomża i wydał go w ręce sułtana Selima II, który od dawna czekał sposobności, by móc się zemścić na walecznym Kozaku, co kością w gardle stanął ordzie krymskiej. Nie bacząc na sędziwy wiek Wiśniowieckiego, kazał go zrzucić z wysokiej wieży na zaostrzony hak żelazny, sterczący w murze nad zatoką morską. Wiśniowiecki żebrem zaczepił się o hak i tak wisiał czas jakiś. Wieść gminna głosi, że zawisnąwszy na haku Wiśniowiecki męczył się srogo, ale się nie ukorzył, jeno przeklinał sułtana i jego pohańską wiarę. Wreszcie Tur-

cy nie mogąc znieść szyderczych urągania strzałami z łuku dobili wiszącego.

Nadludzka moc, odwaga i niezłomność Wiśniowieckiego zdumiały jego oprawców. Wyjęli mu z piersi serce, posiekali je na kawałki i zjedli, aby posiadać jego siłę i męstwo.

Jawornicki wypatrywał śladów swoich „czubatych” przodków pod minaretami Stambułu i na wybrzeżach Morza Śródziemnego, najwięcej jednak czasu i uwagi poświęcił ziemiom dawnych swobód zaporoskich. Co lato jeździł do Katerynosławia (dziś Dniepropietrowska), zbierał materiały do dziejów Siczy, organizował zbieranie znalezisk archeologicznych. W roku 1902 katerynosławski gubernialny Urząd Ziemski<sup>10</sup> i Towarzystwo Naukowe zaproponowały mu objęcie dyrekcji Krajowego Muzeum im. Pola w Katerynosławiu, ale dopiero w roku 1905 Dmytro Iwanowicz mógł przyjąć to stanowisko.

Powodem przeniesienia się do Katerynosławia były zarówno dawne pragnienia Jawornickiego, aby osiąść w pobliżu Zaporozża, jak i tarapaty pieniężne, w jakich znalazł się w Moskwie z racji swojej nieprawomyślności.

W jednym z listów do I. J. Riepina pisał: *Jestem w dalszym ciągu nędzarzem, a przy życiu utrzymuję się z mizernych lekcji w szkole malarskiej Strogonowa, gdzie zarabiam 52 ruble miesięcznie. W druku ukazało się 26 tomów moich prac, mam tytuł magistra historii Rosji, a wciąż jeszcze nie osiągnąłem tego, co się nazywa pozycją w zawodzie. Można się zapracować na śmierć, a pies z kulawą nogą się tobą nie zainteresuje.*

Miał za zadanie uporządkować zebrane w muzeum materiały archeologiczne i historyczne, kontynuować zbieranie eksponatów, zacząć badania archeologiczne.

Jawornicki zabrał się rzetelnie do pracy. Dzięki jego

staraniom zbiory muzeum powiększyły się z 5 do 80 tysięcy eksponatów. Znaczną ich większość zdobył uczyony w miastach i wioskach na terenie dawnych wolnych ziem kozackich lub w rozkopanych kurhanach. Sporą część stanowiły dary od miłośników starożytności. Szczególną wartość posiadały zbiory znanego badacza O. M. Pola, którego imieniem nazwano właśnie muzeum historyczno-archeologiczne w Katerynosławiu.

W ciągu wielu lat pracy Jawornicki nabył własnym sumptem jeszcze wiele innych eksponatów, ocenianych na dziesiątki tysięcy rubli: cenne malowidła, wizerunki postaci historycznych, rękopisy, starodruki, stroje zaporoskie, zbiory monet, i wszystko to przekażał do muzeum. Jego oczkiem w głowie stał się dział starożytności zaporoskich, nie mający sobie równego w całym kraju.

Poszukując tych skarbów uczyony nie szczędził zachodów ni pieniędzy, nie mówiąc już o ryzyku, jakie towarzyszyło jego pionierskiej pracy. W owych wyprawach raz o mało nie utonął w Dnieprze, parokrotnie złamał rękę, kiedyś podczas prac wykopaliskowych przysypała go ziemia; odniósł wówczas poważne obrażenia, po których długo przebywał w szpitalu, a następnie musiał chodzić o kulach.

Przygotowując się do XIII wszechrosyjskiego zjazdu archeologów, mającego się odbyć w roku 1905 w Katerynosławiu, profesor bez subsydiów rządowych, na własny koszt rozkopał w ciągu trzech lat blisko 200 mogił. Większość eksponatów zademonstrował na zjeździe. Weszły one później do zbiorów muzeum.

Dla Jawornickiego badania archeologiczne były czymś więcej niż wykonywaniem swoich obowiązków służbowych. Oddawał im się bez reszty, stanowiły dlań poezję życia. Na jednym ze swoich jubileuszów pięknie o tym powiedział:



Nieraz wędrowałem po dawnych wolnych ziemiach zaporoskich. W czasie tych wędrowek przeżyłem wiele szczęśliwych i radosnych chwil. Jakie piękno, majestat i czar ma wiosną bezkresny step, pełen soczystej zieleni, skąpany w promieniach wczesnego słońca, rojący się od żywych istot, witających nowy dzień, wilgotny od świeżej rosy, przesycony wonią najróżniejszych kwiatów. Jak wielką, niepojętą i niewypowiedzianą rozkosz daje nocleg w otwartym stepie albo gdzieś w szerokim jarze, gdy leżąc na wznak na świeżo skoszonym wonnym sianie wpatrzony w dal bezkresną człowiek rozkoszuje się miękkim, łagodnym światłem gwiazd, pełną piersią wdycha woń stepowych kwiatów, słyszy parskanie koni stojących przy bryczce i powoli, stopniowo sen płącze się z rzeczywistością i wreszcie człowiek całkiem pogrąża się we śnie. A ile dałoby się za to, żeby usłyszeć w otwartym nieobjętym stepie jakąś potężną pieśń, co się wydobywa z setki mocarnych kozackich pieśni. „Dość już, chłopcy, tego kopania! Stańcie dokoła i zaśpiewajcie na pohybel smutkom!” Stają chłopcy szerokim kołem, a ja siadam pośród nich na trawie i słucham pieśni. Od tych pieśni lzy mi kapią na policzki, na wąsy, potem na brodę i piersi — a smutek jakby kto ręką odjął.

Od dawna pragnął Jawornicki zajrzeć do starych cerkwi i tam poszukać przedmiotów o wartości muzealnej. Po długotrwałych staraniach wyjednał od synodu<sup>11</sup> pozwolenie na lustracje starych cerkwi i włączenie do zbiorów muzeum przedmiotów o wartości historycznej i artystycznej, jakie się znajdują w cerkwiach eparchii<sup>12</sup> kateorynosławskiej. W ciągu jednego tylko roku 1906 zebrał ponad 600 okazów starożytności cerkiewnych, reprezentujących dawne rzemiosło artystyczne, głównie z XVIII wieku.

W muzeum dotąd przechowywany jest przedmiot

szczególnej dumy Jawornickiego — lwowskie wydanie „Apostoła”<sup>13</sup> z 1574 roku, pierwsza na Ukrainie księga, która wyszła spod prasy Iwana Fedorowa. Dmytro Iwanowicz nie podaje, gdzie udało mu się zdobyć tego „białego kruka”, wiadomo jednak, że najcenniejszymi pamiątkami szczyła się cerkiew w Pokrowskiem, skąd też zabrał Jawornicki niemało eksponatów.

Dzięki jego zabiegom muzeum otrzymało szereg obrazów z rosyjskiej Akademii Sztuk Pięknych. Napływały także dary od I. J. Riepina i innych prywatnych ofiarodawców.

Z inicjatywy dyrektora w 1909 roku muzeum odkupiło we wsi Kapulówce od włościanki Mazajowej kawałek gruntu, na którym pochowany był ataman<sup>14</sup> kozzowy Iwan Sirko. Wtedy również w twierdzy Kodackiej<sup>15</sup> wzniesiono pomnik Bohdanowi Chmielnickiemu, a w pobliżu porohu<sup>16</sup> Nienasytec umieszczono tablicę z napisem przypominającym, że przy porohach dniprowych w roku 972 zginął książę kijowski Światosław.

Uczony dołożył wielu starań, aby w Katerynosławiu zbudować nowe muzeum, przewyższające rozmiarami i oryginalnością architektury inne muzea w Rosji. Miejsce na ten cel wybrał w sąsiedztwie starego muzeum. Jednakże Zarząd Miasta kategorycznie odmówił, powołując się na generalny plan miasta, na którym w tej dzielnicy nie było już wcale wolnego placu. Ale Jawornicki nie dał za wygraną. Starzy mieszkańcy pamiętają, jak razem z dozorcą muzeum odmierzał krokami wskazany przez siebie plac. W ten sposób udowodnił urzędnikom, że jest miejsce. Wówczas architekt miejski zażądał natychmiastowego przedłożenia planu budowy gmachu.

W roku 1910 na własny koszt wyjechał Jawornicki do Egiptu, chcąc się zapoznać ze zdobyczami tamtejszego muzealnictwa, na owe czasy niebywale postę-

powego. Wkrótce potem, w roku 1912, na wzór muzeum w Kairze rozpoczęto budowę nowego gmachu muzeum w Katerynosławiu. Niestety wybuch pierwszej wojny światowej spowodował wstrzymanie robót.

Pragnąc jak najwszechstronniej odtworzyć świetną przeszłość swego narodu, Jawornicki umiał natchnąć tą myślą także innych ludzi. Nakłonił na przykład znanego malarza-batalistę M. S. Samokysza do namalowania obrazu „Bitwa pod Żółtymi Wodami” i w ten sposób muzeum otrzymało cenny eksponat, przypominający o wojnie wyzwolenczej ludu ukraińskiego pod wodzą Bohdana Chmielnickiego.

Co dzień rano Dmytro Iwanowicz przychodził do muzeum ubrany na czarno, w białej lnianej koszuli z błękitnym i brązowym haftem, z kołnierzykiem związanym błękitną tasiemką z chwaścikami. Na głowie nosił latem słomkowy kapelusz, a w rękę — nieodstępną laskę. Pozostawiwszy w swoim gabinecie kapelusz i laskę, wychodził przez sale muzeum na dziedzińczyk. Miał tam swój rezerwat nietkniętej przyrody. Co rano sprawdzał, czy mu kto nie wygniół lub, broń Boże, nie skosił jego „Dzikiego Pola”. Nieraz bywało, zbliży się do gęstej trawy, zatrzyma się i głęboko zadumany patrzy długo na wysokie chwiejące się źdźbła.

Popatrzywszy na swoje „Dziki Pole”, idzie Dmytro Iwanowicz do gabinetu, ozdobionego wyszytymi ręcznikami, obrazami z życia wsi ukraińskiej, wizerunkami hetmanów i koszowych, portretami działaczy kultury. Tutaj na stole stoi gliniany kubek, który gospodarz darzy szczególnym szacunkiem, jako że jest w nim ziemia zebrana z grobu sławnego koszowego Iwana Sirki, pochowanego we wsi Kapulówce...

Pracując stale w muzeum, Dmytro Iwanowicz chętnie udzielał wyjaśnień zwiedzającym. Oprócz tego miewał często odczyty, pisywał też artykuły na temat współ-

czesnego ukraińskiego życia kulturalnego. Kiedy po rewolucji 1905 roku w Katerynosławiu powstało towarzystwo kulturalno-oświatowe „Proświta”, Jawornicki przez czas jakiś był jego przewodniczącym. Gdy czarnosecinny<sup>17</sup> zarząd miejski wkrótce zamknął „Proświtę”, Jawornicki na jednym ze swoich odczytów wygarnął na cały głos: „Przyjdą jeszcze kiedyś lepsze czasy dla ukraińskiej kultury”. Nie pomylił się — czasy takie nastąpiły po Rewolucji Październikowej.

W badaniach swoich nie poprzestawał na dokumentach archiwalnych, pragnął poznawać z ust ludu stare dzieje, które pamięć gminna przechowała w podaniach, pieśniach, zagadkach. Na własne oczy chciał zobaczyć kraj, w którym żyli Zoporożcy. Nie lękał się trudów — w zakurzonych butach, spalony słońcem jak mieszkaniec stepu, wzdłuż i wszerz przemierzył rozległe dziedziny dawnych swobód zaporoskich.

Mnóstwo materiałów etnograficznych zdobył Jawornicki od ślepców-bandurzystów, pastuchów i robotników zatrudnionych przy wykopaliskach.

*Nie znam — opowiadał — łatwiejszego i prostszego sposobu zbliżenia się do ludu, jak przy rozkopywaniu w stepie kurhanów i mogił. Pracuje przy tym jakichś pięćdziesięciu albo i stu ludzi. I oto raptem lunął deszcz, przerywamy pracę, ale robotnicy pozostają na miejscu, bo przecie trudno będzie ich zebrać znowu, a deszcz popada i przestanie. Czym tu zatrudnić bezczynną gromadę? „Chodźcie no tutaj, chłopaki, włazić mi do namiotu, a kto się nie zmieści, to koło namiotu, i opowiadajcie bajki. Płacę za każdą po kopiejce”. — „Ja za kopiejkę dwie opowiem”. — „A ja trzy”. I już bajki snują się jedne za drugą. Od bajek przechodzimy do opowiadań o diabłach, wiedźmach, upiorach, potem o panach, popach, diakach i chłopach. Zadajemy sobie zagadki, wynajdujemy przysłowia, różne bajdy, porze-*

*kadła, śpiewamy pieśni na kilka głosów. Rośnie mój materiał etnograficzny i w końcu, po serii takich prac wykopaliskowych, wracam z nieprzebrany bogactwem różnych zapisów, które potem wykorzystuję w swoich pracach.*

W wyniku rozległych poszukiwań archeologicznych i etnograficznych powstało dzieło „Śladami Zaporozców”.

Od chwili przyjazdu do Katerynosławia Dmytro Iwanowicz oddaje się całkowicie historii, etnografii, archeologii i organizowaniu muzeum. Ukazują się wtedy w druku jego fundamentalne prace, takie jak „Źródła do historii Kozaków zaporoskich” (1903), „Wolne ziemie Kozaków zaporoskich” (1890), „Pieśni małosyjskie” (zebrane głównie na Katerynosławszczyźnie w latach 1878—1905). Cenny ten zbiór łącznie z dawniej wydanymi materiałami etnograficznymi przyniósł Jawornickiemu rozgłos i sławę, jako jednemu z wybitnych etnografów Ukrainy.

Zamierzając napisać dzieje Siczy Zaporoskiej Jawornicki zbierał materiały z dziedziny słownictwa, które tylko częściowo wykorzystał. Duża część weszła za zgodą uczonego do słownika ukraińsko-rosyjskiego B. Hrinchenki, część — do pierwszego tomu słownika języka ukraińskiego, który wydał Jawornicki w 1919 roku. Reszta, obejmująca prawie 80 arkuszy autorских, spoczywa dotąd w archiwach.

Dużą wartość dla nauki mają zapisane przez Jawornickiego dumy historyczne, pieśni, podania o Semenie Paliju, Iwanie Sułymie, Piotrze Sahajdacznym, Iwanie Sirce, Piotrze Kałnyszewskim.

Dmytro Iwanowicz był miłośnikiem poezji, zachwycał się utworami Szewczenki i Łesi Ukrainki<sup>18</sup>. Sam też próbował pisać wiersze; niektóre z nich drukowane były w pismach, a w roku 1910 wydał je w osobnym

zbiorku. Napisał także szereg utworów prozą w języku ukraińskim oraz zbiór szkiców satyrycznych z życia miejscowych ziemian pt. „Pomiędzy panami”.

W roku 1928 w pięknie ilustrowanym wydaniu ukazała się praca Jawornickiego „Porohy dniewprowe”, napisana żywym, potoczystym językiem. Widziałem niedawno egzemplarz tej książki u miejscowej emerytki-nauczycielki.

„Czemu — pytam — jest taka zniszczona?”

„Bo ta książka nie nocuje w domu, ciągle jest w czytaniu. Jeden chciałby przepisać ciekawe legendy, drugi pragnie się nacieszyć widokami Dniepru, trzeci chce popłynąć do Dnieprogesu, czwartego interesują dzieje okolicy. Toteż doprowadzili książkę do takiego stanu”.

Rozpoczętą w Petersburgu i Moskwie działalność pedagogiczną Dmytro Iwanowicz kontynuował w Katerynosławiu. Uniwersytet katerynosławski 21 lipca 1918 roku powołał go na katedrę historii Ukrainy. Ówcześni studenci wspominają, jak w 1918 roku przed rozpoczęciem wykładów Dmytro Iwanowicz uprzedzał, że będzie je prowadził w języku ukraińskim, a egzaminować z historii kraju będzie po rosyjsku i po ukraińsku.

Po Wielkiej Rewolucji Październikowej na Dniepropietrowszczyźnie badania archeologiczne i etnograficzne nabrały rozmachu.

*Odtąd dla muzeum dniewprietrowskiego — pisał Jawornicki w 1923 roku — zaczęło się gorące, bogate żniwo. W ciągu ostatnich lat muzeum wysunęło się na pierwsze miejsce na Ukrainie, ustępując tylko muzeom Moskwy i Piotrogradu.*

W Związku Radzieckim rozpoczęła się elektryfikacja kraju. Nastał czas, że trzeba było okiełznać siwy Dniepr, a jego nieprzebrane moce wykorzystać dla gospodarki narodowej. Położono podwaliny pod budowę Dnieprogesu.

Pracownikom muzeum powierzono wszechstronne zbadanie obszarów, które miały znaleźć się pod wodą.

— Nikt nam tego nie wybaczy — mówił Dmytro Iwanowicz — jeżeli nie zdołamy przeprowadzić gruntownych badań dnierzańskich brzegów i wysp, które na wieki pokryje woda.

W 1925 roku na kierownika wyprawy naukowej, powołanej do zbadania tego obszaru, wyznaczono najlepszego znawcę historii kraju, profesora Jawornickiego, który też energicznie zabrał się do dzieła. W wyprawie wzięli udział także specjaliści-archeolodzy z innych muzeów i z instytutów naukowych. Prace archeologiczne poprowadzone na szerokim froncie wymagały sporych funduszy. Na skutek starań Dmytra Iwanowicza wyasygnowano z funduszy państwowych trzydzieści tysięcy rubli w złocie, ponadto dopomógł finansowo Komitet Wykonawczy w Dniepropietrowsku.

Zbiory muzealne wzbogaciły się o liczne znaleziska.

Dmytro Iwanowicz pomimo podeszłego wieku brał czynny udział w pracach Akademii Nauk USRR, w prowadzonych przez nią badaniach historycznych, archeologicznych i etnograficznych. Był człowiekiem dużej wiedzy, biegle władał językiem francuskim, niemieckim i greckim. W 1924 został członkiem-korespondentem, a w 1929 roku członkiem rzeczywistym Ukraińskiej Akademii Nauk.

Pracował twórczo aż do śmierci. W roku 1937, mając już osiemdziesiąt dwa lata, napisał „Historię miasta Katerynosławia”, w której zobrazował rozwój przemysłowy i zdobycze kulturalne tego miasta w latach władzy radzieckiej.

*Sześciu carów, poczynając od Katarzyny II — pisze Jawornicki w tej książce — walczyło z porohami dniewnymi, by je zmóc, by uczynić rzekę spławną. Poro-*

hy zostały niezdołyte. Lecz to, co dla carskiej władzy było niepodobieństwem, okazało się możliwe dla władzy radzieckiej. Teraz Dniepr posiada poniżej porohów śluzy, które wysoko spiętrzyły jego wody. Dzięki nim rzeka stała się wolnym od przeszkód szlakiem wodnym, prowadzącym do limanu<sup>19</sup> Dniepru i Bohu, z limanu do Morza Czarnego, prosto do Carogrodu, w lewo do wybrzeży Anatolii, a w prawo do ujścia Dunaju.

Jawornickiego cieszy perspektywa wzrostu Dniepropietrowska jako wielkiego ośrodka przemysłowego, promieniującego na terytorium dawnych siedzib zaporskich.

*Powstanie stukilometrowe, ludne, bogate, wspaniałe miasto przemysłowe, w swoim rodzaju świetny ukraiński Manchester. Przemysł, technika, ekonomia, kultura — wszystko w nim rozkwitnie.*

Władze USRR wysoko oceniły twórcze zasługi D. I. Jawornickiego. W roku 1940 dla uczczenia jego pamięci Prezydium Rady Najwyższej USRR nadało dneipropietrowskiemu Państwowemu Muzeum Historycznemu imię D. I. Jawornickiego i uchwaliło wznieść pomnik na jego grobie. Rada Miejska Dniepropietrowska w roku 1941 postanowiła nazwać jego imieniem jedną z ulic miasta, a w roku 1946 — utworzyć filię muzeum w domku, w którym mieszkał.

Zespół pracowników muzeum, pracując w ciągu dziesiątków lat pod kierunkiem Jawornickiego, dokonał wielkiego dzieła, gromadząc i opracowując ponad 85 tysięcy eksponatów.

Dmytro Iwanowicz pracował, dopóki biło jego serce. W sierpniu 1940 roku zamknął oczy na zawsze. Pochowano go w Dniepropietrowsku. Staraniem społeczeństwa i miejscowych działaczy kultury Rada Miejska w 1961 roku postanowiła przenieść na teren muzeum jego szczątki i płytę nagrobną.



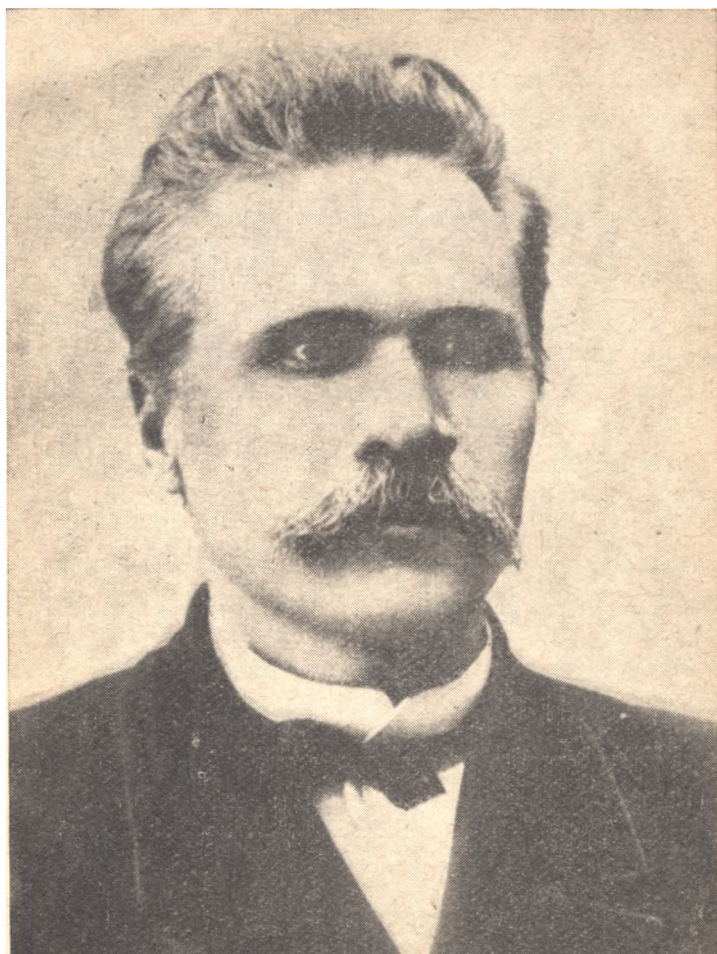
## I TAK TO SIĘ ZACZEŁO

Jeszcze jako student Jawornicki podczas wakacji brał plecak na ramiona i ruszał na zapylone gościńce Ukrainy. W czasie tych wędrówek pilnie badał miejsca walk Kozaków zaporoskich z polską szlachtą i krymskimi Tatarami. Może już wtedy przewidywał, że będzie kiedyś pisał o dziejach Siczy Zaporoskiej, a może czynił to wiedziony czcią dla bohaterskich przodków. Młodzieniec zbierał wszystko, co dotyczyło przeszłości jego narodu. Różnymi sposobami zdobywał dawne narzędzia i sprzęty gospodarskie, rzadko spotykane okazy broni zaporoskiej, samopały<sup>20</sup>, pistolety, sztylety, szable, prochownice, manierki, żupany, obuwie safianowe, fajki.

Gromadził to wszystko u siebie w nadziei, że uda mu się to jakoś lepiej wykorzystać.

Będąc jeszcze dzieckiem, dowiedział się Dmytro Iwanowicz, że na Siczy Zaporozcy przyjmowali do swojego towarzystwa tylko tego, kto przepłynął najniebezpieczniejsze porohy dniewprowe. Chcąc się przekonać, czy jest godzien miana Kozaka, Jawornicki postanowił zaryzykować i przepłynąć przez niektóre porohy. Nie mając należytego treningu, omal nie postradał życia przy tej próbie. Za to jakiej doznał radości, gdy pewnego razu nurkując w rzeczce Skarbnej w pobliżu dawnej Siczy Czortomłyckiej znalazł prawdziwą czajkę zaporoską.

Czajka był to długi drewniany stateczek, mogący pomieścić do pięćdziesięciu Kozaków uzbrojonych w rusznice i szable. Zaporozcy na takich czajkach przepływali niejednokrotnie Morze Czarne, dosięgali Stambułu i wzniecali tam taki popłoch, że sam sułtan nie czuł się bezpieczny w swojej stolicy i ratował się ucieczką w głąb kraju.



*Fotografia D. Jawornickiego z lat młodszych*

Młody uczonek nie mógł, rzecz oczywista, poprzestać na jednym znalezisku. Niczym zawodowy nurek penetrował dno rzeczki, póki nie znalazł tam jeszcze jednej czajki o mocnym dębowym dnie.

Łódź leżała w poprzek prądu i była przycumowana do pierwszej czajki.

Młody człowiek wyszedł z wody, usiadł na pniu ściętej brzozy i zamyślił się. Cieszyć się z tego znaleziska czy nie cieszyć? Skarby jeden za drugim idą w ręce, ale co z nimi zrobić? Łódź to nie fajka, do plecaka się jej nie zabierze. Może to i dobrze, że łodzie znajdują się pod wodą, na razie to najlepsze dla nich schronienie.

Wtedy to chyba zrodził się w głowie Jawornickiego pomysł zorganizowania na Ukrainie muzeum historycznego.

Tymczasem jednak był tylko nauczycielem, wakacje miały się ku końcowi, musiał wracać do swoich uczniów.

Znalazłszy się w następnym roku nad Dnieprem, Dmytro Iwanowicz znowu jął badać dno rzeczne, i to nie tylko rzek Skarbnej i Podpolnej, ale także Dniepru. Nurkując zawzięcie młody uczonek wydawał się być jednym z owych maniaków poszukujących skarbów — nie mało ich wówczas włóczyło się po stepie szukając szczęścia. Ale jego poszukiwania nie były bezpłodnym dziwactwem, kierował się raczej intuicją, bo wkrótce natrafił na skarb, i to jaki! Od razu siedemnaście czajek — cała zaporoska flotylla! Na dnie starego Dniepru obok skutych mocnymi łańcuchami czajek tkwiły także trzy statki kozackie, załadowane wojennym rynsztunkiem.

Czy to był uśmiech losu, czy coś więcej? Cud? Ucieleśnione marzenie rozgorączkowanej fantazji? Jakiż to cud, jeśli czółna naprawdę istnieją! Ilekroć zanurko-

wał, z którejkolwiek strony — czajki pozostawały na swoim miejscu. A ile ich tutaj jest, i to z jakim ładunkiem!

Jeden stateczek był po brzegi załadowany kulami i pociskami, na drugim rozpięta się zardzewiała armata, na trzecim znalazł zakrzywioną szablę oprawną w srebro. Wyglądało na to, że statki są zdobyczne. Ale dlaczego znalazły się na dnie? I czemu leżąc na dnie są na dobitkę połączone łańcuchami? Jakie zdarzenie, jakie okoliczności zmusiły Kozaków do zatopienia swojej floty? Kiedy to się stało?

Wiele do przemyślenia miał tego lata młody Jawornicki w czasie swojej wędrówki brzegami Dniepru. Wiedział, że na dnie rzeki spoczywa skarb. Karta dziejów miłującego wolność narodu. Ile takich „kart” spoczywa jeszcze na dnie Dniepru? Ile jest rozproszonych po chatach albo butwieje w wysokich mogiłach kozackich?

Musi pójść przed siebie tym dniewym szlakiem, szlakiem narodowych skarbów. Musi je odnaleźć.

## WIĘZIEN SOŁOWIECKIEGO KLASZTORU

Jawornicki przeprowadził rozmowy z licznymi historykami i w wielu archiwach szukał zagubionych śladów watażków<sup>21</sup> zaporoskich, ale nie udało mu się dociec, kto i kiedy zatopił czajki w Dnieprze. Im więcej myślał o tym młody uczonec, tym mocniej się utwierdzał w przekonaniu, że zatopienie czajek odnosi się chyba do ostatniej karty dziejów kozaczyzny zaporoskiej. A skoro tak, to czy nie należy klucza do tej zagadki szukać w tragicznym losie ostatniego kozowego atamana Siczy Zaporoskiej, Piotra Kałnyszewskiego?

Myśl ta długo nurtowała badacza, aż w końcu postanowił wybrać się na Sołówki, tam bowiem zesłany był Piotr Kałnyszewski „najwyższym rozkazem” Katarzyny II.

Wiosną 1887 roku Jawornicki rusza w daleką i żmudną podróż. W monasterze sołowieckim, położonym wśród zimnych fal Morza Białego, muszą się znajdować dokumenty dotyczące losu zaporoskich watażków.

Kiedys na Morzu Białym sływał monaster sołowiecki, jeden z ośrodków kultowych starej Rosji, będący również od czasów Iwana Groźnego miejscem zesłania i uwięzienia wielu wybitnych osobistości, niemiłych carom i władzy kościelnej.

Po przybyciu do Archangielska młody uczonek udał się do gubernatora, który przyobiecał mu pomoc w jego poszukiwaniach.

Do monasteru sołowieckiego trzeba było płynąć parowcem przez siedemnaście godzin. Po przybyciu na wyspę Jawornicki wstąpił najpierw do głównej cerkwi monasteru, gdzie przy samym murze zobaczył trzy płyty nagrobkowe. Zobaczył i nie uwierzył własnym oczom: pod trzecią płytą spoczywały szczątki człowieka, dla którego właśnie przyjechał do tej dalekiej i niegościnniej krainy. Napis na płycie głosił, iż *Tu pogrzebano ciało zmarłego w Bogu koszowego atamana Kozaków istniejącej niegdyś groźnej Siczy Zaporoskiej, Piotra Kałnyszewskiego, najwyższym rozkazem zesłanego do tutejszego klasztoru w roku 1776 na pokutę.*

Później, po jakichś dziesięciu latach, napisze historyk:

*Więc to tutaj znalazł miejsce ostatniego spoczynku sławny ataman sławnych Kozaków. Nie sposób wyobrazić sobie bardziej urągliwej ironii losu nad tę, jaka spotkała „sławnego i wolnego” atamana „sławne-*

*go i wolnego" towarzystwa niżowego. Doprawdy, urodzić się i wyrosnąć na łonie łagodnej, czarującej przyrody ukraińskiej, młodość i lata dojrzałe spędzić wśród wolnego Zaporozża, oglądać i całą mocą duszy kochać swobodny, bezgraniczny step, władać i rządzić tysiącami wolnego i dumnego ludu, mieć sprawę z dostojnikami i monarchami, rozporządzać wielkimi bogactwami — by w końcu trafić do ciemnej, wilgotnej celi więziennej, na krańcu świata, wśród zimnego morza, znaleźć się w odległym, głuchym klasztorze, przez dwadzieścia pięć lat męczyć się w ciemnicy, nie widzieć na oczy świata bożego i tylko z rzadka słyszeć głos ludzki! Nie sposób wyobrazić sobie gorszej, okrutniejszej ironii losu!*

Cele, w których przebywali zesłani na pokutę, poważnie zostały już zamurowane. Niektóre tylko można było oglądać za pozwoleniem zwierzchności kościelnej — archimandryty<sup>22</sup> klasztoru sołowieckiego.

Po obejrzeniu cel Jawornicki jął badać archiwum klasztorne. W wyniku mozolnych poszukiwań odtworzył sobie obraz tych przerażających miejsc. Jeden z dokumentów zawierał następujący opis:

*Wszyscy więźniowie niegdyś dzielili się na trzy kategorie: pierwsza to ci, co odbywali pokutę. Mieszka-  
li oni w więzieniu i byli obowiązani codziennie odwiedzać cerkiew. Więźniowie drugiej kategorii przebywa-  
li w osobnych celach pod kluczem. Za pozwoleniem archimandryty wolno im było wychodzić zimą na przechadzkę, latem do pracy. Na ostatku więźniowie trzeciej kategorii mogli wychodzić tylko trzy razy do roku, resztę czasu spędzając w całkowitym zamknięciu. W klasztorze nazywano takich więźniów „wielkimi grzesznikami”. Niektórzy z nich siedzieli w tak zwanej rogatce. Była to żelazna obręcz nakładana na głowę więźniowi, zamykana pod brodą na kłódkę, przytwierdzo-*

ną do dwóch łańcuchów zwisających od skroni. Z obręczy sterczały promieniście długie żelazne kolce. W ten sposób rogatka uniemożliwiała więźniom położenie się na bok, na wznak lub na brzuchu. Można było w niej spać tylko w pozycji siedzącej. Więźniowie trzeciej kategorii albo umierali, albo zostawali „nawiedzeni”, jak mówi lud, czyli popadali w obłąkanie. Wtedy żyli długo. Ponadto w klasztorze pokazywano dwie karczamaty, których już nie używano: Żarawinę i Korczaginę. Korczagina nazywała się tak dlatego, że można w niej było zmieścić się jedynie w skurczonej pozycji. Żarawina zaś z powodu panującego w niej upału. Wszystkie karczamaty mieściły się w murach monasteru. Cele były bardzo małe, okna zaś takich rozmiarów, że można było przez nie tylko wysunąć rękę.

Ale były na tej „świętej” wyspie jeszcze straszniejsze lochy. Mieściły się pod wieżami, których było osiem. Wszystkie wieże zbudowane były w niskich miejscach, toteż do lochów przesiąkała gruntowa woda, co jeszcze pogarszało warunki, w jakich musieli żyć więźniowie.

Z wymyślnego okrucieństwa i nieludzkich warunków słynęła wieża Korozniej. Wprawdzie stała na wysokim pagórku, jednakże w jej podziemiach ukryte było przed okiem postronnych najstraszliwsze więzienie, wyłożone polnym kamieniem. Wrzucano do niego największych zbrodniarzy. Nigdy nie przenikało tutaj światło, a w celach panował ziąb nie do wytrzymania.

Więźniowi skazanemu na przebywanie w tych lochach skuwano żelazem obie nogi z lewą ręką, pozostawiając jedynie wolną prawą, po czym spuszczano go po drabinie do lochu. Drabinę zabierano, otwór przykrywano żelazną płytą, którą odsuwano tylko po to, by podać zbrodniarzowi chleb i wodę. Skostniały z zima więzień nie znał światła ani ciepła. Ciało jego,

zwłaszcza nogi, pokrywało się wrzodami, stawy wykręcał reumatyzm. Odzież więźnia przeistaczała się w łachmany, paznokcie wyrastały na podobieństwo szponów, własne nieczystości zatruwały wyziewami całej loch, a na dobitkę rzucały się na nieszczęśnika zgraje głodnych szczurów. Zastanawiano się, czy można spuścić do lochu kij, aby więzień miał czym je odpędzać. Kwestię tę uważano za tak doniosłą, że zwracano się z nią do stolicy, a zanim nadeszło zezwolenie, szczury przyczyniały mnóstwo utrapień bezsilnym skazańcom. Odgryzały nos, uszy, palce skutych nóg. Co prawda, więźniowie niedługo się męczyli w takich lochach — albo dostawali pomieszania zmysłów, albo rozstawali się z życiem.

Podobne były cele w wieży Przędzalnej. Dość powiedzieć, że jedna tylko ściana tej wieży miała 9 arszynów<sup>23</sup> grubości. W niej to mieściła się cela, panowały tu ciemności i nieznośny zaduch. Dmytro Iwanowicz tak ją opisywał:

*Cela jest nisko sklepiona, wygląda niczym wielki piec do gotowania. Ma cztery i pół arszyna długości, ponad dwa arszyny wysokości. Nie było tu ani pieca, ani okien, ani sprzętów, by móc usiąść lub odpocząć. Światło z zewnątrz docierało przez niewielki otwór w murze, wysoki na pięć werszków i szeroki na dwa; przez ten otwór podawano więźniowi strawę i wodę. Celę zamykało dwoje masywnych drzwi, od środka żelazne, a z zewnątrz drewniane; na jednych i drugich wisiały potężne kłódki.*

W latach osiemdziesiątych zeszłego roku zwiedził Sołówki M. A. Kołczyn, działacz społeczny z Archan-gielska. Zainteresowawszy się losem zaporoskiego atamana, uprosił starych zakonników, pamiętających dzieje klasztoru, aby mu pokazali miejsce uwięzienia Kałnyszewskiego. Kołczyn tak opisuje tę celę:



Pomieszczenie więźnia ma kształt leżącego ściętego stożka z cegły, długości czterech arszynów, szerokości jednego sążnia. Zmurszałe, wilgotne mury, powietrze stęchłe. Promień światła, jakby ukradkiem przemykający się poprzez trzy ramy okienne i dwie kraty, słabo oświetla te straszne kazamaty. Przy takim świetle czytać można tylko w najjaśniejsze dni, wysilając wzrok do ostateczności. Po półgodzinnym przebywaniu w stęchłym powietrzu człowiekowi zapiera dech w piersi, krew uderza do głowy, ogarnia jakieś uczucie bezgranicznego lęku... Nawet najmniej wrażliwy człowiek, zwiedzając to miejsce, nie może powstrzymać jeśli nie okrzyku zgrozy, to przynajmniej westchnienia. I samo narzuca się pytanie: „Czy naprawdę można tutaj żyć? Czyż bywali ludzie na tyle mocni, że latami mogli znosić to zamurowanie żywcem?

Od starych mnichów dowiedział się badacz, że Piotr Kałyszewski przeżył ćwierć wieku w tym kamiennym grobie.

Wartownicy, mnisi i sam archimandryta pilnie baczyli, aby podczas przechadzek albo w cerkwi Kałyszewski nie zetknął się ani nie rozmawiał z obcymi. Kilka zaledwie słów usłyszeli od niego pątnicy. Dowiedział się o nich uczony i wciągnął je do swojej księgi.

Przyszliśmy do refektarza — opowiadał świadek nacowny, włościanin Łukin — przed obiadem, czekaliśmy na mnichów roznoszących stawę, wtedy właśnie przechodził nieznajomy człowiek pod eskortą trzech żołnierzy ze strzelbami i zapytał nas: „Kto jest teraz carem? Jak carowie żyją teraz i jak się wiedzie ludziom na Rusi?” Odpowiedzieliśmy, że carem jest Aleksander Pawłowicz, a żyjemy jak dawniej, dzięki Bogu, szczęśliwie i dobrze. Pytałby nas jeszcze, ale żołnierze nie pozwolili. „Odejdźcie precz od tego człowieka — mówili — odejdźcie, nie godzi się z nim rozmawiać”.

*I mnisi też zabronili: „Archimandryta zobaczy — powiadali — to złaje was za to”. Gdy się zjawił archimandryta, tamten zbliżył się do niego po błogosławieństwo. „Wiekowyś, ziemią cuchniesz” — rzekł doń archimandryta. On rzeczywiście był bardzo wynędzniały i stary. I na tym miejscu ducha wyzionął. Opowiadali później mnisi, że był to jakiś ataman koszowy.*

Jeszcze mocniej wstrząśnięty był Jawornicki, gdy od żyjących jeszcze świadków dowiedział się, w jak ciężkich warunkach przebywał Kałnyszewski w lochu wieży Przędzalnej.

*Kiedy przeniesiono koszowego z Przędzalnej do innego pomieszczenia, to pozostało po nim więcej niż dwa arszyiny nieczystości. Przesiedziawszy tak długo w zamknięciu zdziczał, wpadł w melancholię, utracił wzrok. Wyrosły mu długie zwierzęce pazury, długa broda, a całe jego odzienie, kaftan z guzikami, obróciło się w łachmany i spadało z ramion.*

Jawornicki, nie poprzestając na uzyskanych wiadomościach, nadal zawzięcie wertował archiwa klasztorne. Pracował w niesprzyjających okolicznościach, nie dojadał i nie dosypiał, znosił dokuczliwe zimno i nieraz mimo lata musiał nakładać zimowy płaszcz. Wyteżał wzrok szukając w zakurzonych stosach papieru najmniejszej wzmianki o atamanie koszowym.

Cóż mu opowiedziały archiwa?

Jak podają źródła, ataman koszowy Piotr Iwanowicz Kałnyszewski należał do zamożnej starszyny kozackiej. Stojąc na czele Siczy Zaporoskiej oraz będąc jednym z najbogatszych właścicieli ziemskich na Ukrainie, z natury rzeczy szedł na rękę zamożnemu kozactwu. Za zgodą rządu carskiego prowadził politykę likwidowania wybieralności starszyny i ograniczania praw kozackiej „czerni”. W owym czasie władza kozacka na Zaporozżu straciła już swoje znaczenie i skupiła

się w rękę tzw. zgromadzenia starszyny. Kałnyszewski uczestniczył w wojnie rosyjsko-tureckiej 1768—1774 i okazał się utalentowanym dowódcą. Mimo to w roku 1775, gdy zniszczono z rozkazu Katarzyny II Sicz Zaporoską, został ujęty i osadzony w klasztorze.

Dmytro Iwanowicz natrafił na kopię rozkazu Katarzyny II z dnia 10. VI. 1776, skazującego atamana koszowego Siczy Zaporoskiej, Piotra Iwanowicza Kałnyszewskiego, na zesłanie do monasteru sołowieckiego.

Z dokumentów znalezionych w archiwach klasztornych dowiedział się Jawornicki, że w prześladowaniach ostatniego atamana koszowego Siczy walnie dopomogli Katarzynie jej wszechmocny faworyt Potiomkin oraz „najświętszy” synod. Kałnyszewskiego, jako więźnia „sekretnego” i bardzo ważnego, kazano strażnicy klasztornej pilnować bacznie i surowo. Pilnowali go nie tylko uzbrojeni wartownicy, również mnisi mieli go stale na oku.

Żaden z dokumentów nie podawał, za co Kałnyszewskiego pozbawiono wolności. Dokument taki nie mógł istnieć. Sprawa była jasna i bez dokumentu. Potiomkin i Katarzyna pragnęli jak najszybciej skończyć ze swobodami Zaporozża. Potiomkin złożył na Kałnyszewskiego donos, na podstawie którego watażka kozacki, jako niepożądany dla władzy carskiej, został ujęty, zakuty i wysłany na Sołówki, a Sicz Zaporoską zlikwidowano.

Następnie odnalazł Jawornicki księgi rachunków klasztornych, z których wynikało, że na wiwendę przyznano Kałnyszewskiemu po rublu dziennie. Jednakże odbiór tych pieniędzy za każdym razem kwitowali żołnierze z dozoru atamana, Wasyl Sochanow i Łuka Zubkow. Bez wątplenia pieniądze te jeśli nie całkowicie, to w większej części nie trafiały do rąk więźnia.

Starzy mnisi opowiadali Jawornickiemu, że caryca Katarzyna postawiła atamanowi warunek: „Odzyskasz wolność i majątności, jeśli się wyrzekniesz kozaczyzny”. Kałnyszewski miał ponoć odrzec: „Nie. Albo swoboda kozacka, albo więzienie”.

Po dwudziestu pięciu latach, gdy na tron wstąpił Aleksander I, Kałnyszewski na podstawie carskiego manifestu otrzymał „wolność”. Na cóż mu się zdać mogła, gdy już ataman ledwo powłóczył nogami? Odmówił więc przyjęcia darowanej „wolności” i pozostał na wyspie aż do śmierci, która też nastąpiła w dwa lata później, w roku 1803. Żył Kałnyszewski lat sto dwanaście.

Warto wspomnieć taki interesujący szczegół. Gdy Aleksander I odwiedził Sołówki i zobaczył loch, w którym przebywał Kałnyszewski, to „przejął się zgrozą”. Chcąc jakoś ułagodzić niewinnego męczennika, spytał go car, jakiego sobie życzy odszkodowania za przebyte cierpienia i mękę? Kałnyszewski zmierzył cara pogardliwym spojrzeniem. „Nic mi, monarcho, nie trzeba oprócz jednego: rozkaż, aby zbudowano więzienie dla takich, jak ja męczenników, żeby nie cierpieli w lochach podziemnych”. Car polecił zamurować lochy, ale na ich miejsce takie zbudował więzienie, że więźniowie w nim bynajmniej nie czuli się lepiej niż w lochach.

Zakończywszy poszukiwania śladów Kałnyszewskiego historyk obejrzał osobliwości klasztoru i okolicy, zwiedził także muzeum i starodawne cerkwie, po czym parostatkiem powrócił do Archangielska, a stamtąd na Ukrainę.

Po drodze wstąpił do Kaczanówki na Czernihowszczyźnie, gdzie obejrzał cenne zbiory starożytności zaporoskich, przechowywane w prywatnym muzeum zbieracza Tarnowskiego.

W domu Tarnowskiego przechowywany był także album, do którego w swoim czasie wpisali się M. Gogol, T. Szewczenko i inne znakomitości. Na dwunastej stronie albumu gość napisał:

*Rok 1887, dnia 14 czerwca, dokładnie w 112 rocznicę kasaty Siczy Zaporoskiej, odwiedził Kaczanówkę Dmytro Iwanowicz Jawornicki, powracając z wyspy Sołowieckiej, gdzie był szukał grobu ostatniego atamana koszowego Piotra Iwanowicza Kałnyszewskiego..*

### NA GROBIE SIRKI

Od dawna wybierał się Jawornicki do wsi Kapulówka pod Nikopolem, chcąc odwiedzić grób, w którym spoczywa najślawniejszy ze wszystkich atamanów koszowych — Iwan Sirko. Marzeniu dane było się ziścić.

Bodaj że tutaj, na Nikopolszczyźnie, najwięcej zostało pamiątek po kozaczyźnie. W miejscu dzisiejszego Nikopola przez dłuższy czas znajdowała się Sicz Mykytyńska. Tutaj w roku 1648 obwołano hetmanem Chmielnickiego. Z Siczy Mykytyńskiej Bohdan Chmielnicki wyruszył na wyprawę przeciw szlachcie polskiej.

Przed udaniem się do Kapulówki wspiął się Jawornicki na wysoką Wyspę Czortomłycką i obejrzał ruiny dawnej Siczy Czortomłyckiej, wsławionej wielkimi czynami historycznymi.

Sicz Czortomłycka piętnastokrotnie obwoływała swoim koszowym Iwana Sirkę. Nie przydarzyło się to nikomu innemu w dziejach Zaporozża.

Sirko był duszą licznych zwycięskich wypraw Zaporozców przeciwko Turkom i Tatarom i stawał okoniem tym ukraińskim hetmanom-wielmożom, którzy wchodzili w konszachty czy z nimi, czy z polską magnaterią. Przez lat dwadzieścia pięć odpierał najazdy wro-



*Kubek atamana Sirki*

ga, imię jego budziło postrach w Stambule i Bachczyseraju, tych zaś, co ośmielili się wyruszyć na Ukrainę po jasyr, Sirko dopadał w stepie i na morzu, przez Perkop wdzierał się do Krymu i budził tam taką trwożę, że napastnicy rzucali łupy i czym prędzej wracali, by bronić własnych ułusów<sup>24</sup>.

Wyprawiał się nieraz na tureckie warownie nad Morzem Czarnym, zburzył miasto Oczaków, a w roku 1675 dowodził wspólną wyprawą Kozaków zaporoskich i wojsk rosyjskich przeciwko krymskiej ordzie.

Spośród wszystkich koszowych, jacy byli przed nim i po nim, Sirko był najlepszym wyrazicielem interesów ludu. Stąd brała się jego popularność nie tylko na

Zaporożu, ale także wśród uciemżonego chłopstwa ukraińskiego.

Odwiedzając Sicz Zaporoską Jawornicki oddawał się rozmyślaniom: „Iluż tu było bohaterów o głośnym imieniu, ile spraw miało tutaj swój początek i koniec, ile tu było życia, junactwa, muzyki i poezji! A teraz wi- dać tu tylko smutną wysepkę, porośniętą gorzkim pio- łunem, kryjącą w swoich ruinach niemal trzecią część dziejów Zaporozża”.

W Kapulówce Dmytro Iwanowicz szukał przede wszystkim wiekowych ludzi. Zetknął się najpierw z dziadkiem Kondratem Dywnyczenką, o którym mó- wiono, że to gaduła i kocha się w starych dziejach za- poroskich.

Był to chłop średniego wzrostu, o białej jak mleko czuprynie, siwych, krzaczastych brwiach, oczy miał małe, głęboko osadzone, ale żywe, pełne ognia i hu- moru, a cerę świeżą jak u młodzieńca. Dobroduszny, jowialny dziadek od pierwszego wejrzenia przypadł do gustu profesorowi i pozostawił po sobie miłe wspo- mnienia. Słyszał już coś niecoś o Jawornickim i chęt- nie opowiedział mu kilka podań o Iwanie Sirce i Siczy Czortomłyckiej.

— Było to dawno temu — mówił — kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Od czasów Sirki wiele lat upłynęło, ale sława jego dotąd rozbrzmiewa. Wrogom był strasz- ny, dla prawowiernych łaskawy. Wspomniało mi się, jak to jednego razu Tatarzy uprowadzili chrześcijan, a Sirko ich cudownym sposobem wyzwolił. Właśnie Za- porożcy udali się na wyspę, kiedy wpadli na Sicz Tatarzy i nuże plądrować. Gospodarzyli jak chcieli, wzięli w łyka i uprowadzili wszystkich prawowiernych chrze- ścijan. Ci nie chcą iść, niebożęta, płaczą i narzekają, ale Tatarzy na płacz głusi, pędzą ich bizunami. Zwie- dział się o tym Sirko, zebrał swoich Kozaków i w po-

goń za Tatarami, żeby swoich ocalić. Widzi hetman, że Tatarów siła, a Kozaków garstka i ptakiem polatuje, szuka jakiejś przemyślności. Już Kozacy Tatarom po piętach gonią, gdy wtem Sirko konia zatrzymał i woła do Kozaków: „Stójcie, bracia, czekajcie, nie ruszajcie się z miejsca!” Z konia zeskoczył, cugle drugiemu rzucił i sam — hop! przemienił się w charta, ani takiego ładnego nie widzieli. Dopędził Tatarów, ci go spostrzegli — wielce im się spodobał. Zabrali go, napoili i nakarmili. Tym sposobem chart się u nich zadomowił. Ale kiedy się zatrzymali na popas, zadał im coś takiego, że wszyscy posnęli. Wtedy Sirko piorunem wrócił do Kozaków, wyszykował ich, ruszył na Tatary i posiekał je wszystkie uśpione, a chrześcijanom, co ich było ponad sześć tysięcy, łyka porozcinał. Chrześcijanie cieszyli się bardzo, że na wolność idą, w pas pokłonili się Sirce i Dnieprem popłynęli w rodzinne strony, a Sirko ze swoimi Kozakami na Sicz pocwałował.

Podziękowawszy za gościnę dziadkowi Dywnyczence Jawornicki poszedł do drugiej chaty, gdzie zastał całe zgromadzenie dziadków. Profesor zasiedział się z nimi grubo po północy. Rozprawiano przeważnie o Sirce. Stary Mykyta Jewtuszenko, obdarzony głosem, śpiewał starodawne pieśni. Zaśpiewał też o Sirce, a etnograf notował na gorąco jego słowa. Z kolei śpiewał Dmytro Sukura:

Hej, jak krzyknie on ataman Sirko  
Do rodzonych swoich Kozaczeńków:  
„Osiodłajcież konie, dzielni chłopcy,  
Czas do chana jechać w odwiedziny”.  
Siwa mgła się kładzie nad polami,  
Hej, a Sirko z Siczy się wyprawia,  
Hej, a nam się wszystkim wydawało,  
Ze to orły lecą i sokoły,



A to wojsko sławne zaporoskie  
Krymskim szlakiem na Tatary jedzie,  
Hej, a nam się wszystkim wydawało,  
Że to buja ponad stepem orzeł,  
A to Sirko jedzie na koniku,  
Hej, a nam się wszystkim wydawało,  
Że nad stepem zajaśniało słońce,  
A to wojsko sławne zaporoskie  
Na konikach wronych harcujące,  
Hej, a nam się wszystkim wydawało,  
Że to miesiąc wyszedł zza burzanów,  
A to Kozak Sirko, Kozak Sirko  
Półksiężycem ścisnął bisurmanów...

A więc to tutaj kryją się pamiątki historii, wśród samego ludu! Serdecznie dziękował Jawornicki dziadkom za opowiadania i pieśni. A kiedy zaproponował urządzić stypę na mogile Sirki, Staruszkowie chętnie na to przystali.

Nazajutrz nałowili ryb w Czortomłyku, razem z Dmytrem Iwanowiczem ugotowali dobrej juszki<sup>25</sup>, wyciągnęli „gorzałczynę” i zaczęły się „wypominki” sławnego kozowego Iwana Sirki. Pierwszy kielich wylał Jawornicki na grób Sirki, a potem czynił honory starcom.

Na kamieniu nagrobnym przeczytał: *Roku Pańskiego 1680 dnia pierwszego sierpnia oddał ducha Bogu sługa boży Joan Sirko Dmytrowicz, kozowy ataman wojska zaporoskiego.*

W czasie gdy Dmytro Iwanowicz wpisywał te słowa do notatnika, zebrało się przy grobie sporo ludzi. Jeden ze staruszków poradził Jawornickiemu, aby się wybrał do Hryćka Bezszańka, który ponoć ma jakieś zaporoskie starocie.

Poszedł Jawornicki. Skręciwszy w zaułek, ujrzał stojącego przy wrotach szczupłego, niewysokiego starszaka.

— Nie wiecie, dziadku, gdzie tutaj mieszka Hryćko Bezszańko?

— Tutaj mieszka Hryćko, ale nie Bezszańko, tylko Taran, a przydomek ma „Słaby”.

— A więc to wy jesteście?

— Ano ja.

Usiedli sobie na przyzbie i dziadek długo opowiadał Jawornickiemu o Siczy, o Sirce, o zawadiackich, pełnych fantazji Zaporozcach.

#### LEGENDARNY RYCERZ

Z ust do ust, z pokolenia na pokolenie przechodziły opowieści o legendarnym watażce zaporoskich Kozaków, Iwanie Sirce. Długo i pieczołowicie zbierał Jawornicki dumki, pieśni, podania, a także udokumentowane materiały historyczne o Sirce. W roku 1894 wyszła w Petersburgu jego książka „Iwan Dmytrowicz Sirko, sławny ataman koszowy wojska zaporoskich niżowych Kozaków”.

Przerzucmy karty tej monografii, a przy okazji również i innych książek, w których znajdują się wzmianki o tym rycerzu.

Był on synem Kozaka z Merefy na Charkowszczyźnie. Podanie głosi, że Sirko urodził się z zębami, i kiedy babka-położna zbliżyła się z nim do stołu, złapał i zjadł pierożek. Był to niechybny omen, że przez całe życie gryźć się będzie z wrogami.

Chociaż Sirko nie pobierał żadnych nauk, jednakże posiadał wielkie wrodzone zdolności dowódcze. Zarówno przyjaciele, jak wrogowie oddawali mu w tym spr-

wiedliwość. Współcześni mu dziejopisowie porównywali go z Czingiz-chanem i Tamerlanem, a Tatarzy, którym szczególnie zalaż za skórę, nadali mu miano szejtana<sup>26</sup>. Analizując jego charakter i działalność można stwierdzić, że był on wcielonym ideałem zaporoskiego wojownika: waleczny, mężny i przemyslny.

Cały swój wiek dojrzały spędził Sirko na wojnie i jako szczerzy patriota poświęcił je walce z nieprzyjaciółmi ojczyzny. Niestrudzenie wyzwał z tatarskiej i tureckiej niewoli wszystkich, których ten gorzki los spotkał, mniejsza, czy to był Rosjanin czy Ukrainiec, Polak czy Litwin.

W bojach z nieproszonymi gośćmi był niezwykle odważny i nie cofający się przed niczym, zawsze umiał wyjść cało z najgorszej opresji. Z dziesięcioosobową garścią straceńców rozpraszał setki nieprzyjaciół, a kiedy rozporządzał setką Kozaków, dawał radę tysiącom.

Miał swoje porzekadło: „potrzeba łamie prawo”. Przeto podobnie jak wszyscy Zaporozcy, którzy od czasu Bohdana Chmielnickiego uznawali nad sobą protekcję cara rosyjskiego, jednakże wedle dawnej tradycji mieli się za wolnych i niezależnych, Sirko czuł się w prawie utrzymywać stosunki z ościennymi państwami i decydować samodzielnie o pokoju i wojnie.

Ulubieniec kozackich rzesz, był Sirko duszą Zaporoskiej Siczy. Przez wiele lat obierano go atamanem, bo Zaporozcy utrzymywali, że nie ma mądrzejszego nadeń watażki.

Podanie mówi, że Sirko dawał radę nie tylko ludziom, ale i diabłu. U Jawornickiego znajduje się wzmianka: rzeka Czortomłyk, na której znajdowała się Sicz za czasów Sirki, stąd wzięła nazwę, że zabił w niej Sirko czarta, który właśnie pluskał się w wodzie. Czart tylko fiknął do góry nogami, gdy Sirko wygarnął do niego z pistoletu.



*Fragmety malowideł ściennych w mieszkaniu  
D. Jawornickiego*

Na dziejowej arenie Sirko pojawia się najpierw jako pułkownik winnicki, a już w trzy lata później staje na czele Siczy Zaporoskiej. Walny udział bierze w wojnie wyzwoleniczej narodu ukraińskiego w latach 1648—1654, broni Ukrainy przed ustawicznymi najazdami Turków i Tatarów. Nieprzejednany nie tylko dla wroga z zewnątrz, ale i dla swoich, jeżeli dali się skaptować nieprzyjaciołom (hetmani: I. Wyhowski i P. Tetera <sup>27</sup>).

W pięćdziesięciu pięciu bitwach potykał się Sirko i zawsze — z wyjątkiem jednej — wychodził zwyciężcą.

Otaczała go sława prawdziwa i zmyślona. *On musiał znać jakoweś zaklęcie. Rozkaze nieraz swemu giermkowi: „Weź no, chłopcze, pistolet, stań tam i strzelaj mi w rękę!” Giermek bierze pistolet i trach go w rękę. A Sirko jeno chwyci w dłoń kulę, ściśnie ją i odrzuci z powrotem.*

Gdy w roku 1672 stanął na czele opozycyjnej starszyny, która nie chciała obwołać hetmanem Ukrainy Samożłowicza <sup>28</sup>, władze carskie za poduszczeniem tamtego zesłały Sirkę na Syberię do Tobolska.

Car Aleksy Michajłowicz nie żywił przyjaznych uczuć dla Sirki, jednakże przypomniał sobie o zesłańcu, gdy trzysta tysięcy Turków przekroczyło Dunaj, zalewając czambułami Podole, a potem prąc na Kijów i zagrażając Rosji. Wtedy to car poczuł się zmuszony uwolnić niepokonanego watażkę.

Przedtem jednak zaprosił do swego pałacu patriarchę i w jego obecności zmusił atamana do złożenia przysięgi na wierność carskiemu majestatowi.

Po powrocie z zesłania Sirko przedsięwziął kilka wypraw na chana krymskiego i na warownie tureckie nad Morzem Czarnym. Pod jego wodzą Zaporozcy wyzwolili z jasyru liczne rzesze brańców z Rusi i Ukrainy.

Sicz dla Tatarów była ością w gardle, nie dawała im pohulać na rozłogach Ukrainy i Rosji. Wiele kłopotów sprawiali niżowi rycerze chanowi krymskiemu i tureckiemu sułtanowi.

Sułtan Mahomet IV nosił się od dawna z myślą o zawładnięciu Siczą. Próbował najpierw zhołdować Zaporózców, ale mu się to nie udało. Postanowił przeto zniszczyć Sicz, a równocześnie zadać śmiertelny cios całej kozaczyźnie.

W wielkiej tajemnicy ułożył wspólnie z krymskim chanem plan najazdu na Sicz. Z tą właśnie myślą zwołano nadzwyczajną radę tatarskich dostojników — agów i mirzów.

Gdy już wszystko było gotowe, sułtan dnia 8 lipca 1674 roku wyprawił na galerach z Konstantynopola do Krymu piętnaście tysięcy janczarów, a chan krymski poruszył czterdzieści tysięcy ordy. Z nadejściem zimy Sicz Zaporoską miano zetrzeć z oblicza ziemi.

Podstępny atak miano dokonać na Boże Narodzenie, gdy po sutej wieczerzy wigilijnej Kozacy zapadną w sen głęboki. Wtedy to będzie można mieszkańców Siczki podejść z nienacką i wyciąć w pień.

Nadeszła zima, mrozy skuły lodem Dniepr. Posadzono na koń janczarów i chan na czele swojej ordy powiódł na Ukrainę wojsko, utrzymując je dla niepoznaki z dala od Dniepru.

Pisze Jawornicki, że na trzecie święto Bożego Narodzenia, późną nocą, zbliżył się chan do Siczki i z nienacką zagarnął czatę stojącą opodal kosza. Starzy, zahartowani Kozacy z czaty, chociaż ich wzięto na mękę, przecie nic nie wydali. Ale był tam także młody Kozak, który dał się skusić przyobiecaną wolnością i nagrodą, i opowiedział, że Kozacy się popili i śpią w kureniach<sup>29</sup>, do Siczki zaś dostęp jest przez jedyną otwartą furtkę.

Uradowany chan posłał janczarów z przewodnikiem

do Siczy, rozkazując im wyciąć wszystkich pograżonych we śnie Zaporozców, Sirkę jedynie kazał pochwyć żywcem.

Jednocześnie otoczył Sicz wojskiem, by żaden Kozak nie uszedł rzezi. Jednakże nie sądzono było zwycięstwo chanowi. Starym zwyczajem, właśnie na Boże Narodzenie Kozacy, zimujący na wyspach dniewprowych i niżowych łęgach, tłumnie przybywali do kosza na wybory starszyny wojskowej. Oni również nocowali w kureniach, ale byli trzeźwi.

Noc była mroźna. Nie przewidując chytryści nieprzyjaciela, Zaporozcy zaryglowali swoje kurenie i spali snem sprawiedliwych. Janczarowie przez otwartą furtkę weszli cicho na teren Siczy, zatarasowali wyjścia, opanowali baterie i już mieli rzucić się na śpiących, ale właśnie w jednym z kuren, gdzie nocowało stu pięćdziesięciu chłopów, zbudził się Kozak, którego zwano Szewczyk. Wyrzwał i oczom własnym nie wierzy — na wszystkich ulicach Siczy czarno od Turków.

Sprytny Kozak nie stracił przytomności umysłu, gwizdnął z cicha na tych, co nie spali i grali w karty, zbudził pozostałych towarzyszy. Ataman kurenia na wiadomość o podstępny napadzie rozkazał części Kozaków brać muszkiety i pozajmować stanowiska przy oknach, aby móc nieprzerwanie strzelać w ciżbę Turków; innym kazał ładować rusznice i podawać je strzelającym — wszystko to wykonano cicho i sprawnie — po czym kurenioy kazał otworzyć okna i dać ognia do janczarów. Salwy z muszkietów pobudziły śpiących i rozjaśniły noc ponad Siczą. Z innych kuren także rozległy się strzały. Nieprzyjaciel był widoczny jak na dłoni; z okien grad ołowiu leciał na janczarów, którzy wpadli w popłoch, miotali się bezładnie po ulicach szukając ocalenia, ale wszędzie dosięgał ich morderczy ogień muszkietów.



*Atak jazdy zaporoskiej na obóz tatarski — rysunek*

Kiedy już niewiele zostało przy życiu, na komendę Sirki wstrzymano ogień, a z kureniów wyskoczyli Kozacy zbrojni w muszkiety, łuki, spisy, szable, poniektórzy nawet z kijami w rękę. Rozpoczęła się walka wręcz.

W porannym słońcu ukazał się oczom straszliwy obraz pobojuwiska. Ulice były zasłane kostniejącymi ciałami. Z piętnastu tysięcy janczarów zaledwie półtora tysiąca zdołało ująć z Siczy tą samą drogą, którą przyszli. Do niewoli wzięto stu pięćdziesięciu janczarów i czterech agów, a poległo trzynaście i pół tysiąca nieprzyjaciół. W starciu wręcz zginęło pięćdziesięciu Kozaków, a osiemdziesięciu odniosło rany.

Kiedy chan stojący obozem w pobliżu Siczy usłyszał o tej klęsce, zwinął obłężenie i czym prędzej uszedł, oglądając się tylko, czy go nikt nie goni.

Sirko niezwłocznie wysłał w pogoń dwa tysiące Kozaków, sam także dosiadł konia i jął ścigać chana, lecz ten uciekał szybciej od wiatru.

— Co mamy, bał'ku, robić z trupami janczarów, zakopać je czy jak? — pytali Sirkę Kozacy.



— Nie, nie chowajcie bisurmanów w naszej świętej ziemi. Wybijcie w wodzie dużo przerębli i do Dniepru ich — niech popłyną tam, skąd przyszli.

Szybko doszła tureckiego sułtana wieść o niesławnej porażce janczarów w Siczy. Zapałał gniewem na swego wezyra, który go namówił na tę nieudaną wyprawę, chciał ukarać go gardłem, ale się rozmyślił i darował mu życie, jednakże przywłaszczył sobie całe jego miemie, jego samego zesłał na wyspę Rodos.

Po tej porażce Turcy długo nie ośmielali się atakować Siczy. Sirko zaś nie pozostał im dłużny.

W końcu lipca 1675 roku zwołał Radę zaporoskiego towarzystwa, na której uchwalono wziąć pomstę na chanie za zbójcki napad na Sicz. Ataman koszowy polecił wojsku przygotować się do wyprawy oraz zaopatrzyć się w żywność i „municję” na przebieg trzech tygodni.

Sirko wybrał dwadzieścia tysięcy najwaleczniejszych Kozaków, przeprowił się przez Dniepr i spadł niczym burza na Krym.

Chcąc zmylić czujność Tatarów, wyruszył nie wprost na Perekop, ale skierował się w lewo, w step, po czym szybko przeprowił się znanym sobie brodem przez Siwasz.

Wszystko zostało wykonane zgodnie z założonym planem. Sirko z czterema tysiącami Kozaków pozostał przy „wrotach do Krymu”, to jest przy zalewie Siwasz. Reszta wojska, podzielona na kilka zagonów, pod wodzą doświadczonych watażków wyprawiała się na Krym, aby „połaskotać dymem” chana. Wszystkim zagonom nakazano piątego dnia stawić się u brodu. W ciągu tych pięciu dni Kozacy przewrócili do góry nogami cały Krym, pustosząc ogniem i mieczem miasta i ułusy. Chan ledwie zdążył uciec z Bachczyseraju i ukryć się w górach wraz z agami i mirzami, a za nimi, ratując się

przed Zaporozcami, uciekali Tatarzy. Kiedy zaś chan się dowiedział, jak niewielkimi siłami Sirko napędził trwogi całemu Krymowi i którędy się dostał do jego państwa, rzucił się na czele pięćdziesięcioletniej ordy do „Zgniłego Morza” — Siwaszu — chcąc odciąć Kozakom drogę odwrotu.

Jednakże ataman koszowy uprzedził chańskie zamysły...

Gdy Zaporozcy wracali z łupem do brodu, natknęli się na ordę jadącą naprzeciw Sirki. Uderzyli na nią z tyłu, rozbili czambuły tatarskie, zagarnęli do niewoli kilka tysięcy Turków i Tatarów i mało brakowało, a byliby schwytali samego chana.

Po tym świetnym zwycięstwie wojsko zaporoskie zajęło ogromne stada owiec należące do Tatarów i wyzwoliło z jasyru brańców, a następnie przepравиło się przez Siwasz i wróciło na Zaporozże.

W Siczy postanowiono godnie uczcić to zwycięstwo. W ciągu dwóch dni, przy nie milnącym huku armat i paleniu z muszkietów, ucztowało siczowe towarzystwo.

A gdy umilkły echa świątecznej palby, Sirko razem z kozacką gromadą napisał w dniu 23 września 1675 roku do krymskiego chana szyderczy, urągliwy list, w którym ataman koszowy zawiadamiał bachczyserajskiego władcę, że najście Kozaków na Krym spowodowali sami Tatarzy swoim podstępным napadem w czasie Bożego Narodzenia. List przypominał chanowi dawną sławę rycerzy zaporoskich i dawał mu przestrożę na przyszłość.

Przytaczamy go w skrócie:

*Jaśnie wielmożny mości chanie krymski z licznymi ordami, bliski nasz sąsiedzie! Ani myślelibyśmy, wojsko niżowe zaporoskie, wszczynać wojnę i nieprzyjaźń z waszą miłością chańską i z całym krymskim pań-*

stwem, gdybyśmy nie ujrzeni jej początku z waszej strony; wasza chańska miłość usłuchawszy niedobrej rady obłąkanego i szalonego wezyra carogrodzkiego, a następnie rozkazu najjaśniejszego i najwielmożniejszego sułtana swojego, wszczęła z nami zeszej zimy wojnę. Przychodziliście do nas, niżowego wojska zaporoskiego, z sułtańskimi janczary i z wieloma krymskimi ordami, zakradłszy się nocną porą do naszej Siczy i zagarnąwszy czaty nasze, co jej strzegły, posłaliście w Sicz piętnaście tysięcy janczarów, którym przykazaliście — za co hańba się wam należy — nie po rycersku wyróżnąć i wygubić nas junaków, zaporoskie wojsko, we śnie pogrążonych, nie spodziewających się znikąd napaści, a siczowe gniazdo nasze do cna zrujnować i zniszczyć. Sama zaś wasza miłość z ordami stała wedle Siczy, aby żywa dusza z naszych junaków nie uszła. Lecz zamiary wasze i pomysły Chrystus Pan i najmiłosierniejszy nasz Zbawca obrócił na dobro, a niemoc i plagi na głowę tureckich janczarów, o czym wasza chańska mość wie najlepiej. Nie spodziewając się po was żadnej złej myśli ani tajnego działania (jako żeście chcieli podejść skrycie ludzi rycerskiego stanu), nie zasadzaliśmy się na was, zaniechaliśmy ostrożności i nie byliśmy gotowi, by się wam przeciwzić. Sam jeno Pan Bóg Zbawiciel zachował nas i obronił od waszej napaści i naszej klęski. A że wasz postępek zmartwił nas i przyczynił nam, wojsku zaporoskiemu, utrapienia, przeto wzorem przodków i braci naszych postanowiliśmy za ubliżę i strapienie wedle możności odpłacić i wziąć nawiązkę na waszej chańskiej mości i na całym chaństwie, wet za wet, nie potajemnie, jako wyście uczynili, ale jawnie, po rycersku... I jeśliby ta gościna nasza w waszym państwie wydała się wam niepolityczną, to możliwe, że tak jest, bo Kozacy, jako dzieci nie jednej macierzy, nie jednego są obyczaju: strzelali jedni w prawo, drudzy

w lewo, a trzeci na wprost, ale tak dobrze, że wszyscy trafiali do celu. A niepolityczności tej od was się nauczyliśmy, nie samiśmy ją wynaleźli... A jeśli przy tej ceremonii zaniepokoił się czymkolwiek waszą chańską mość i jakowaś rzecz z naszej strony zdaje się niepolityczną, racz nam, wasza chańska mość, owo wybaczyć. Pomnij jednak, że wszelką niepolitycznością płaci się za taką samą niepolityczność. Nie racz, wasza chańska mość, patrzeć na bitwę jako wróblowie na stracha, a nas, wojsko zaporoskie, mieć za nic, jeno na przyszłość zechciej z nami spotkać się w otwartym boju. W przeciwnym bowiem razie, jeśli czynić będziesz inaczej, to i my, uszykowawszy się już znacznie lepiej i w większej sile, stawimy się w państwie krymskim już nie poprzez Siwaską przeprawę, jeno wprost przez sam Perekop, wyłamując w nim bramę i otwierając przed sobą drogę, na co mamy wszelkie sposoby, i nie wyjdziemy z niego dotąd, aż za wszechpotężną bożą pomocą ujrzymy koniec swojej sprawy. Przeto my, niżowe wojsko zaporoskie, nie chcemy wojować i być w zwadzie z waszą miłością i z całym krymskim państwem. Wszakże jeśli znów ujrzymy z waszej strony dążność do wojny, to i my nawzajem nie zawahamy się najechać na chaństwo krymskie. Wyłożywszy to wszystko życzymy waszej chańskiej mości dobrego zdrowia i szczęścia w życiu. Waszej jaśnie wielmożnej chańskiej mości życzliwi przyjaciele, Iwan Sirko, ataman koszowy, z całym wojska niżowego zaporoskiego towarzystwem.

Jak widzimy, pismo to tchnie zjadliwym szyderstwem i dowcipem, właściwym Zaporozcom. Z jego kart wyłania się niepośpolita sylwetka niżowego przywódcy.

Sirko gorąco kochał swoją ojczyznę, poświęcił jej życie, był jej rycerzem bez trwogi i zmayı. Jego uczciwość szła w parze z niezwykłą skromnością. Służył narodowi nie dla własnej korzyści, lecz dla powszechnego dobra.

Spośród wszystkich ościennych władców najbardziej szanował cara moskiewskiego, słowem i czynem stwierdzał, że mu wiernie służy, jednakże nie chciał mu ustępować ani własnych swobód, ani politycznej niezależności Zaporozża.

Sirko zmarł 4 kwietnia 1680 roku w wiosce zaporoskiej Hruszczówce, w swojej pasiece. Grób jego — który zachował się do dziś — znajduje się w pobliżu starej (Czortomłyckiej) Siczy, której był koszowym, we wsi Kapulówce, gospodarstwie Mykoły Ołeksijowicza Mazaja.

#### NA SZEROKIM STEPIE

*Postanowiłem zatem uzupełnić moje źródła archiwalne materiałem archeologicznym.*

(Z przemówienia D. I. Jawornickiego na jubileuszu)

Podczas prac archeologicznych Jawornicki stykał się nieraz z prostymi ludźmi, a usłyszane z ich ust wypowiedzi traktował jako ciekawe przyczynki do swoich badań.

Niektóre z nich przytaczamy za książką Jawornickiego „Śladami Zaporozców”.

W pobliżu rozkopywanej mogiły przeciąga obóz czumacki <sup>30</sup>.

Zobaczyli czumacy, że ludzie rozkopują mogiłę, i zatrzymali się. Trzech czumaków porzuciło wozy, idą prosto do mogiły.

— Witajcie!  
— Witajcie!  
— To wy tutaj kopiecie?  
— Tak, kopieamy. A wy jedziecie?  
— A my jedziemy.  
— Cóż tam wieziecie?  
— Fury wieziemy. A co wy kopiecie?  
— Złoto kopieamy.  
— Jakie u licha złoto, kiedy wyciągacie skorupy i gnaty?

— Aha, skorupy i gnaty! Cóż ty myślisz, skąd ten pan przyjechał, co tutaj kopie?

— No, skąd?

— Aż z Petersburga! A tam nie tacy głupi, żeby aż tutaj jeździć po skorupy i gnaty. Mało tam mają własnych? O, kopie tutaj i napycha sobie kieszenie złotem, a ty myślisz — skorupy. Słyszysz?

— Słyszę!

— No, żebyś wiedział.

W milczeniu schodzą czumacy z mogiły i idą prosto do namiotu, gdzie pracuje Jawornicki. Już jeden z nich wyciąga rękę, aby otworzyć drzwi i wypytać pana, czego szuka w mogile. Aż tu jak spod ziemi wyrasta groźny stróż, stary Hryćko, i woła:

— Czego tu? Patrzej, zaraz ciebie przyjmie!

— A co tam za ptaszek siedzi?

— Ptaszek! Tam sam pan siedzi, papiery wypisuje! Jazda stąd!

I czumacy ruszają do swoich wozów.

W upalny dzień letni kopacze zrzuciwszy koszule wystawiają nagie plecy na ledwie wyczuwalny wie-  
tryk, żeby ochłodził ich nieco i osuszył rześisty pot na twarzy. Widzą, że stepem, kulejąc, zbliża się jakiś dzia-

dyga. Ciekaw jest widocznie, co się tutaj dzieje. Podchodzi do mogiły, niewiele myśląc wdrapuje się na wysoki boczny nasyp, zagląda do dołu i woła:

— Panowie, dzień dobry!

— Dzień dobry, dziadku! Co powiecie dobrego?

— A powiem, że nie tutaj trza kopać!

— A gdzie trzeba kopać?

— Lepiej kopcie w Neszkrébówce.

— A cóż takiego jest w tej Neszkrébówce?

— Co jest w tej Neszkrébówce? Jest tam mogiła, a na tej mogile z góry orzeł siada, a w środku mogiły stoi dwanaście lichtarzy, a w lichtarzach dwanaście świec się pali, a pod lichtarzami dwanaście pistoletów leży, a pod tymi pistoletami dwanaście beczek złota zakopanych. Tam byście poszli kopać!

— Czemuż ty sam, dziadku, nie kopiesz, kiedy wiesz, że tam ukryto dwanaście beczek złota?

— Aha, oczy mi na łeb wyjdą, bo tam jest takie zakłęcie, że kto złoto wykopie, temu oczy na łeb wyjdą.

— A jak nam wyjdą?

— Wam to nic, wy jesteście panowie!

Gromkim śmiechem odpowiadają kopacze na te słowa dziadka i raz po raz odbija się ten śmiech jak echo to w jednym, to w drugim miejscu. A jego sprawca już dawno pokuszył w step.

— Chciałbym was, panie, o coś zapytać — zwraca się do Jawornickiego rudy barczysty chłop.

— A co chciałeś wiedzieć?

— Chciałbym się dowiedzieć, ile pan dostaje na tej posiadzie?

— Tysiąc rubli — mówi Jawornicki od niechcienia.

— Oho, to niemało! Słyszysz, Hryćku? — mówi do drugiego chłopca.



*Portrety Zaporozców*



- Słyszę.
- A jaką pan ma rangę?
- Archeolog.
- Niemąla ranga! Archanioł! Słyszysz, Hryćku?
- Słyszę.
- A jak to pan kopie, czy od cara?
- Od cara.
- Od samego cara?
- Od samego cara.
- Od rządu?
- Od rządu.
- Od samego rządu?
- Od samego rządu.
- Ależ ten rząd głupi!
- Jak to?

— A tak: na kopanie mogił rząd ma pieniądze, a na wyganianie z nerek gryzoni, żeby nasze zboże ratować, to nie ma. Oj, daremna ta wasza robota!...

Wykopaliska trwają dalej. Ale właśnie nadciągnął deszczyk jeden, drugi, będzie plonowało. Tymczasem na sąsiednich polach utrzymuje się susza, pojawia się widmo nieurodzaju.

— Czy to dobrze, że my rozkopujemy mogiły? A może Pan Bóg dlatego nie daje urodzaju, że z grobów wyrzucamy kości chrześcijańskie, tak aż grzechocą? — mówi najstarszy bogobojny dziadek.

— A wiesz ty, co wykopujemy? — wtrąca się do rozmowy Jawornicki.

— A co takiego?

— Scytów.

— Cóż to była za jedna ta sitwa?

— A taka, co się nie myła, nie modliła, cerkwi nie znała i bez portek chodziła.

— I to takie plugastwo?

— Takie właśnie plugastwo.

— Skoro tak, no to walić ją łopatkami.

Od razu wraca dobry nastrój i nie ma mowy o przerwaniu robót.

Wieczorem, kiedy chłopci wrócili ze stepu i poszli spać, Jawornicki wybrał się na przechadzkę. Nie chciał mu się spać i umyślił sobie spotkać się z jakimś staruszkiem, żeby pogawędzić o dawnych czasach. Wiatr przynosił zapach polnych kwiatów i świeżego siana. Gdzieś od strony gromadzkiego spichrza doleciały uderzenia kołatki.

„Aha — pomyślał Dmytro Iwanowicz — z pewnością jakiś dziadek tutaj stróżuje. Doskonale”. — Podszedł bliżej i pozdrowił wartownika. Był to stary Mykoła Rybałka. Gdy się dziadek Mykoła przekonał, że siedzi przed nim zwyczajny, nie zadzierający nosa człowiek, rzekł Jawornickiemu:

— Panie, chciałbym się o coś spytać.

— A o cóż takiego?

— Chciałbym się spytać, ale nie wiem, jak się to panu wyda.

— Pytaj, może dobrze się wyda.

— Czy pan może z tych, co to rozkopują mogiły?

— Nie, braciszku, nie z tych. A może znasz któregoś z nich?

— Znać, to nie znam żadnego, ale słyszałem o nich.

— I cóżś słyszał?

— Słyszałem, że ponoć dużo złota z mogił wydostają. Po tamtej stronie Dniepru, za porohem Łochańskim rozsiał Pan Bóg bardzo dużo mogił. Mówią, że przyjechał tam z Petersburga jakiś pan. Młody, powiadają, ale ciekawy, szelma. Przyjechał i dalejże kopać. I co wykopął, jak pan myśli?

— Nie wiem, bratku, co mógł wykopać.

— Czterdzieści pudów<sup>31</sup> złota. Tak jest. Wykopał, załadował na parę potężnych wołów i jazda do guberni. Woły wyłóżą ze skóry, a ten sunie do guberni. A z guberni powiózł prosto do cara. Tak było, panie! Pytam ja się pana, czy on to złoto wykopał własnym przemysłem?

— Czy ja wiem? Chyba nie własnym.

— Ja także myślę, że nie własnym. Bo to, wie pan, wyciąga z kieszeni jakąś wskazówkę i patrzy na nią, a ta mu pokazuje, gdzie w mogile leżą skarby, a gdzie co innego. Ta wskazówka nic, tylko skacze mu w dłoni. On mówi: „Tutaj skarby”, a ona na to: „Oj nie, kłamiesz. Tam leżą”.

— Nie, bracie, to nie dla mnie bajki. Czy to możliwe, żeby w mogiłach leżały takie skarby?

— Pewno prawda, kiedy wszyscy u nas tak gadają. Bo to sroka sroce, wrona wronie, to i my tak samo...

### SŁEPY HOMER

*Jednakże do pełnego obrazu dziejów Kozaków zaporoskich wydawało mi się tego za mało. Postanowiłem zgromadzić materiał etnograficzny w postaci podań ludowych, historycznych dumek, pieśni, porzekadeł, przysłów.*

(Z przemówienia D. I. Jawornickiego na jubileuszu)

„Chcąc lepiej poznać świat wierzeń i obyczajów ludu, usłyszeć starodawne pieśni, bajki, opowieści, przysłowia, trzeba się zwrócić do starych ludzi, a przede wszystkim do ślepców. Oni to, pozbawieni łączności z otoczeniem, tworzą sami w sobie swój odrębny świat.

Utracony zmysł wzroku rekompensuje się u nich przeważnie doskonale rozwiniętym słuchem, pamięcią,

zdolnościami muzycznymi i twórczą wyobraźnią. Niewidomy, zwłaszcza taki, który obraca się między ludźmi, jest kopalnią wiadomości. Trzeba tylko podejść doń umiejętnie, żyć się z nim, pozyskać jego zaufanie i przychylność. W tym celu nieraz trzeba odmówić sobie tak zwanych zdobyczy cywilizacji, sypiać w jednej z nimi chacie, znosić te same pasożyty, jeść tę samą ubogą strawę.

Czasem wypadnie z nim wypić cuchnącej gorzały, od której oczy na wierzch wyłażą i ciarki do pięt przechodzą. Wtedy udaje się wydostać od ślepcy to i owo, aby później przekazać ów zdobyty materiał tym, którzy interesują się życiem ludu, ale sami nie umieją znaleźć drogi do niego.

Spśród ślepców, jakich w życiu spotkałem, jednego pamiętam najlepiej. Zwał się Choma Wasylowicz Prowora i mieszkał we wsi Bohodarze na Katerynosławszczyźnie. Ma on teraz ponad 55 lat, jest średniego wzrostu, o wielkiej, łysej czaszce osobliwego kształtu. O takiej czaszce mówią na Ukrainie »głowa jak pudło«. W takiej głowie zawiera się dużo mózgu, a moje osobiste doświadczenie mówi, że mieści się w niej dość ciekliwy umysł. Choma Prowora jest z natury bardzo porządny i czysty, zawsze ogolony, a robi wszystko sam, po omacku. Urodził się jako widzący, ale w szóstym tygodniu życia spotkało go nieszczęście. Matka jego napaliła mocno w piecu i położyła niemowlę na przypiecku, na którym przedtem rozsypane było proso do przesuszenia, i wyszła z domu na pańskie. Mała córeczka miała pilnować dziecka, ale natychmiast po wyjściu matki pobiegła kąpać się w rzece. Tymczasem niemowlę od wielkiego gorąca zbudziło się, zaczęło krzyczeć, prężyć się, wymachiwać rączkami, wskutek czego rozprażone proso powchodziło mu do buzi, uszu i oczu. Kiedy przybiegła matka, to zdołała oczyścić

buzię i uszy, oczu jednakże nie udało się oczyścić. Zaczęły ropieć i tak do cna zropiały.

Nieszczęsne dziecko zaniewidziało na zawsze, a ślepiec mówił potem o sobie: »I tak nie przyjrzałem się dobrze ani ojcu, ani matce«.

Choma wyrósł na krzepkiego i nawet przystojnego młodzieńca, ale pozostał nieżonaty. Jeszcze jako dziecko postanowił sobie, że pozostanie na wsi Bohodarze przy pańskim dworze, a w żadnym razie nie pójdzie w świat z torbą żebraczą. Wolał tutaj być na najniższym szczeblu wiejskiej hierarchii niż włóczyć się po świecie z torbą i kosturem, wyciągając rękę po jałmużnę. Był na to zbyt dumny, a przy tym kochał swój zakątek i nie chciał go opuszczać.

Toteż przez całe swoje życie nie był nigdzie poza swoją wioską Bohodarem i sąsiednim Pokrowskiem. Mieszkając tyle czasu w Bohodarze, znał dobrze każdy dołek i kamień, a po dworze, do rzeczki, do sadu, do lasu chodził bez laski i bez przewodnika. Znając zaś wszystkie dróżki i zakątki Bohodaru, znał także wszystkich mieszkańców, zarówno żyjących, jak i dawno zmarłych. Choma Prowora to żywa kronika, wystarczy tylko skierować jego myśli ku przeszłości, a opowie wszystko ze szczegółami. Nie koniec na tym. Zna on mnóstwo opowieści o każdej rzeczce i jarze stepowym, o każdej ścieżce prowadzącej stąd czy stamtąd do Bohodaru, zna moc bajek, rozmaitych opowiadań, przysłów, porzekadeł, wreszcie — pięknie śpiewa ludowe pieśni ukraińskie, a jeszcze piękniej gra na fujarce.

— Skrzypce i harmonia to wymysł diabelski, ale fujarka... O, na fujarce sam święty Piotr grywał — mówi Prowora.

Tak subtelnego artysty, tak biegłego mistrza w grze na fujarce ze świecą szukać w całej guberni. A kosztuje to cudo — raptem trzy kopiejki. Jednakże co on z niej

wydobywał, jakie trele wywodził, tego nie sposób opowiedzieć — trzeba by usłyszeć grę samego wirtuoza. Wygwizdując tkliwą nutę kozackiej pieśni, to z nagłą uderzy palcami po fujarce i wytnie kozaczka, zorkę, katerynkę, połtawczankę albo też gorlicę, komara, cyganeczkę, albo — przytupując obcasami — żydowskiego tryndyka, metęlicę lub zaciągnie coś pobożnego czy dla odmiany rosyjską *Saszeńkę*, którą wczoraj usłyszał z ust nieznanego wędrowca i teraz ze wszystkimi odcieniami wywodzi na fujareczce.

Gra na fujarce stanowiła dla Chomy nie tylko rozrywkę. Dawała mu ona wzniosłe, niczym nie zastąpione zadowolenie estetyczne, wprawiała go w ekstazę. Wkładał w grę całą duszę, wszystkie myśli i uczucia, przerażał siebie samego, dorównywał artystom. W niepamięć szedł cały świat, własna gorzka dola, samotność, ubóstwo, straszliwe przekleństwo ślepoty, które kiedy indziej dawało mu się we znaki na każdym kroku.

W cichą noc księżycową, gdy wszyscy na wsi obrządzają się i ułożą do snu, gdy się rozejdą do domów chłopcy i dziewczęta włączający się do późna w noc, gdy rzeki stepowe zapadną w cichy, lekki półsen, kiedy nawet koniki polne uciszą swoje nieustanne cykanie, a księżyc wzbije się wysoko ponad jasne gwiazdy i zaleje swą poświatą cały rozległy step, Choma Prowora wysuwa się z okienka umieszczonego ponad drzwiami stajni, siada w nim ze spuszczonej nogami, bierze swoją fujarkę i cichutko, przeciągle zaczyna wygwizdywać piosenkę. Rzewna melodia leci ponad senną rzekę, łączy się z lekkim poszumem wysokich szuwarów, echem dolatuje do niewielkiego brzoźowego gaju, czerniejącego na prawym brzegu rzeki, opada na wierzchołki pobliskich mogił i ginie gdzieś w nieskończonym stepie. Z początku fujareczka piska cichutko, później coraz mocniej, grajek coraz żywiej przebiera palcami

i sam się ożywia coraz bardziej. Ten i ów z wioski zdążył się już przespać, może już parę razy podniósł się z posłania, a Choma wciąż gra i gra i coraz mocniej rozlega się melodia, coraz bardziej opanowuje go natchnienie.

— Kiedy ten Prowora śpi? — pytają niektórzy słysząc jego wygrywanie.

— Tyle ma biedak radości, że pogra na fujarce i dużą sobie ucieszy muzyką...

Ale cichnie w końcu fujarka, na odmianę zaś dolatują z lasku przedziwne trele słowika, tego pierwszego w ptasim królestwie śpiewaka. Słowiczek także, niepomny całego świata ani siebie samego, zapamiętał się w śpiewaniu, a jego czarowne, wdzięczne i tkliwe trele tak samo ścielą się po szerokim stepie, padają na uspio-ną rzeczkę, echem się odbijają od dostojnych, wiecznie milczących mogił — i cichną, stopniowo oddalając się od śpiewaka, coraz mniej słyszalne, ginące na koniec w bezbrzeżnym morzu stepowym i w chłodnych nurtach swobodnie płynącej rzeki.

Tak ze sobą wiodą spór dwa słowiki, idą o lepsze dopóty, aż się na niebie ukaże zorza poranna.

Poza grą na fujarce lubił też Choma pieśni. Taki się już chyba śpiewający urodził.

— Przyjdzie zima — jak zaczniesz dąć i mrozić! Ręce kostnieją, nogi przemarzły, ale kiedy tak brniesz przez zasy py czy ciągniesz słomę do pieca, kołaczę się w tobie jakaś śpiewka: *A nasz pan ataman po taborze chodzi, po taborze chodzi, konia w ręku wodzi...* Kto wie, może to i grzech takie śpiewanie, ale bardzo się to podoba i chłopcom, i dziewczętom. Była tu u nas dziewczucha na schwał, córka kucharza. Nieraz, bywało, jak jej zaśpiewam: *A jak wyjdę ja za wrota, a za łąki i za błota, gdzie listeczek już młodnieje, a traweczka zielenieje, a traweczka zielenieje, a serduszko moje mdleje, a ser-*

*duszko moje płacze, że miłego nie zobaczę, to, powiadam, jak tę piosnkę zaśpiewam, dziewczyna mnie za szyję rękami obejmuje, słucha a słucha i mówi wreszcie: »I co ja bym tobie, Chomo, powiedziała za tę piosenkę, gdybyś był młody, co ja bym dla ciebie zrobiła«.*

I nie dziw, że się tak dziewczyna przejmie pieśnią Chomy. Zarówno w pieśni, jak i w grę na fujarce przelwa Choma całą swoją rozpacz, w pieśni oddaje wszystkie swoje duchowe cierpienia, przekazuje serdeczne rozterki i burze. Pieśń jest dla niego nie tylko pociechą, ale i prawdziwym przeżyciem, w którym śpiewak wyobraża sobie prawdziwych żywych ludzi, słyszy ich mowę, rozumie ich uczucia. Najbardziej odpowiadają mu pieśni rozlewne i smutne. Są to pieśni odchodzące już w niepamięć i śpiewane tylko przez starych ludzi.

Siedzę nieraz w swojej izbie przy otwartych oknach, pracuję przy biurku. Przez otwarte okna rozpościera się widok na step, mogiły i trakt pomiędzy mogiłami. Czyste powietrze, przesycone zapachem ziół stepowych, wdzierając się przez rozwarte okna wypełnia mój mały pokój. Cichutko, prawie niedosłyszalnie otwierają się drzwi za mną i do izby wsuwa się Choma Prowora.

- A pan ciągle gryzmoli?
- Ano gryzmołę.
- Pewnie ciągle o Zaporozcach?
- Juści że tak, o Zaporozcach.
- A zna pan tę piosenkę?
- Jaką znowu piosenkę?

Zrodziła matka syna Wasyla,  
Wykołysała, wypiastowała,  
Od małości wyhołubiła,  
A kiedy zmężniał syn — ożeniła



Nie z miłośnicą, lecz z wyrobnicą,  
Nie czarnobrewą, nie białolicą.  
Posłała syna w drogę daleką,  
Synowej dała pracę nielekką,  
Na lnu pielienie wysłała młodą:  
„Lnu nie wypielesz — nie wracaj do dom,  
Jeno drzewiną w polu zostawaj,  
Cienka, wysoka i kędzierzawa...”  
Wraca syn Wasyl z dalekiej drogi,  
Kłania się matce niziutko do nóg:  
„Drzewinę-m widział czy mi się zdało —  
Cienką, wysoką i kędzierzawą...”  
„Weź topór ostry, jakeś mi synem,  
I zetnij w polu ową drzewinę,  
Cienką, wysoką i kędzierzawą...”  
Syn Wasyl ostrą siekierę bierze,  
Ostrą siekierą w drzewinę mierzy.  
Raz się zamachnął — omsknie się w górę,  
Wtóry raz machnął — chybił po wtóre,  
Trzeci raz machnął — aż przemówiła:  
„Nie bij mnie, mężu, jam twoja miła,  
Twoja matula tak uczyniła,  
Żebym drzewiną w polu została,  
Cienka, wysoka i kędzierzawa...”

— Więc słyszał pan tę piosenkę?

— Nie, nie słyszałem i nie znam. Śpiewaj. Zaraz zanotuję jej melodię.

Choma siada w kucki oparty o ścianę, wyjmuje fujarkę z rękawa koszuli, gra i po każdej przygrywce śpiewa piosenkę, ja zaś notuję melodię i tekst. Ale rzecz dziwna! Jak tylko niewidomy dochodzi do słów, w których skarży się drzewinka, wypuszcza z ręki swoją fujarkę, przestaje śpiewać i nic, tylko łyzy ociera rękawem koszuli, a przy tym sam siebie zawstydzają:

— Widzicie go! piosenkę śpiewa i płacze! Żeby to coś poważnego, a to piosenka!

Wróciwszy do równowagi Choma ociera łzy i znowu zaczyna śpiewać od początku, »z brzeg«, jak powiada, grając na fujareczce i śpiewając na głos. I znów w tym samym miejscu wbrew najszczerzej chęci zaczyna płakać, płacze jak małe dziecko...

— A to co znowu? Ładny mi Kozak! W dodatku jeszcze, jak powiadają, pradziad mój był Zaporoziec! Dobry sobie Zaporoziec, przy pieśni płacze! tfu! Żeby choć oczy były, a ja wcale ich nie mam i płaczę! No, to proszę słuchać dalej, niech pan bierze pióro i pisze.

Biorę pióro, ale czuję, że i mnie ręce drżą z przejęcia. Choma Prowora otarłszy łzy bierze o ton wyżej i rozpoczyna: *Zrodziła matka syna Wasyla...*

Ale tym razem nie dośpiewał do połowy, kiedy z brzmienia głosu i nierównego tonu fujarki wyczułem, że znów się załame.

— Wiesz co, Chomo, zaśpiewasz mi to innym razem, a teraz może jaką pieśń zaporoską albo hajdamacką?

I Choma śpiewa. W ten sposób trafiło do mojego notesu dużo jego pieśni, i to takich! Jak tylko zaśpiewa i zagra na swojej fujareczce, to czuję już, że to pieśń starodawna, oryginalna, do żadnej innej niepodobna. Wiele godzin i całych tygodni, radosnych i smutnych, przeważnie smutnych, spędziłem z Chomą, zasłuchany w jego grę, przejęty jego melodyjnymi, chwytającymi za serce pieśniami, ale nie widziałem, żeby płakał przy której, oprócz tej jednej. Dlaczego właśnie ona rozczuliła Chomę do łez, nie dowiedziałem się nigdy, jako że nie chciałem swymi pytaniami dręczyć jego zbolelej duszy, on zaś w tej sprawie milczał jak ryba.

Oprócz pieśni zna Choma różne gawędy, podania, historie z przeszłości. Opowiadał ciekawie, pasjonująco,

szczegółowo. W różnych zakątkach Ukrainy można znaleźć gawędziarzy, ale nie każdy ma dar opowiadania z takim plastycznym wyrazem, z taką żywą mimiką, z tak swoistym humorem, jak to czyni Choma Prowora. Co więcej — Choma czyni to nie tylko artystycznie, lecz także oryginalnie.

— W pewnej krainie, w pewnym królestwie żyła księżniczka, taka czytana, taka opisana...

— Opisana? Można to tak powiedzieć?

— Czemu nie można? Skoro się mówi »czytana«, to trzeba także mówić »opisana«.

— No dobrze. »Taka czytana, taka opisana...«

— Więc taka, mówię, czytana, taka opisana, że ha! Zbudowała sobie okręt, załadowała, wsiadła na okręt i dalej po morzu, po oceanie. Aż tu nagle zrobiła się burza, złapała ten okręt i jak śmig-nę-ła, tak wyrzuciła okręt aż w Hamazońskim królestwie... Jak tam pan zapisał?

— Zapisałem: »Zrobiła się burza, złapała ten okręt i jak śmignęła!...«

— Nie tak!

— A jak?

— Zrobiła się burza, złapała okręt i jak śmi-gnę-ła!

Narrator domagał się, ażeby zapisujący tak samo rozdzielnie i z taką samą intonacją, z tym samym brzmieniem notował, jak on sam wypowiadał. Wtedy tylko, twierdził, opowiadanie będzie zapisane jak należy.

U Chomy Prowory *oszust* to nie oszust, lecz *sachraj*, nie *zarumieniła się*, lecz *splonęła*, nie *rozniewał się*, lecz *zaciekł się*, nie *zaręczyny*, lecz *zrękowiny*, nie *wyrobił się*, lecz *okrzesał* (*zaczął między ludźmi bywać*, to i *okrzesał się trochę*, bo taki z niego był *kołek nie-*

*zguła, że szkoda gadać). U Chomy konisko nie dało się ujeździć, bo je zażałowano; u niego jeśli woda w rzece, to srebrna woda, jeśli las, to las nieprzebyty, las drzemiący; księżniczka nie najechała, lecz nacelowwała na skałę, i nie zapłakała, lecz zalała się gorzkimi łzami, chmurka nie zachmurzyła się, lecz zasmęciła się. Bajkę zwykle kończył tak: ...I wyprawił ucztę nad ucztami, i ja tam byłem, ale nic w żaden sposób nie mogłem zobaczyć..."*

### O DIABŁACH UKRAIŃSKICH

Jadąc z Berdiańska Jawornicki wstąpił do starego miasta Nohajska, aby się zapoznać z malarzem Anastasem Hordijowiczem Smoktijem i pogadać z nim o zaporoskich starożytnościach.

Smoktij z wielką radością powitał profesora. Starym zwyczajem uściskali się obaj i ucałowali.

— Więc tak pan wygląda, mój kochany! Znam, dobrze znam pańskie nazwisko, słyszałem o panu, czytałem pańskie pisma.

Przez cały tydzień historyk przebywał w gościnie u Smoktija. Był to nieodrodny potomek zaporoskich Kozaków i wyjątkowy człowiek. Kochał dziedzictwo ojców, kochał mowę ojczystą, pieśni ludowe, stare obyczaje. Pięknie śpiewał dawne pieśni zaporoskie i dumki kozackie, grał na kilku instrumentach muzycznych, szczególnie na fujarce.

A jakie znał bajki, przysłowia, gawędy! Dla Jawornickiego stanowił skarb nieoceniony. Toteż podczas swej gościny historyk bez przerwy notował.

Oto zbliża się do nich sąsiad, podeszły wiekiem Anton Pawłowicz Pidłużny. Boso, bez nakrycia głowy, w grubej koszuli i w nankinowych<sup>32</sup> spodniach. Wy-

wiązuje się rozmowa, inicjatywę bierze w swoje ręce Dmytro Iwanowicz.

— Powiedzcież mi, kochani, nie znacie wy jakich ukraińskich diabłów?

— Znam jednego. Nazywa się Bezpiętek.

— I jakież on jest, ten Bezpiętek?

— Jak to diabeł. A Bezpiętek, bo mu wilk piętę odgryzł. Jeżeli już chcecie wiedzieć, to diabły bywają wodne, stepowe, domowe i leśne. Wśród wodnych najgłówniejszy to Ancybłot, najwyższa zwierzchność nad wszystkimi wodnymi. Po nim idzie lichy wodny, co groble przerywa. Następnie Siny wodnik — to stary, brodaty diabeł, który nocą porywa ludzi i topi w korytach wodnego młyna. Jest jeszcze wśród wodnych bies Ospowaty. To bardzo złośliwy diabeł. Baba moja, kiedy się ze mną kłóci, to mówi: „A bodaj ciebie wziął bies Ospowaty”.

A co do diabłów stepowych, to najważniejszy jest Ćusy: wlaźł gdzieś w szkodę i stracił ogon. Za nim Pochwiściel, co tańczy w wirującym kurzu i tłucze się z innymi diabłami. Powiadają, że kiedy w taki kołowrót rzucić nożem, to cały nóż będzie we krwi. Jest jeszcze diabeł Zbytnik, to ten ukradnie kantar albo pęto u dzieciaka lub chłopca, co w stepie konie pasie, i gdzieś zawieruszy. Więc chłopak chodzi a chodzi, aż nareszcie mówi: „No, dosyć już, dosyć, nazbytowałeś i basta”, to ten podrzuci. Pewien człowiek widział stepowego diabła. On jest taki sam, powiada, jak człowiek, ino bez zadka.

Wśród domowych pierwszy diabeł to Did'ko. Dawniej tak przeklinali: „Co ty robisz? Did'ko by twego tatę szanował!” Albo: „A idź do Did'ka!” To ten Did'ko w dzień zawsze siedzi na strychu, a znów nocą harcuje po sieniach i komorach. Więc żeby nie harcował po nocach, trzeba zamykać na noc klapę od strychu, bo ina-

czej zeskoczy ze strychu, podejdzie do beczki, co stoi w sieni, i chłepce wodę jak ten pies. To moja kobieta mówi, bywało, co wieczór: „Chweśko, hej, Chweśko, czyś ty zamknęła klapę od strychu?” I jeszcze jest diabeł domowy Bisiciel. Dlatego słyszy się, jak przeklinają: „Bisiciel twemu tacie!”. Następnie Krętacz, bardzo szkodny, podstępny diabeł. Ten, jak zechce komu psotę jaką wyrządzić, to już tak skołuje człowieka, że będzie przez cały dzień pociągać nosem, tak cię otumani, że i zbudziwszy się ze snu w nocy do drzwi nie trafisz — jednym słowem, paskudny bies. Domowe diabły są płochliwe, a znów stepowe — dzikie. Podobnie jak ptactwo: domowe — płochliwe, a stepowe — dzikie.

Co do diabłów leśnych, to jest diabeł Lasowik, cały bielutki, a pięty ma osmalone. Okropnie wodzi ludzi za nos. Przemieni się na przykład w człowieka i jedzie przez las na takim wozie, że półdrabki tylko się z niego sypią, a on jak wariat turkocze i hula po lesie. Leśniczy myśli sobie, że to złodziej jakiś zakradł się do lasu, i nuże w pogoń za nim, a to diabeł.

Pewien staruszek nazwiskiem Popenko tak opowiadał o tym leśnym diable: „Idę ja sobie — mówi — po lesie, podchodzę do rzeczki — bo to, wiecie, u nas lasem płynie rzeczka Oznica — podchodzę do niej, patrzę — czółno przy brzegu. Siadłem w czółno i wiosłuję na tamten brzeg. Wiosłuję sobie, wiosłuję, jestem już na środku, a tu moje czółno jak się nie zacznie kołysać a kołysać, a licho wie dlaczego. Patrzę — a na dnie czółna leży jakieś szczeniátko, leży sobie, a na jednej nodze piętę ma osmaloną. Zwinęło się toto w kłębuszek i skomli. No, nie wiem, miałem ja czapkę na głowie czy nie miałem, tyle wiem, że mi wiosło z ręki wypadło. Ledwo czółno zaczęło się zbliżać do tamtego brzegu, jak to coś chlup! z czółna, no, chlupnęło do wody. A to był Lasowik, najprawdziwszy Lasowik...”

Oprócz tamtych diabłów jest jeszcze diabeł Lucyper. To przeraźliwe diablisko, diabeł nad diabłami! To chyba ten, co go Niemcy nazywają Lucychwer.

Są jeszcze jakieś inne diabły, nasze, ukraińskie, ale wszystkich ani rusz sobie nie mogę przypomnieć. Słyszałem tylko o nich, kiedy byłem mały.

— Anastasie Hordijowiczu — rzekł Jawornicki — wie pan, co mi przyszło na myśl? A gdyby tak pokazać na obrazie te wszystkie ukraińskie diabły?

— To świetny pomysł!

Niebawem pomysł został zrealizowany i w muzeum znalazła się gabłota, w której wystawiono wszelkie diabły, i malowane, i rzeźbione, a wszystkie tak utracone, że koło „diabelskiej” gabłoty zawsze było wesoło.

## PIELGRZYMKA DO SICZY

Jawornicki mawiał, że dniewprowe skały, wyspy i urwiska są najpiękniejsze w świecie. Pociągała go szczególnie swym malowniczym krajobrazem wielka wyspa Chortyca. Wielokrotnie przybywał w to miejsce, do którego skrzykiwali się ongiś na swoich lotnych czajkach Kozacy zaporoscy. Stąd wyruszały wyprawy na sułtana tureckiego i krymskiego chana. Tutaj z całej Ukrainy zbiegali się upośledzeni i uciskani, wszyscy, którzy nie chcieli podlegać panom.

Jest tutaj wysoka skała zwana z turecka „Dywanem”, co oznacza miejsce narad. Wszedłszy na ten Dywan i rozejrzawszy się dokoła, mówił Dmytro Iwanowicz: „Jak tutaj pięknie!”

I rzeczywiście, widać stąd było jak na dłoni Wielką Chortycę, Nowy i Stary Dniepr, kolonię Kiczkas.

— Jest tu jeszcze ta osobliwość — mówił Jawornic-

ki — że kiedy z Dywanu się krzyknie, to okrzyk wyraźnie, z pełnym brzmieniem odbije się echem po całej okolicy. Człowiek krzyknie basem, echo odpowie mu basem, dyszkantem — echo tak samo się odezwie, a jak człowiek zacznie kląć, to echo też sobie ulży.

Schodząc w dół uczony zauważył w pobliżu Dywanu jakieś niezwykle wgłębienie, utworzone w potężnej bryle granitu.

Wiedział już, że to miejsce nazywa się „misa zaporoska”. Po zmierzeniu okazało się, że średnica misy wynosi 3 arszyny, a głębokość 1,5 arszyna. Niezła miseczka! Po uważnym obejrzeniu misy uczony doszedł do wniosku, że w zagłębieniu miękkiej skały woda przyniosła twardego kamień, musiała go długo obtaczać, wgłębienie się poszerzało i pogłębiało, aż wreszcie powstała olbrzymia misa.

Jeszcze niżej Dmytro Iwanowicz zobaczył dwóch starych mężczyzn, którzy siedząc w milczeniu na łódkach łowili ryby.

— Dzień dobry, rybacy!

— Dzień dobry!

— Wiecie, czemu do was przyszedłem?

— Powiecie, to się dowiemy.

— Może wiecie, czemu ta misa nosi nazwę zaporoskiej?

— Wiemy.

— No to czemu?

— Dlatego, że Zaporozcy z niej jadal.

— Jakże jedli z takiej misy?

— Chyba tak jak u carowej Katarzyny w Petersburgu. Pousiadali naprzeciwko siebie i poprzez misę karmili siebie nawzajem...

Opowiadają gadkę, że gdy Zaporozcy byli w gościnie u carowej Katarzyny II, podano im łyżki, których trzonki dłuższe były niż ramię — a trzymać należało za sam



koniec trzonka. Żeby nie zostać o głódzie, Kozacy tymi łyżkami podawali sobie nawzajem jedzenie i tak się nasycili.

— Dziękuję za ciekawą gadkę. Bywajcie zdrowi.

— Bywaj nam, panie, zdrowy,  
jako woły i krowy,  
bywaj nam, panie, zdrowy  
i o nas nie zapomnij.

Etnograf pośpiesznie wyjął notes z kieszeni i zanotował te słowa.

Prawie co roku latem Dmytro Iwanowicz zwiedzał okolice, w których znajdowała się Sicz Zaporoska. Jeździł tam nie dla zabicia czasu, lecz w celach naukowych, badając pieczołowicie wieś za wsią dookoła Siczy.

*Życie moje* — pisał do przyjaciela, etnografa P. J. Nowickiego — *to nauka. W niej zawiera się moje życie, moje serce, moja pasja, cały młodzieńczy mój zapal.*

Śpieszno było uczonemu odszukać starych ludzi, którzy najwierniej pamiętali z ust do ust przekazywane bohaterskie dzieje.

Pewnego razu odwiedził miasteczko Pokrowskie, leżące na prawym brzegu rzeczki Podziemnej. Tutaj właśnie znajdowała się ostatnia Sicz Zaporoska. Dmytro Iwanowicz wzdłuż i wszerz przemierzył owo czcigodne miejsce. Nic jednak nie znalazł i przygnębiony szedł przez Sicz ze spuszczoną głową, uginając się pod plecakiem. Wtedy jak spod ziemi wyrósł przed nim tęgi ogorzały staruch, o białej jak mleko głowie, na ramieniu miał więcierz, w ręku kostur. Nadzieja zaświtała Jawornickiemu:

— Powiedzcie mi, dziadku, czyście tutejszy?

— Tutejszy!

— Gdzieżście byli i dokąd idziecie?

— Ryby łowiłem, a teraz czas do domu.

— Skąd jesteście? Jak się nazywacie?

— Jestem z Pokrowskiego, nazywam się Mytrofan Czorny! A pan co tutaj robi? — spytał dziadek, przyglądając się z ciekawością nieznanemu mężczyźnie w kapeluszu.

— Szukam śladów starych dziejów zaporoskich. Ale nie powiodło mi się, bo oprócz starych czerepków i fajki nie znalazłem nic dorzecznego.

— Pewnościście kiepsko szukali.

— Dlaczego?

— A dlatego, że nasi pokrowczanie po wielkich deszczach i powodziach wiosennych dużo różnych różności znajdowali.

— Co takiego?

— Pistolety, sztylety, szable, rusznice, armaty, pociski, kule, ołów, drut, dzbany, kafle, pierścienie, beczki smoły, resztki węgla, składy sucharów, kupki pszenicy, guziki, sprzączki, naszyjniki, monety, fajki-nosogrzejki i fajki-buruńki <sup>33</sup>...

— Gdzież się to wszystko podziało? Może powiecie, u kogo się to wszystko znajduje?

— O, gdzie teraz tego szukać — zakłopotał się dziadek. — Dużo pogubiono, porozrzucano, połamano, bośmy ludzie ciemni, upilnować nie umieliśmy, a widzę, że te rzeczy są do czegoś potrzebne.

Spokojnie gawędząc szli obaj przez Sicz i nawet się nie spostrzegli, jak doszli do wioski.

— A to już moja chata — wskazał kijem Mytrofan Czorny.

Podeszli bliżej. Chata stała tuż przy cerkwi zaporoskiej. Jawornicki obejrzał chatę, obszedł ją dokoła i pyta:

— Dobrze znacie tę swoją chatę?

— Dobrze niby. Opowiadał mi ojciec, że w tej chatce w roku 1747 Zaporozcy radę swoją sprawiali.

— No proszę! To mieszkacie w historycznym budynku. Radzę wam, dziadku Mytrofanie, szanować tę chatę, pilnować jej, ja zaś wpiszę ją do rejestru, jako cenny zabytek przeszłości.

Mytrofan Czorny był człowiekiem gościnnym. Zaprosił historyka do chaty, nakarmił go i zostawił u siebie na noc. Przygotował mu dobre poślanie, z puchowymi piernatami, ale Dmytro Iwanowicz kategorycznie wymówił się od takiego komfortu i prosił gospodarza, aby mu przyniósł tylko naręcz słomy. Na słomę zarzucił zgrzebne płótno, położył koc.

— Zaporozcy nie lubili się wylegiwać — powiedział Jawornicki.

Nazajutrz przy pomocy Czornego znalazł u gospodarza Kornija Zabary cztery belki stropowe, które się zachowały z chat zaporoskich, jeszcze z roku 1710. Podobne znalazł także u drugiego mieszkańca wsi, Kłyma Pyrohowskiego.

Gdy po dłuższych wędrówkach Jawornicki wrócił znowu do Mytrofana Czornego, rzekł mu:

— Dziadku, może byśmy wybrali się razem do Siczy?

— Czemu nie, ja z chęcią, ale co my tam teraz będziemy robić?

— Poszukamy mogił kozackich.

— Dobrze, ja nawet znam niektóre. Czemu nie — chodźmy!

Do pomocy zabrano trzech ludzi z łopatami. W ciągu kilku dni rozkopano sześć niewielkich mogił zaporoskich. Ale dopiero w siódmej natrafiono na znaleziska. Na tej siódmej mogile stał niewielki krzyż z napisem: „Sługa boży Joan z titarowskiego kurenia”.

Na głębokości jednego sążnia znalazł Jawornicki sosnową trumnę, a w niej ogromny szkielet Zaporozca,



Obraz M. Strunykowa: „Zaporożec podchmielony”

z czubem na czaszce, trzykrotnie owiniętym w miejscu, gdzie było lewe ucho, z długim rudym wąsem, w czapie sukiennej, obszytej barankiem, w zielonym pasie i dwiema monetami w kieszeni. Jedna z nich była to nieduża rosyjska „połuszka”<sup>34</sup> z 1731 roku, druga srebrna moneta turecka. W innych grobach Jawornicki znalazł dobrze zachowane szkielety, a przy nich monety z czasów Katarzyny II (1763), żupan, miedziane guziki, kule, pociski...

Poznał tu Jawornicki wszystkich pokrowskich starców, ale tylko trzech z nich mogli mu opowiedzieć coś niecoś o Zaporozcach. Najwięcej zainteresowania budził dziadek Iwan Czawunny, jako że był „zaporoskiego stanu”. Dziad jego pochodził z Zaporozców, wyemigrował za Dunaj, ale wrócił do ojczystego kraju.

W ciągu pięciu dni „wydobywał” uczony z Kozaka wszystko to, co tamten wiedział o Zaporozcach. Oto co Czawunny opowiedział dociekliwemu etnografowi:

— Zaporozcy to śmiali ludzie. Zdarzało się, że Kozak chwycił gołą ręką bombę i patrzy na nią, ta aż skwierczy, a on nic. A potem jak podniesie rękę, jak rzuci bombę na wroga, to z niego tylko pierze leci. A kiedy Sicz upadła, to zostali tutaj jeszcze dwaj Zaporozcy, Wylkodworec i Piskun. Mieszkali biedacy w dziuplach wierzbowych, na zalewisku. Od czasu do czasu wyjdą stamtąd, wyżebrzą sobie chleba na wsi i znów wracają, skąd przyszli. I tam też pomarli, i tam gdzieś kości ich spróchniały.

— Dlaczego ci Zaporozcy pozostawali tutaj? — spytał Jawornicki.

— Bo pilnowali zaporoskich pieniędzy, tych, co to były zebrane na cerkiew. Słyszał pan o tym?

— Nie słyszałem.

— Jak pan nie słyszał, to opowiem. Zebrał kiedyś ataman koszowy swoich Kozaków na radę. Uderzono

w bęben, zeszli się Kozacy, stoją na majdanie i czekają. „Po cóż to ja was zebrałem tutaj, mołojcy?” — „I po cóż to, ojcze?” — „Czy możecie cztery lata przeżyć bez żołdu?” — „Możemy” — „Więc dajcie mnie wasz żoład. A wiecie wy, czemu?” — „Nie, ojcze, nie wiemy” — „Chcę dla Siczy klasztor wybudować, klasztor piękniejszy od wszystkich klasztorów na ziemi. Czy zgoda, panowie junacy?” — „Zgoda, ojcze, zgoda!”

Zaczęli zbierać pieniądze. Zebrali wielką sumę. A tymczasem od carowej przyszło takie pismo, żeby wszystkich Zaporozców stąd wygnąć. I wojsko tutaj przysłano. Widzą Zaporozcy, że źle z nimi, rzucili się do ucieczki. Ale trudno im było wyruszyć z pieniędzmi. „Zakopmy je!” — „Zakopmy!”. Więc dalejże zakopywać w miejscu, gdzie teraz jest ogród zarządcy, i zakopali, ale przykazano dwóm Zaporozcom, Wylkodworcowi i Piskunowi, pilnować tych pieniędzy. Dawno już pomarli i ten koszowy, i ci Zaporozcy, i ci, co pilnowali, a pieniądze do dzisiaj leżą gdzieś tutaj. Sam nawet widziałem, jak się oczyszczały jakieś dziesięć lat temu, około Bożego Narodzenia. Paliły się a paliły. Za pierwszym razem jak świeczka, za drugim jak garść siana, a za trzecim jak płomień z wysoką czapą na wierzchu.

— I nie szukaliście tych pieniędzy? — zapytał Jawornicki.

— Jak to nie szukaliśmy! Szukaliśmy. Pewnego razu orałem koło sadu. Orzę sobie jakby nigdy nic, aż tu patrzę — starodawny piętak, a na monecie jeszcze i koń ulany. Staję, wyprzegam woły i dalejże lemieszem rozkopywać ziemię. Kopię, kopię, a potem zacząłem rąbać siekierą. Rąbałem, rąbałem, aż się doczekałem wieczora. Myślałem, że już-już skarby wykopię, ale gdzie tam, siedem groszy znalazłem i na tym koniec.

Żegnając się z dziadkiem Czawunnym Jawornicki ze czcią uściśnął mu rękę i serdecznie podziękował za opowiadania.

Nie porzestając na tym badacz jął obchodzić wszystkie wioski położone w pobliżu dawnej Siczy. W Hruszówce znalazł w chacie Onufrego Metelczenki przeszlicznie rzeźbioną belkę stropową. Etnograf zapewniał, że piękniej rzeźbionej w życiu nie widział. Belka miała siedem arszynów długości, wyciosana była z pnia sokory, różnobarwnie pomalowana. Napis przez całą długość belki głosił, że ten budynek postawił dnia 12 kwietnia 1747 roku Trochym Kyjan, Kozak kurenia Szczerbynowskiego. Wszystko, co było na belce, etnograf przerysował do swego notatnika.

Później wyruszył do Nikopola, wiedział bowiem, że w tym historycznym mieście zachowała się cerkiew zaporoska.

Znalazłszy się w niej uczony nie wiedział, na co najpierw oczy obrócić. Miał przed sobą wielkie bogactwa, które się tutaj dostały z najstarszej cerkwi zaporoskiej, istniejącej przedtem w Pokrowskiem.

Wśród kosztownych paramentów<sup>35</sup> uwagę Dmytra Iwanowicza z miejsca przyciągnął obraz „Matki Boskiej Orędowniczki”. Uderzyła go oryginalność dzieła cechowego malarza. Na lipowej desce przedstawiona była u góry Matka Boska, którą uważano za patronkę Siczy, a niżej w pełnym rynsztunku, w butach po kolana, w szerokich hajdawerach, w żupanach podpasanych zielonymi pasami, z ogolonymi gładko głowami stali czubaci Zaporozcy, ustawieni w półkole po brzegach ikony. Pośrodku znajdował się sztandar zaporoski oraz armaty, pociski, wszelkie kozackie atrybuty. Od stojących na dole Kozaków, tych z pierwszego rzędu, prawie aż do ucha Matki Boskiej ciągnął się napis: „*Prosimy ciebie, okryj nas twą świętą zasłoną, wybaw od*

wszelkiego złego. Nieco wyżej był drugi napis: *Wybawię i okryję, ludu mój.*

Zaporożcy ślepo wierzyli w cudowną moc tej ikony. Fama głosi, że przedstawiony na niej został koszowy Piotr Kałnyszewski z całym towarzystwem modlącym się o opiekę Bogarodzicy w nieszczęściu, jakie nadciągało ze strony carowej Katarzyny II. Ale, jak wiadomo, modlitwa nie pomogła.

Nieco później ikona ta znalazła się w muzeum. Dmytro Iwanowicz poradził popu pozbyć się jej jak najprędzej, jeżeli chce uniknąć nieprzyjemności od archiereja <sup>36</sup>, gdyż Zaporożcy to nie święci, a tymczasem wierzą ich za apostołów.

Jawornicki posiadał wydany przez synod mandat, na podstawie którego miał prawo zwiedzając cerkwie zabezpieczać przedmioty o muzealnej wartości. I tym razem okazał mandat, po czym skierował się do ołtarza, na którym leżała ogromna księga. Chciał ją podnieść, ale jej nawet poruszyć nie mógł. „Cóż to jest?” — pomyślał. A pop wyjaśnił, że jest to ewangeliarz wążący dwa pudy.

Oglądając go Jawornicki odnalazł datę — rok 1759. Na oprawę poszło 28 funtów samego srebra. Używano tej księgi tylko dwa razy do roku, a dźwigał ją zawsze jeden i ten sam krzepki, pobożny stary nikopolanin. Ewangeliarz także znalazł się w muzeum.

Po obejrzeniu cerkwi zaporoskiej Dmytro Iwanowicz udał się do wsi Łapynka, aby odwiedzić włościanina Mokija Łosia, potomka zaporoskiego Kozaka, bowiem w Nikopolu dowiedział się od starych ludzi, że Łoś w wielkiej tajemnicy przechowuje strój zaporoski.

Stary Łoś okazał się człowiekiem upartym i nieustępliwym, za nic nie chciał rozłączyć się ze swoim skarbem, przekazywanym z pokolenia w pokolenie.

Sześć lat jeździł po Zaporozżu Dmytro Iwanowicz, szu-



kając okazji, by móc zobaczyć autentyczny strój zaporoski. Po długich prośbach, obficie częstowany okowitą właściciel skarbu otworzył tajemną skrzynię i dobył na światło dzienne ubiór kozacki. Jawornicki wziął go w ręce i zaczął oglądać. Jeden żupan uszyty był na Kozaka wysokiego wzrostu, drugi na średniego, obydwa z sukna koloru malinowego, na kraciastej podszewce perskiej roboty, bardzo szerokie w plecach, bardzo wąskie w pasie, na piersiach zapinane na jedwabne guziki i pętllice. Rękawy były wąziutkie, jeszcze bardziej się zwązające ku dołowi. Od wewnątrz, od strony dłoni każdy rękaw miał rozcięcie na  $\frac{1}{4}$  długości, dlatego końce z łatwością dawały się wywracać na zewnątrz, tworząc coś w rodzaju mankietów — nazywano je „zakarwasze”. Żupany lamowane były ciemnobłękitnym aksamitem i zapinane w rozcięciach na metalowe haftki. Po obu bokach pomiędzy szwami mieściły się kieszenie.

Etnograf zauważył, że krój tego ubioru przypomina nieco strój, jaki nosili później Kozacy czarnomorscy.

Większy żupan zachował się lepiej, mniejszy niemal cały był stoczony przez mole. Jako znawca Zaporozczyzny, stwierdził Jawornicki, że są to owe żupany, które Zaporozcy nosili pod kontuszem — długim obszernym strojem z odrzucanymi rękawami — a czarnomorscy pod czerkieską.

Oprócz tych dwóch żupanów Dmytro Iwanowicz znalazł w skrzyni u Łosia pas zaporoski, utkany z jedwabnej surówki, jedenaście arszynów długi, koloru ciemnomalinowego, po obu końcach wyłożony i ozdobiony na jeden arszyn szeroką frędzlą — plecionką z jedwabnego sznura.

— Jakże się będziemy rachowali, dziadku Mokiju?

— Ja tak myślę, proszę pana, żeby wcale nie sprzedawać, bo szkoda.

— Ależ, dziadku, popatrzcie na to ubranie, mole je stoczyły, sam Pan Bóg wam tego nie przebaczy! Za rok-dwa strzępy tylko zostaną z obu żupanów!

— Niech sobie będzie jak chce, jednak to zaporoski ubiór, nie mogę się go pozbyć — nie ustępował stary.

— Ile za niego chcecie?

— Sto pięćdziesiąt karbowańców<sup>37</sup>.

— Nie, tyle pieniędzy muzeum nie posiada. Lepiej byście zrobili darowując to do muzeum — błagał Dmytro Iwanowicz.

— Nic z tego! Da pan sto karbowańców i z Bogiem! Jawornicki miał w kieszeni jedyną dziesiątkę na wyżywienie. Co tu począć? Powiada więc:

— Wiecie co, dziadku, bierzcie moje ostatnie dziesięć karbowańców, a na dodatek mój zegarek, pamiątkę po ojcu, i oddajcie mi żupany i pas.

Stary wziął kieszonkowy zegarek, pokręcił w rękę, przytknął do ucha — cyka!

— No dobrze już, proszę zabrać, ale to tylko dla pana, dla nauki ustąpiłem, bo inaczej — nigdy!

W Łapynce Jawornicki zatrzymał się na dłużej, i nie na próżno, bo oprócz zaporoskiego stroju znalazł tam jeszcze dwa cenne eksponaty: zaporoską szablę i karafkę. Szablisko było wielkie, długie na dwa arszyny. Na końcu szabla była troszkę zakrzywiona, pochwę miała drewnianą, obciągniętą skórą, a rękojeść zakończoną ptasią głową wykonaną w drzewie.

Szczególne zainteresowanie wzbudzała zaporoska karafka, wykonana z cienkiego zielonego szkła, z uchem z boku, ozdobiona ornamentem z drobnych półkoli. Mieściła w sobie sześć szklanic gorzałki.

Z wędrówki na Sicz Jawornicki powrócił z cennymi eksponatami, które następnie wystawione zostały w muzeum.

## NA DWIE KLÓDKI

Jadąc około 1913 roku na wykopaliska, Dmytro Iwanowicz spotkał się po drodze z pewnym rozmownym staruszkiem, który mu opowiedział, że we wsi Trytuzne ma znajomego Ostapa Łyhuna, który przechowuje cenne pamiątki zaporoskie — pistolet i srebrny pas. Uprzedził jednak, że niełatwo będzie wydobyć te rzeczy od Łyhuna.

Po kilku dniach Jawornicki zjawił się w Trytuznem, ale nie poszedł od razu do starego Łyhuna, tylko najpierw wstąpił do miejscowego popa i zaczął go się radzić, jak najłatwiej znaleźć dostęp do Łyhuna.

Pop znał Jawornickiego, który bywał tutaj już dawniej i z miejscowych cerkwi wybierał nadające się do muzeum przedmioty. Bał się więc, że profesor znowu zacznie bobrować po cerkwi, i z ulgą odetchnął słysząc, że chodzi o starego Łyhuna. Chętnie zgodził się pójść razem do pobożnego Ostapa i nakłonić go do ustępstw.

Staruszek pop był niski i szczupły, miał długą rudawosiwą brodę, okulary w złotej oprawie, wysoki posoch<sup>38</sup> w prawej ręce. Jawornicki wyglądał poważnie w jesiennym płaszczu, w kapeluszu, okularach, z małą podróżną walizką w rękę.

— Jak się macie, babciu — grzecznie przywitał się profesor z gospodynią.

— Dzień dobry. Proszę do chaty.

Na progu pop się przeżegnał. Weszli, usiedli przy stole. Gospodyni była zmieszana: niespodziewana wizyta popa i jakiegoś nieznanego trochę ją nastraszyła.

— Gdzież to wasz chłop? — spytał Jawornicki.

— Poszedł gdzieś nakosić potrawu dla chudoby.

— Powiedzcie, czy to prawda, że macie u siebie pas i pistolet zaporoski?

— Nie wiem nawet, co odpowiedzieć. Mamy i nie mamy.

— Jakże to?

— A tak: przy tej skrzyni, w której leżą schowane pistolet i pas, są dwie kłódki. Od jednej kłódki klucz ma mój stary, a od drugiej ja. Otóż żadne z nas w pojedynkę nie otworzy skrzyni. Nasz stary już od dawna zaprowadził taki porządek.

— A więc to tak — uśmiechnął się Jawornicki. — Dobry gospodarz! A cóż to, nie dowierza wam czy jak?

— A bo widzicie, on by chciał, żebyśmy we dwoje gospodarzyli. Słonina także leży u nas w kadzi pod dwoma zamkami. Mówi, tak jest bezpieczniej.

Za jakieś pół godziny w sieni dało się słyszeć szuranie nogami i do izby wszedł stary Ostap. Przywitał się, a ujrawszy popa schylił głowę pod błogosławieństwo. Dziadek był jeszcze krzepki, najwidoczniej z rodu mocarzy.

— A my tu do was, dziadku Ostapie, przyszliśmy — zaczął Jawornicki. — Słyszeliśmy, że przechowujecie u siebie ryszstunek zaporoski. Chcielibyśmy go obejrzeć, zobaczyć, co to takiego. Możecie nam pokazać?

— Dlaczego nie, można pokazać, nic łatwiejszego.

Stary poszukał w swej przepaścistej kieszeni, wyciągnął klucz, otworzył jedną kłódkę, spojrzał na babę. Zrozumiała, w milczeniu podeszła do skrzyni i swoim kluczem otworzyła drugą. Wtedy stary ostrożnie, jak jaką świętość, wydobyl pistolet ze skałką i srebrny pas.

— Proszę, oglądajcie.

Jawornicki na pierwszy rzut oka ocenił wartość tych rarytasów.

— Wiecie co, dobry człowieku, nazywam się Jawornicki, jestem dyrektorem katerynosławskiego muzeum historycznego. I chcę was, mój kochany, uprosić, abyś-

cie podarowali te rzeczy do muzeum. Będzie to bardzo zacne z waszej strony. Zgoda?

Pop, już przygotowany do rozmowy ze starym, siedział milcząc i czekał na moment, w którym najporęczniej będzie wpłynąć na Ostapa bożym słowem.

Widać było, że dziad i baba są w rozterce, że żał im się rozstawać z cennym spadkiem po przodkach — Zaporożcach.

— My nie przeciwni — rzekł Ostap — ale... Gdyby sprzedać, to co innego! Kupcie, a my tanio sprzedamy.

— Ileż też chcecie?

— Pięćdziesiąt karbowanów.

— Boga się nie boicie! Co wy! Gdzie to widziano, żeby za starocie żądać tyle pieniędzy!

Teraz zabrał głos pop:

— Ukochani w Chrystusie, Ostapie i Ulano! Pamiętajcie na wszechmogącego Pana naszego! Pan dał, Pan wziął, w tym Jego moc. Nie bądźcie chciwi, pieniądz od szatana pochodzi, jego to pokusa. A dającemu nie odmówi Pan.

— Słusznie prawi ojczulek — podchwytuje Jawornicki — pieniądz to plewy, dziś jest, jutro nie ma. Ale sumienie, szacunek u ludzi, oto co najdroższe!

Starzy wahali się jeszcze trochę, ale wreszcie ci-chutko poszeptali między sobą i rzekli:

— Takeśmy uradzili: nie trzeba nam waszych pieniędzy. Jak to ma być dla muzeum, to bierzcie jedno i drugie za darmo. Niech na zawsze zostaną w muzeum. Może i o nas ludzie kiedy wspomną.

— Dzięki wam, dobrzy ludzie — rzekł Jawornicki uściskawszy ręce obojgu starym i ucałowawszy dziadka Ostapa. — Przysłużyliście się dobrej sprawie. Imiona wasze zostaną teraz na zawsze zapisane w księdze muzealnej. Pokolenia będą wiedziały o was, przez wieki będą wspominać was dobrym słowem.

## POSZUKIWACZE SKARBÓW

W roku 1915 do muzeum doszła wiadomość, że w rejonie jurjewskim, w pobliżu Katerynosławia, chłopci rozkopują mogiły i szukają w nich skarbów. Usłyszawszy to Dmytro Iwanowicz udał się tam natychmiast. Już z daleka zobaczył rozkopaną mogiłę. Ale nie od razu zaczął ją badać. Najpierw wypytał wieśniaków o wszystkie szczegóły.

— U nas tutaj stary Ochrym z synem i żoną po całych nocach rozkopują mogiły, złota jakiegoś szukają — opowiadali chłopci. — Mówimy Ochrymowi: „daj spokój, rzuć to głupie zajęcie, żyto ci dojrzało, czas już kosić”, a ten nic, tylko kopie, nawet o gospodarstwie zapomniał.

— I co wykopał? — zapytał Jawornicki.

— Skarbów nie znalazł, wciąż natrafia na jakieś skorupy, gnaty, starą zardzewiałą broń i temu podobne.

Profesor udał się do sadyby Ochryma. W podwórzu cicho, okiennice zamknięte. „Śpi” — pomyślał archeolog. Zapukał do okna — nic nie słyhać. Dopiero po drugim, głośniejszym pukaniu otworzyły się drzwi i na progu stanął niewysoki siwy chłopiec o zaspanych oczach, z rozczochraną czupryną.

— Witajcie, dziadku Ochrymie.

— Witajcie. A wy skąd mnie znacie?

— Jak to skąd? Po całej guberni chodzą słuchy, żeście tutaj złoty skarb wykopali. Czy to prawda?

— Jacy to teraz ludzie! Ledwo wziąłem do ręki łopatę, zaraz „skarb znalazł”, jakby to było kopanie kartofli!

— A coście wykopali?

— Ot tam leżą skorupy, kości, strzemiączko z brązu i różne żelastwo, ale skarbu przecież nie znalazłem — skarżył się stary.

— Czy można u was napić się wody?

— Pewno że można! A pan skąd? — zainteresował się stary.

— Przyjechałem z Katerynosławia, żeby obejrzeć za-  
bytki, a mogiły także mnie interesują. Dobrą macie  
wodę, dziękuję. Ciekaw jednak jestem, coście wykopali.  
Pokażcie no mi.

Stary rozłożył wykopane przedmioty na dwie kupki:  
na jedną złożył małowartościowe, jak sądził, kości, na  
drugą — wartościowe przedmioty: żelazne strzemią, a  
brązowe groty strzał, sztylety.

— Słyszałem — powiada — że takie rupiecie, jakie  
wykopałem, można sprzedać. A pan by tego nie zechciał  
kupić?

Profesor pochylił się nad znaleziskami.

— Niechże się temu przyjrzę. Ciekaw jestem, ile  
chcecie za te gnatki i żelastwo?

— Dacie dwadzieścia pięć rubli?

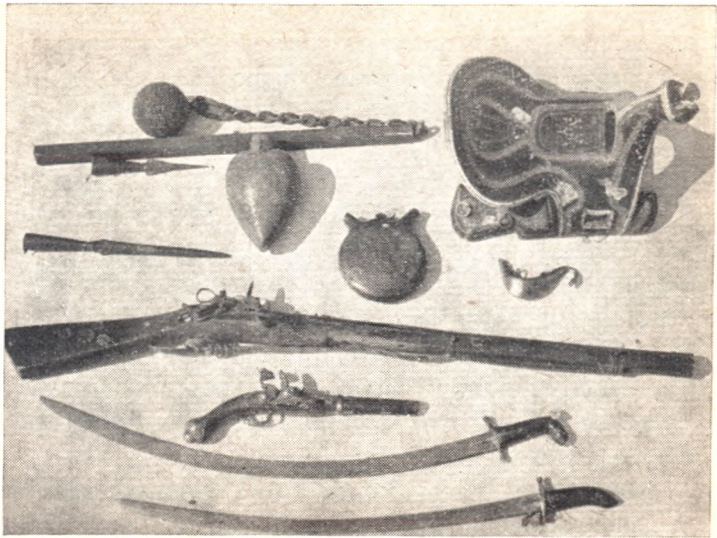
— A cóż wy, człowieku, woły sprzedajecie, czy co?  
Można to tak zaceniać?

— A ile ja nocy nie spałem, nic, tylko kopałem, mor-  
dowałem się! A pan się dziwi?

— Ależ nie dziwię się wcale. Ja, widzicie, jestem pro-  
fesor Jawornicki z muzeum. Słyszeliście może?

— Słyszeć, tom nie słyszał, ale w muzeum byłem.  
Widziałem tam różne rupiecie, takie same, jak te  
u mnie. I myślę sobie po powrocie: wezmę ja rydel,  
spróbuję, może także coś wykopię. Wykopałem, widzi  
pan? Wykopałem!

— Nie można, serce, tak kopać. Na to jest specjalne  
prawo. Kopie się nie tak, jak się komu zechce. Robią  
to archeolodzy, ludzie badający pamiątki przeszłości.  
A wyście kopali na chybił trafił, że niby — co znajdzie,  
to zabiorę. Tak się nie godzi. A jeżeli pragnęliście zna-  
leźć złoto, dojść do bogactwa, to wierzcie mi, w mogi-



*Rynsztunek bojowy Zaporozca*

łach go nie znajdziecie. Wybijcie sobie z głowy te pomysły. Powiedzcie mi, kochany dziadusiu, umiecie wy czytać i pisać?

— Nie!

— I podpisać się nie umiecie?

— Nie umiem.

— Umieć czytać i pisać to skarb prawdziwy. Tego skarbu szukajcie. I nie w mogile, lecz w książce.

— Toż ja rozumiem. Ot tak — bieda mnie zmordowała, ciemnota nasza... Gdzie mi tam do nauki!

Dmytro Iwanowicz przysiadł na progu i spisał to wszystko, co Ochrym wykopał.

— Powinniście się podpisać tutaj, kochany przyjacielu — zwrócił się do starego. — Szkoda, że nie umiecie. Cóż tu zrobić?

— No to postawię krzyżyki, tyle mojej piśmienności.



— Tutaj postawcie krzyżyk — pokazał profesor. — Szkoda mi waszej daremnej pracy. Wszystko, coście wykopali, zabiorę do muzeum, bo u was to będzie leżeć bez pożytku, a tam zostanie wystawione do oglądania.

— A moja praca?

— Wiecie, państwo nie płaci za tę pracę, bo przez nieświadomość poniszczyliście dawne pamiątki, popsuliście niektóre rzeczy. Dam wam parę groszy, ale radzę nie szukać więcej złota w mogiłach.

Jawornicki nie miał pieniędzy, by opłacać tego rodzaju pracę, nie miał nawet na zakup eksponatów. Szkoda mu jednak było starego i co mógł zapłacił mu z własnej kieszeni.

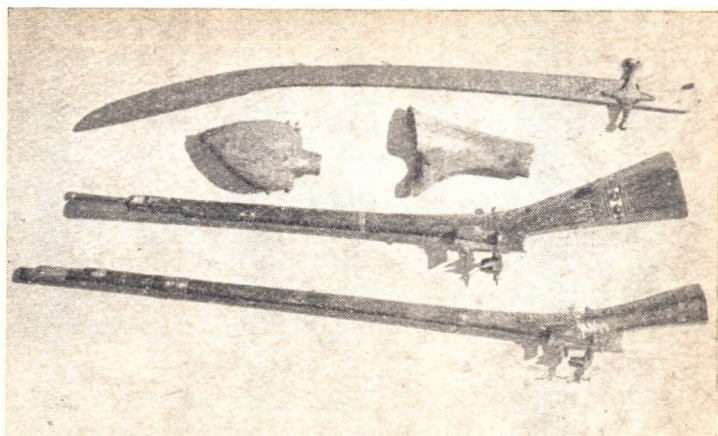
— Macie tutaj dziesiątkę, daję to z własnych pieniędzy. Dziękuję wam za to, że zachowaliście wykopane przedmioty, nie pogubiliście ich. W niedzielę znajdziecie sobie wolną godzinę i przyjedźcie do mnie, do muzeum, i to nie sami, zabierzcie jak najwięcej sąsiadów. A tam, w muzeum, opowiem wam o archeologii, o skarbach i o różnych takich sprawach, o jakich nawet nie macie pojęcia.

— Dziękuję. Postaramy się przyjechać.

#### PRZEPUSTKA

We wsi Wownihy, rozrzuconej szeroko na brzegu Dniepru poniżej Dniepropietrowska, Jawornicki bywał częstym gościem. Miał tam wielu przyjaciół i nieraz wstąpił do którego, aby odpocząć, usłyszeć żywe słowo, znaleźć jakiś przedmiot.

Po raz pierwszy zajrzał tam w 1904 roku. Gdzieś się dowiedział, że u rybaka Kornija Pyndycza zachowały się dwa cenne obiekty: szabla kozacka i pistolet skał-



*Szabla, rusznice i prochownice*

kowy. Dmytro Iwanowicz wstąpił do chaty, przywitał się, zapytał, co słyhać, jak rodzina, jak gospodarstwo. Wszystko go interesowało: gdzie, czym i jak łowi się ryby, jakie stroje noszone są na wsi, jak się obchodzi wesela; uważnie słuchał mowy, interesował się zwyczajami i obyczajami. Siedział z gospodarzami do późnego wieczora, a w końcu zapytał:

— Wiecie, co mnie tutaj sprowadza?

— Mówcie!

— Słyszałem, że się u was dotąd zachowała starodawna broń. Czy można ją obejrzeć?

Pyndycz wyciągnął szablę i pistolet i podał je Jawornickiemu. Rzeczy te najwidoczniej spodobały się gościowi. Uważnie je oglądał, a dotykał ostrożnie niczym świętości. Patrzyli na niego i czekali, co będzie dalej, czego to chce uczony. Ten uśmiechnął się i grzecznie powiedział:

— Patrząc na tę szabelkę i pistolet i myślę sobie, jaką by stanowiły ozdobę dla muzeum. Akurat tego rodzaju

broni nam brakuje. Bardzo was proszę, kochany, podarujcie te rzeczy muzeum. Cześć i chwała wam będzie po wiek wieków!

Kornij kochał swoją broń, prezentował ją często przyjaciołom i gościom, pysznił się z posiadania takiej starożytności.

Nieskory był Kornij do podarunków. A tym razem zdradził sam siebie. Ku wielkiemu zdziwieniu rodziny odpowiedział:

— Ha, trudno, proszę zabrać. Niech i ja się przysłużę narodowemu muzeum swoją cegiełką.

Dmytro Iwanowicz uściskał rękę gospodarzowi, jego żonie i synowi Andrijowi, a przy pożegnaniu oświadczył:

— Dla całej waszej rodziny i najbliższych krewnych wystawię stałe przepustki, będziecie mieli bezpłatny wstęp do muzeum.

Od tego czasu Pyndyczowie stali się częstymi gośćmi muzeum.

W tej samej wiosce u innego wieśniaka Jawornicki zdobył czamarę. Wszystkie te przedmioty do dziś przechowywane są w muzeum.

— Pewnego razu — wspomina Andrij Pyndycz — znalazłem w okolicy Katerynosławia starą monetę i zaniósłem ją do muzeum. Dmytro Iwanowicz oczyścił ją, obejrzał przez lupę i uznał, że jest to bardzo rzadki i wartościowy okaz. Bardzo mi dziękował i wystawił ją w dziale numizmatyki.

Andrij Pyndycz nieraz towarzyszył Jawornickiemu, kiedy ten jeździł na wykopaliska albo na badanie porońców czy wysp dniewprowych.

— Pytano mnie czasem — opowiada Andrij — czy my kopacze dużo zarabiamy? Niektórzy po prostu nie chcą wierzyć, kiedy mówię, że pracowaliśmy bez wynagrodzenia, z własnej chęci. Bo kto chociaż raz był

z Dmytrem Iwanowiczem na brzegu Dniepru, usłyszał jego słowa, jego ciekawe opowiadania, ten już go nie opuścił. I ja taki byłem, do pracy chodziłem bez zapłaty. Co prawda, sam się troszczył o wyżywienie i głodni nigdy nie byliśmy. Najczęściej gotował dla nas juszkę. Jakaż to była smaczna juszka! Dmytro Iwanowicz kładł do kotła na dziesięć osób złowione przez nas w Dnieprze świeże ryby, dodawał liścia bobkowego, angielskiego ziela, ziemniaków. Bractwo się tak zajadało, że nawet za uszy nie oderwałbyś od kociołka. Toż to była juszka!

Pewnego razu podczas odpoczynku Dmytro Iwanowicz zwrócił się do archeologów:

— Chcecie, to poczęstuję was ziemniakami po kozacku. Wiecie, jak je przygotować?

— Gdzie tam! Niech pan nam przygotowuje.

Dmytro Iwanowicz poprosił gospodarza, u którego kwaterowaliśmy, aby przyniósł saganek i podgrzał piekarnik. Wziął ze dwa kilogramy zwyczajnych ziemniaków, wsypał do saganek, sparzył, starannie oczyścił każdy ziemniak szczoteczka, omaścił olejem, posypał solą. Postawił saganek z ziemniakami do piekarnika i za czterdzieści minut ziemniaki po kozacku były gotowe.

— Jak się jada te ziemniaki, obrane czy w łupinach?

— Jada się nie obrane, ot tak! — i Dmytro Iwanowicz pierwszy zjadł swojego ziemniaka, a za nim poszli archeolodzy i kopacze.

— No, jak? — spytał z uśmiechem.

— Bardzo smaczne. Jak widać, Zaporozcy umieli tak przyprawiać ziemniaki, że odjeść się ich nie można.

— Z pewnością. Kto goły, ten ma pomysły.

Po kolacji zawsze były ciekawe pogwarki i śpiewy. Nikt z nas nigdy nie zwieszał nosa na kwintę, bo Dmy-

tro Iwanowicz miał zawsze jakiś dowcip w pogotowiu. Nieraz rozdziałaliśmy gęby, a od Jawornickiego oczu nie mogliśmy oderwać.

— Zaraz za Nienasyteckim porohem znajduje się Wownihowski, zwany przez lud Wnuk-poroh, a tamten — Dziad-poroh. Gdy idzie ku pogodzie, to nieraz się hukiem jeden z drugim nawołują. Słysząc jakiś czas jak ryczy, szumi, huczy, wstrząsa ziemią Dziad-poroh i milknie raptem, stęknąwszy głucho. Wtedy zaczyna Wnuk-poroh i z kolei on ryczy, szumi i huczy. I nagle zacicha, tylko jęk daje się słyszeć.

— Jaki to był w Siczy diak? — zagadnięto kiedys uczonego.

— Diak w Siczy to nie był zwyczajny diak. Chodził w półsutannie, ale za pasem miał pistolet, przy boku szablę i krzyż mu się dyndał na szyi. Kiedy Kozakom trzeba było usłużyć, diak nie wahał się nadstawić własnej głowy. Chadzał na zwiady, a podczas bitwy tyłów nie pilnował. Zanim nowicjusza przyjęto do Siczy, odbyć musiał rozmowę z diakiem:

„Czy wierzysz w Boga?”

„Wierzę!”

„Przeżegnaj się! Gorzałkę pijesz?”

„Piję!”

„Zaraz widać, żeś chrześcijańska dusza!”

Teraz nalewał diak dzban gorzały i częstował nowego siczowca, a na zakąskę podtykał mu tarańkę. Kiedy gorzałki było niewiele, to zatrzymywał ją dla siebie, a nowicjuszowi dawał tylko powąchać ogon tarańki.

Podjechali raz wołami do kopaczy dwaj chłopci z sąsiedniej wsi, przywitali się z profesorem i mówią:



*Karaika zaporoska*

— Jutro, Dmytrze Iwanowiczu, jedziemy do Katerynosławia, może jest coś do przewiezienia dla muzeum, to możemy dostarczyć bez zapłaty.

— Mam, owszem, prośbę — rzekł Dmytro Iwanowicz. — Zawieźcie do muzeum kamienną babę i pięć skrzynek z przedmiotami wykopanymi tutaj koło Wownih.

Gdziekolwiek przebywał Dmytro Iwanowicz, wszędzie włościanie pomagali bądź w rozkopywaniu grobów, bądź też w dostarczaniu eksponatów do muzeum. Robili to bezpłatnie, przez szacunek dla uczonego i przywiązanie do muzeum.

Andrij Pyndycz odwiedził z Dmytrem Iwanowiczem wszystkie porohy. Najbardziej pamiętny był dla niego Nienasytec, najniebezpieczniejszy, ale też najbardziej zajmujący. I dorośli, i młodzież w licznych grupach wyruszali co lata do tego porohu, aby podziwiać niezwykle zjawisko przyrody, napawać się jego dzikim, ale urzekającym pięknem. Ostatecznym celem wszystkich wycieczek była skała Monastyrko. Przyjemnie było tam posiedzieć nad urwiskiem, popatrzeć na spienione nurty, z rykiem i grzmotem spadające po kamieniu. Na tej skale widać dwa wgłębienia, na temat których powstały różne podania.

Mówią, że w 1787 roku podróżując po Dnieprze zatrzymała się tutaj carowa Katarzyna, zstąpiła na ten gład i tutaj piła herbatę, a wgłębienia to ślady jej nóg. Według innego podania, wgłębienia te służyły Zaporozcom jako misy.

Gdy Pyndycz był razem z Dmytrem Iwanowiczem na tym porohu, uczoney pokazał mu wykute w skale: talerz, widelec i prosiaka, a był podobno i napis: „Jedz i pij, dobry człowieku”. Wykuli to ponoć Kozacy zaporoscy. Nie ma co, gościnni ludzie!

Do Nienasytca było można się dostać wodą i lądem. Drogę lądową przecinał za letniskiem podmiejskim tunel nowej kolei żelaznej Merefka-Cherson. Dalej jechało się pomiędzy dwoma bliźniaczymi mogiłami, na prawo i na lewo od gościńca.

O tych mogiłach opowiadano, że przed wiekami żył tu jakiś król, posiadający wiele małżonek. Jedną z nich kochał ponad wszystkie, toteż inne nienawidziły tej

wybranej. Na domiar złego ukochana żona długo nie miała potomstwa. W końcu urodziły się jej bliźnięta. Zawistne żony namówiły lekarza, aby ją oskarżył o zdradę. Rozgniewany władca kazał zakopać ją żywcem razem z bliźniętami. Niezadługo wyszło na jaw, że lekarz oczernił królową. Wtedy król rozkazał lekarzowi, aby usypał dwa kopce, jeden w miejscu, gdzie pogrzebano królową, drugi obok. Chciał w ten sposób zamęczyć go na śmierć, jednakże lekarz miał przy sobie jakieś zioła, które nieustannie odnawiały w nim siły. Nosząc ziemię bez odpoczynku usypał dwa ogromne kopce, ale wciąż był żywy.

Król więc kazał odebrać mu wszystkie zioła — i lekarz skonał. Pochowano go pod drugim kopcem. Raz w roku na jednej mogile pojawia się królowa z bliźniętami, a na drugiej, pod którą pochowano lekarza, bije w niebo słup ognia.

Mogiły te mają znaczną wysokość, otwiera się z nich piękny widok na okolicę.

### KONCERT KOBZIARZY

Było to latem 1925 roku. Na ulicach Katerynosławia rzucał się w oczy wielki kolorowy afisz zapowiadający koncert w teatrze operowym, na którym wystąpi przybyła do miasta pierwsza kijowska kapela kobziarzy, a słowo wstępne o kobzie<sup>39</sup> i kobziarzach wygłosi profesor D. I. Jawornicki.

Nazwisko Dmytra Iwanowicza wywołało wielkie zainteresowanie koncertem, toteż bilety zostały wykupione już na kilka dni z góry.

Gdy podano do wiadomości, że głos zabierze Dmytro Iwanowicz, w sali rozległy się huczne oklaski. Prelegent przemawiał przez całą godzinę.



Wyłożył najpierw historię kobzy, potem szczegółowo opowiedział o znakomitym kobziarzu Mychajle Krawczence i jego dumkach: *O wypadkach soroczyńskich 1905 roku oraz O czarnej niedzieli w Soroczyńcach*.

— W roku 1905 odbywał się tutaj w Katerynosławiu zjazd archeologiczny — mówił Dmytro Iwanowicz. — Znalazłem wówczas i sprowadziłem na zjazd tylko dziewięciu niewidomych kobziarzy, jacy chodzili po rynkach i jarmarkach, śpiewali wszelkie psalmy i w ten sposób zbierali swoje grosiaki. Nie znalazło się ich więcej, bo kobziarstwo niestety zamierało. Ale kiedyś, za dawnych czasów, kobza była najulubieńszym i najbardziej rozpowszechnionym wśród Kozaków instrumentem muzycznym. Przy jej dźwiękach Zaporozcy lubili śpiewać i tańczyć. I tak tańczyli, że ziemia się trzęsła, a kurz wzbijał się pod chmury.

Graj, aż nogi obie na plecy zarzucę sobie,  
Niech świat widzi cały, jaki Kozak wdały!

Zebrani kobziarze i obecny na wykładzie naukowiec M. A. Fedczenko zapamiętali taki ciekawy fragment.

— Wybrałem się rano do muzeum — opowiadał Jawornicki — otwieram drzwi, a te mi stawiają opór. Patrę, a tu na schodach siedzi jakieś chłopię może piętnastoletnie. Pytam:

„Skądeś ty, chłopcze?”

„Z Sołonego”.

„Czemu tutaj siedzisz? Na kogo czekasz?”

„Szukam Jawornickiego. Może to pan?”

„Tak, to ja, a co za sprawę masz do mnie?”

„Chciałbym nauczyć się grać na kobzie, ale kobzy nie mam”.

„Dobre masz, chłopcze, zamiary. Jak się nazywasz?”

„Mykoła Petrenko”.

Dmytro Iwanowicz zaprosił Mykołę do siebie, nakarmił, dał mu pieniędzy na drogę i list polecający.

„Masz, Mykoło, dziesiątaka i list. Siadaj w pociąg i jazda z tym pisemkiem na Charkowszczyznę, do mego starego przyjaciela Hnata Chotkiewicza. On ci pomoże zostać kobziarzem i nauczy cię grania”.

Minęły dwa lata. Jawornicki zdążył już zapomnieć o chłopcu.

Aż tu pewnego razu zadzwonił do drzwi przystojny, chwacki młodzieniec z kobzą. Zwraca się do Dmytra Iwanowicza i pyta:

„Już mnie pan nie poznaje, profesorze?”

„Jakoś nie mogę sobie przypomnieć!”

„Przecież mnie pan posyłał z listem do Chotkiewicza. Mam już kobzę i trochę się nauczyłem grać na niej”.

„Patrzajże, a ja zapomniałem. Chodźmy do mnie... No, Kozacze, zagrajże mi, ale tak, żeby ziemia dudniła!”

I Mykoła zagrał tak, że gospodarzowi łzy stanęły w oczach. Poznał kunszt Chotkiewicza.

Dmytro Iwanowicz dobrze znał mowę ludu i jego obyczaje. Na wykładach czy w rozmowie umiał posługiwać się ludowymi przysłowiami i charakterystycznymi wyrażeniami, co okraszało jego mowę i chwytano za serce słuchaczy. Po tym pamiętnym koncercie Fedczenko często chodził do muzeum posłuchać pogawędek Jawornickiego, a ich prostota, celność, obrazowość zajmowały go tym bardziej, że sam był wykładowcą i wiele mógł skorzystać u Jawornickiego.

Nazajutrz po koncercie Dmytro Iwanowicz podejmował kobziarzy dobrym obiadem i domowymi nalewkami, a po obiedzie zwrócił się do gości:

— No, Kozacy, zagrajcie mi na swoich kobzach dumki ludowe! Ale najpierw zaśpiewajcie, synkowie, marsz zaporoski.





*Zaporoska kobza*

Poszedłem do uriadnika <sup>40</sup> w gminie i mówię mu przy wódce: „Pana się tutaj wszyscy boją, niech pan postraszysz tę niedorzeczną przeoryszę, żeby oddała do muzeum owe historyczne drzwi”. Uriadnik dosiadł konia, pogalopował do klasztoru i ponoć tak ją zakrzyczał, że gotowa była oddać nie tylko drzwi, ale nawet cały ołtarz.

Po kilku dniach drzwi znalazły się tutaj. Przełożona dąsała się na mnie, ale pał ją lichy, przywykłem już do tego i nie zwracam uwagi.

W roku 1935 Jawornicki ukończył 80 lat. Małżonka upiekła tradycyjne ciasto, a jubilat zaprosił do siebie miejscowego kobziarza W. I. Nosaczewskiego, obdarzonego pięknym, lirycznym tenorem. Kobziarz uraczył Dmytra Iwanowicza najpierw pieśnią *Dumy moje, dumy*, potem zaśpiewał *Zorzo moja wieczorna*, pieśni o Bajdzie, Karmeluku, Morozence, Suprunie, a także wiele innych, poważnych i żartobliwych.

W przerwach Dmytro Iwanowicz opowiadał mi, jak powstała i rozwijała się kobza, mówił o kobziarzach, jako twórczej sile narodu, o rozwoju tej sztuki muzycznej. Opowiedział też o kobziarzu Weresaju.

— Znałem go, słuchałem jego pieśni i rozmawiałem z nim. Zapoznał nas Mykoła Witalijewicz Łysenko <sup>41</sup>. Weresaj był człowiekiem bardzo zdolnym, pięknie grał i śpiewał, ale urody był nieszczerzej, a żonę miał śliczną. Spytałem ją pewnego razu, jak to się stało, że taka ładna kobieta wyszła za męża za starego, niewidomego, brzydkiego Ostapa?

„Opowiem — mówi. — Kiedy się Ostap do mnie zalecał, wielokrotnie mu odmawiałam. A on przyjdzie nieraz z kobzą, siądzie przy chacie i jak zagra, zaśpiewa, to doprawdy dusza się rwie... Dusza we mnie tajała — sercem moim owładnął. Aż w końcu wyszłam za niego”.

Mówił jeszcze Dmytro Iwanowicz swemu gościowi o tym, jak to swego czasu wiele ukraińskich śpiewaków i kobziarzy zażywało sławy także w Rosji, nawet na carskim dworze. Wspomniał Hryhoryja Lubystka, który za młodu wzięty był na dwór carski, a tam dla rozrywki młodej carowej Elżbiety<sup>42</sup> grał na kobzie i śpiewał pieśni ludowe. Gdy zaś Elżbieta dorosła, specjalnym pismem pozwoliła Lubystkowi powrócić na ojczyznę Połtawszczyznę.

— Dziękuję, Dmytrze Iwanowiczu — zegnał się Nosaczewski — za waszą gościnność, za dobre i serdeczne słowa.

#### JESZCZE JEDEN ZNALEZIONY SKARB — TALENT

Znajomość cieśli z Mandrykówki, Mychajła Tymofijowicza Owczarenki, z profesorem Jawornickim datuje się od pierwszych lat powstawania muzeum. Mychajło i brat jego Wasyl robili wspaniałe meble i gabloty, byli mistrzami swojego fachu.

Dowiedział się o tym Dmytro Iwanowicz, zaszedł pewnego razu do Mandrykówki, znalazł Mychajła Tymofijowicza i zaprosił go na stałe do pracy w muzeum. Wykonywał on tam przeważnie piękne gabloty na eksponaty.

Pracownia jego mieściła się w suterenie muzeum. Stolarz miał zwyczaj śpiewać przy pracy. Kiedyś dźwięczny jego głos usłyszał Dmytro Iwanowicz. Zszedłszy do suterenu posłuchał uważnie za drzwiami pieśni stolarza i wszedł do pracowni.

Na prośbę profesora stolarz zaśpiewał swą ulubioną pieśń „Wieje wiatr między górami”. Dmytro Iwanowicz siedział na ławie, stolarz stał przy warsztacie i mrużąc z lekka piwne oczy śpiewał. Siła i brzmienie głosu

Mychajła Tymofijowicza kwalifikowały go na tenora liryczno-dramatycznego.

— Pięknie śpiewacie. Spróbujmy może zaśpiewać we dwójkę — zaproponował profesor.

— Dobrze — zgodził się stolarz. — Może *Patrzę ja na niebo?*

Obydwaj podchwycili melodię i zgodnie wyśpiewali ją do końca.

Dmytro Iwanowicz zaczął częściej spotykać się ze śpiewającym stolarzem, zapraszał go do domu i słuchał pieśni, które cieśla wykonywał przy akompaniamencie kobzy. Jeszcze bardziej się zbliżył z nim, kiedy się dowiedział, że stolarz jest zaprzyjaźniony ze znanymi artystami, Patorzyńskim i Cesewiczem.

Patorzyński swego czasu kierował w Dniepropietrowsku chórem im. Łysenki. W skład chóru wchodziłi trzej bracia Owczarenkowie, Mychajło, Iwan i Wasyl. Razem z Cesewiczem występowali nieraz na koncertach w mieście i w podmiejskich wioskach. U Wasyla Owczarenki zachowała się fotografia kapeli, na której widoczni są Patorzyński i wielu mandrykowczan, między innymi bracia Owczarenkowie.

— U nas — mówił Wasyl — z dawna cała Mandrykówka śpiewa, to już weszło u nas w zwyczaj.

A Olga Mychajłowna Owczarenko opowiada:

— Nie zapomnę, jak Dmytro Iwanowicz chciał mego ojca wyprowadzić na ludzi. Było to tak:

Przyjechał z Petersburga do muzeum, do profesora Jawornickiego, wielki śpiewak rosyjski Sobinow. Dmytro Iwanowicz oprowadzał go przez cały dzień po muzeum, a w końcu rzekł:

„Nie wszystko jeszcze pokazałem kochanemu panu”.

„I cóż tu jest ciekawego, czego jeszcze nie widziałem?”

„Jest jeszcze skarb. Chce go pan zobaczyć?”

„A jakże, z wielką przyjemnością, to chyba jakiś złoty skarb?”

„O nie, nie złoty, znacznie kosztowniejszy!”

Profesor zwrócił się do woźnej muzeum, babci Dibrowy, i szepnął jej:

„Zawołajcie szybciotko Mychajła Tymofijowicza!”

Za kilka minut przed Dmytrem Iwanowiczem i gościem stanął stolarz w płóciennym fartuchu, z dłutem w rękę, gotów wykonać natychmiast jakąś naprawę gabloty.

„Oto jest skarb, który chciałem panu pokazać!”

Sobinow podał stolarzowi rękę i popatrzył zdziwiony, nie rozumiejąc, o co chodzi. Myślał, że otworzą przed nim skrzynię ze starymi skarbami, a zobaczył zwykłego robotnika z czarnym wąsem, starannie uczesanego z przedziałkiem, trzymającego w rękę dłuto.

„Przed wami — zwrócił się Jawornicki do cieśli — człowiek wielkiej kultury, wpływowy gość ze stolicy. Bardzo lubi pieśni — zaśpiewajcie mu coś”.

O tej porze muzeum już było nieczynne i dla zwiedzających zamknięte. Mychajło Tymofijowicz trochę się skonsternował i zawahał przed nieznanym, ale zgodził się zaśpiewać i wykonał swoją ulubioną pieśń *Powiej, wietrze, na Ukrainę*.

Gość stał oczarowany. Wsłuchiwał się uważnie we wszystkie odcienie melodii. Widać było, że wykonanie pieśni nie tylko mu się podobało, ale też zrobiło na nim duże wrażenie.

„Ta była ukraińska, a może teraz dla gościa coś z pieśni rosyjskich?” — poprosił Dmytro Iwanowicz.

„Jeśli się szanowny gość zgodzi, to zaśpiewam: *Nocz' soszła...*”

Mychajło Tymofijowicz wykonał i tę pieśń.

„Widzę, że pan nie żartuje, to prawdziwy skarb. Cemuż to się dalej nie uczycie?”



„Gdzie mi tam do nauki! Ukończyłem dwie klasy, a teraz siekiera, strug, piłka — tyle mojej nauki”.

„Umyślnie pokazałem panu Mychajła Tymofijowicza — wtrącił się profesor Jawornicki — aby pan usłyszał jego głos, stwierdził zdolności i pomógł mu dostać się do szkoły teatralnej w stolicy. Bardzo bym sobie tego życzył, bo przecież sam pan widzi, jaki talent się marnuje!”

„Dobrze, zajmę się tym”.

Czas mijał. Dmytro Iwanowicz zdążył już zapomnieć o tym spotkaniu.

Ale po kilku tygodniach na jego nazwisko przyszła koperta, a w niej pismo wzywające uzdolnionego śpiewaka do stolicy.

„Daję panu — zwrócił się Dmytro Iwanowicz do stolarza — trzy dni czasu na przygotowanie się, a potem jazda do stolicy na naukę. A kiedy już pan wyjdzie na ludzi i będzie występować w stołecznych teatrach, to wspomni sobie i mnie starego”.

Niedługa była radość stolarza. Gdy po powrocie do domu opowiedział o wszystkim żonie, kobieta rozpłakała się.

„Dokąd ty jedziesz? Komu nas zostawiasz? Zostań! — błagała. — To nie na naszą kieszeń ta podróż do Petersburga, zginiemy tutaj bez ciebie jak muchy”.

Łzy małżonki i trojga dzieci, perswazje, błagania, zrobiły swoje. Owczarenko się pomartwił, pomarkocił, że tak się ułożyły warunki, ale zaniechał myśli o podróży do stolicy.

Bardzo się gniewał Dmytro Iwanowicz na niego i na jego małżonkę.

„Tak to się marnują talenty!” — powiedział ze smutkiem, narzekając może na Owczarenkę, a może na te okoliczności, które nie dały mu skorzystać z pomocy, pójść za swoim powołaniem i zostać artystą.

## OSOBLIWE PŁÓTNO

Każdego, kto zwiedza muzeum historyczno-archeologiczne w Dniepropietrowsku, intryguje zagadkowy obraz malowany na drzwiach.

Niezwykłe są dzieje tego obrazu.

Pewnego razu Riepin przysłał do Jawornickiego swego zdolnego ucznia, Mykytę Strunnykowa. Dmytro Iwanowicz ciekawie i z zapałem opowiadał malarzowi o bohaterskich czynach Zaporozców. Opowiadania te tak porwały Strunnykowa, że powziął zamiar uwiecznienia walczącego Zaporozca. Pragnął zresztą odwdziżyć się uczonemu, który ze swoich zbiorów dostarczał mu różnych potrzebnych rekwizytów.

— Dmytrze Iwanowiczu, co mam panu namalować na pamiątkę?

— Niech mi pan namaluje straszego Zaporozca, pokaże jego siłę, męstwo, odwagę, i to taką odwagę, żeby ludzie uwierzyli, że nieprzyjaciel bał się nie tylko Kozaka, ale nawet jego wyglądu.

Młody malarz w lot uchwycił zamysł historyka. Pracę swoją wykonał na masywnych drzwiach pokoju, w którym mieszkał Dmytro Iwanowicz. Obraz otrzymał nazwę „Kozak w bitwie”. Na obrazie oblicze Kozaka nabiegłe jest krwią, wzrok płonie nienawiścią, sam jest ranny, ale nie poddaje się wrogowi, który pustoszy najzajdami jego ojczyznę i sprowadza nieszczęścia na lud ukraiński.

Przenosząc się z Moskwy na stałe do Katerynosławia uczony chciał zabrać ze sobą ten obraz na drzwiach. Ale gospodarz domu, znany kolekcjoner teatralny O. O. Bachruszyn, nie chciał oddać swojej hipotecznej własności.

— Drzwi należą do mnie! — twierdził rozgorączkowany.

— Ale Kozak — do mnie! — przeciwstawiał się Jawornicki.

Sprawa oparła się o sąd. Wyrok salomonowy brzmiał: skoro do jednych drzwi są dwaj pretendenci, należy drzwi rozpiłować na pół i przeprowadzić losowanie. Tak też się stało. Na szczęście Jawornicki wylosował górną połowę z wizerunkiem Kozaka, a Bachruszyn dolną. W roku 1905 obraz „Kozak w bitwie” Jawornicki oddał w darze muzeum.

### POD ROZŁOŻYSTYM DĘBEM

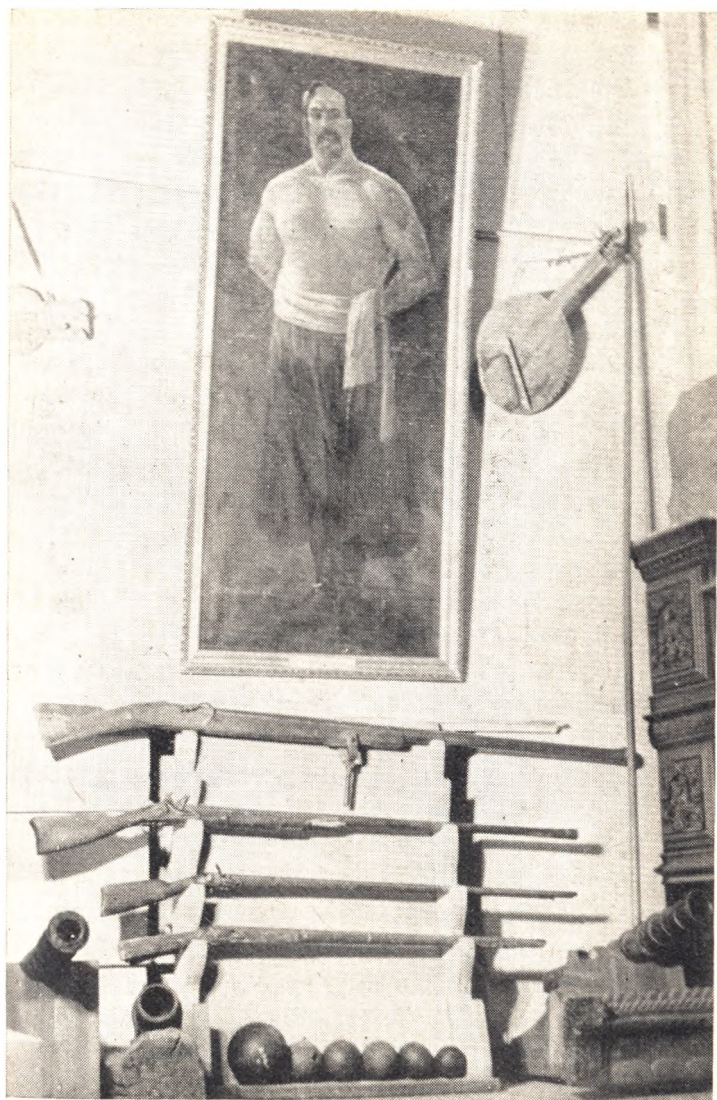
Szlachcic I. Mahdenko chełpił się swoim pochodzeniem z kozackiego rodu. Nosił więc długie wąsy, ubierał się w wyszywaną koszulę, żupan i czerwone szarawary, przychodził w świąteczne dni do muzeum i pysznił się przed profesorem swoim pochodzeniem i strojem.

Drażniło to Jawornickiego, tym bardziej że od dawna chciał zdobyć sukienne hajdawery zaporoskie (miał już żupan) i wystawić strój w muzeum. Ale Mahdenko słyszeć nie chciał o sprzedaniu spodni, choć go o to profesor prosił.

Jawornicki wiedział, że Mahdenko lubi gorzałkę, że pije ją nie kieliszkiem, ale szklanką. Pewnego razu zaproponował mu wspólną wycieczkę.

— Zróbmy sobie w niedzielę spacer łódką po Dnieprze. Opowiem stare dzieje, pokażę piękno brzegów i wysp dniewprowych. Ale przyjąć proszę w kozackim ubraniu, bo tak wypada zwiedzać kozackie okolice.

— Doskonale. Włożę wyszywaną koszulę i szarawary, wszystko będzie jak należy, Dmytrze Iwanowiczu.



*Obraz M. Strunnykowa „Zaporożec” oraz broń palna*

Wyruszyli obaj łódką, wypłynęli za Stare Kodaki.

— Tutaj, koło Mykolskiego, zdałoby się odpocząć — orzekł Dmytro Iwanowicz.

Usiedli na brzegu pod rozłożystym dębem. Jawornicki od razu „zaatakował” panka historią, opowiedział o minionych dziejach, a potem wyjął z plecaka jedzenie i wódkę i rozłożył wszystko na ręczniku.

— Mówią ludzie, że nie ma nic lepszego niż kiełbaska i kieliszeczek. Wypijmy więc i zagryźmy na łonie przyrody.

Na widok trunku zaświeciły się Mahdence oczy.

— Tak właśnie lubię, po zaporosku!

— Zaporozcy lubili wypić, pohulać, a pamiętali i o zmarłych: po śmierci Kozaka kładli mu do trumny kwartę gorzałki, żeby sobie na tamtym świecie mógł uweselić duszę. Tak to było — uśmiechał się Dmytro Iwanowicz.

— A więc — najlepszego!

— Najlepszego! Niech idzie na zdrowie!

Wypili po kieliszku, Jawornicki nalał znowu i udając podochoconego zaśpiewał pieśń, którą bardzo lubił:

A Samara — niegłęboka rzeczka,  
Łodzią przez nią droga niedaleczka.  
Zarosły ścieżki nad wodą,  
Już barek tędy nie wiodą.  
Kiedyś barki tu wodzili,  
Z burłakami przechodzili,  
A dziś tutaj pustka jedna  
I burłaków nikt nie żegna,  
Przez tych panów niegodziwych...

Mahdenko wtórował, profesor dolewał pankowi wódki, swoją kolejkę wylewając ukradkiem poza siebie.

Po półgodzinie Mahdence już się kurzyło z czupryny.

Słońce przypiekało, upał był nie do wytrzymania, aż ciągnęło człeka do wody.

— Ano, Kozacze, ściągać ubranie i do wody! — zawołał Jawornicki.

Mahdenko długo się pluskał w zimnej wodzie, alkohol trochę wywietrzył mu z głowy, więc poprosił jeszcze o kieliszek, a profesor chętnie oddał w jego ręce resztę wódki. Skutek był taki, że po niedługim czasie Mahdenko zwałił się na piasek i zachrapał.

Niewiele myśląc Dmytro Iwanowicz zabrał kozackie szarawary, a zostawił mu inne spodnie. Coś tam napisał na kartce z notesu i włożył ją do kieszeni spodni.

— Jedziemy! — zawołał do locmana. — Popłyniemy do miasta, a za jakieś trzy godziny wrócisz tutaj i zabierzesz pana. Prosił, żeby go nie ruszać. Niech sobie pośpi.

Ocknął się Mahdenko ze snu późnym wieczorem i złapał się za głowę, kiedy znalazł tylko wąskie, czarne spodnie. W kieszeni była kartka.

*Szanowny panie Mahdenko! — pisał Jawornicki. — Szczerze dziękuję za to, że spełnił pan swoją dawną obietnicę i podarował muzeum swoje kozackie szarawary. D. J.*

Na drugi dzień szerokie, czerwone szarawary zaporoskie znajdowały się już w muzeum. A przewidujący Jawornicki ogłosił w miejscowej gazecie podziękowanie panu Mahdence za to, że z własnej chęci przyniósł do muzeum i ofiarował zaporoskie szarawary.

— Mahdenko obraził się na mnie — opowiadał Jawornicki — chciał skarżyć do sądu. Ale się powstrzymał, bo rozniosłoby się, jak to pan został na brzegu bez portek. Zresztą z gazety ludzie się dowiedzieli, że sam przyniósł w darze szarawary do muzeum.

Teraz muzeum posiadało i żupan, i hajdawery — kompletny strój Kozaka zaporoskiego.

## WESOŁY KĄCIK NA WYSTAWIE

W roku 1910 odbyła się w Katerynosławiu wielka południoworosyjska wystawa przemysłowo-rolnicza. Jawornickiemu zaproponowano, żeby opracował dla wystawy makietę sadyby małosyjskiej, jak brzmiała wówczas oficjalna nazwa.

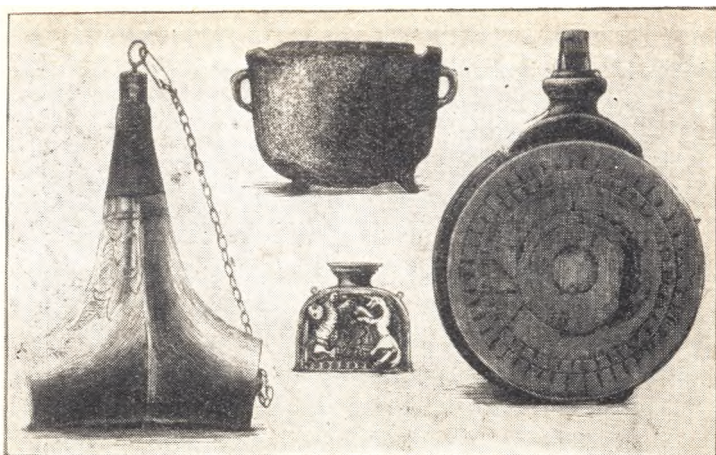
Profesor zaproponował wziąć za wzór typowe gospodarstwo pewnego włościanina z Myszurnego Rogu.

Wydzielono na wystawie plac o powierzchni — 300 sążni kwadratowych i odtworzono na nim zagrodę włościanina, na którą się złożyły: chata, komora, stodoła, obora dla bydła i chlew dla świń. Przy chacie mieścił się ogród, w nim ziemniaki, słoneczniki, basztan<sup>43</sup>, pomidory i kapusta. Naokoło chaty kwitł sad wiśniowy i najczęściej hodowane na Ukrainie kwiaty: aksamitki, ruta-mięta, lubczyk, lilia królewska, róże. Tuż obok chaty stały ule pod słomianymi daszkami i studnia z charakterystycznym żurawiem.

Całe to gospodarstwo otoczono wiklinowym płotkiem z przełazami.

Wewnątrz chata wyposażona była w odpowiednie sprzęty, umajona zielonymi gałązkami i kwiatami: Piec był pięknie wymalowany w kwieciste wzory ukraińskie, przy piecu leże z desek, służące za łóżko, nad leżem kolebka dla niemowlęcia, tuż obok warsztat tkacki, przy którym stale pracował tkacz. Na ścianach wisiały barwiste ręczniki ukraińskie, lusterko, na półkach stały różne naczynia i to wszystko, co było w użyciu na wsi. Na podwórku leżał pług i znajdowały się inne sprzęty gospodarskie.

Dmytro Iwanowicz nie poprzestał na tym. Dla dopełnienia obrazu wsi ukraińskiej profesor zaprosił na wystawę bandurzystę M. Pasiugę, ucznia słynnego Pawlenki. Pasiuga śpiewał przeciągle i smętnie, wtóru-



*Sagan, prochnice i kałamarz*

jąc sobie na bandurze<sup>44</sup>. Od czasu do czasu zjawiał się przy nim Dmytro Iwanowicz i zamawiał dumkę o Kozakach zaporoskich, to znowu prosił uciąć hopaka lub inną skoczną melodię. Wokół bandurzysty, siedzącego pod białą chatą, zbierało się liczne koło słuchaczy, pilnie słuchając rzewnych pieśni i dumek o bohaterach ludowych.

Na wystawie było dużo przyjaciół Jawornickiego. Profesor najwięcej sobie cenił dawnego swego przyjaciela, profesora Terpihorewa, który kierował tutaj działami górniczym i solnym.

Pewnego razu wziął go Jawornicki pod rękę i poprowadził do białej chaty, gdzie siedział bandurzysta Pasiuga otoczony gromadą ludzi.

— Słyszysz pan, Ołeksandrze Mytrofanowiczu?

— Tak, słyszę. Kocham muzykę ludową.

Dmytro Iwanowicz dotknął ręką swoich siwych kozackich wąsów.



— Kobziarz — powiedział — to żywa kronika upośledzonych. Usłyszycie odeń o cierpieniach biedaka i o męstwie rycerskim, śmiech i żarty — wszystko, czym żyje człowiek.

Próżno się obawiał przewodniczący komitetu organizacyjnego wystawy, że w porównaniu z obok położoną fermą amerykańską zagroda ukraińska będzie wyglądać ubogo. Okazała się zasobniejsza, zwłaszcza w dobra duchowe. Świadczył o tym nieprzerwany potok zwiedzających.

Zarząd miasta zorganizował wycieczkę nauczycieli na wystawę. Wykorzystując tę okazję Dmytro Iwanowicz spotkał się z nauczycielami i zaprosił ich do muzeum.

— Drodzy koledzy — zwrócił się do nich — mieszkanie wśród ludzi pracujących na wsi, widzicie ich codziennie, słyszycie ich ciekawe pieśni, podania, baśni płynące z czystych, nie zamulonych źródeł. Zapisujcie więc je, zbierajcie te okruchy, chrońcie pamiątki kultury i stare budynki, opracowujcie historię wsi. Któż bardziej od was jest do tego powołany! Weźcie się do tego zbożnego dzieła, a potomność będzie wam wdzięczna.

Tego samego dnia Jawornicki wydał licznym entuzjastom zaświadczenia upoważniające ich do ochrony pamiątek kultury i stwierdzające, że są oni korespondentami muzeum.

Przed pożegnaniem zbliżył się do niego nauczyciel z powiatu pawłohradzkiego, Apollon Połycki.

— Wasze słowa, Dmytrze Iwanowiczu, przejęły mnie bardzo. Mam zamiar od razu zabrać się do opracowywania historii wsi.

I rzeczywiście Połycki napisał historię wsi Sławianki, Pidhorodne, Nowo-Pawłówka. A do Jawornickiego zaczęły nadchodzić listy z opisami zabytków.

Przy pomocy takich korespondentów Dmytro Iwanowicz wciągnął do rejestru wszystkie zabytki z terenu Katerynosławszczyzny i zapewnił im ochronę.

### W SZTABIE U MACHNY

Z niesamowitym turkotem podjechała do muzeum taczanka <sup>45</sup>. Siedzieli w niej trzej pijani machnowcy <sup>46</sup>. Był to listopad roku 1919, muzeum w owym niespokojnym czasie było zamknięte. Na straży jego skarbów stał dozorca Iwan Josypowicz Popow, człowiek uczciwy, trzeźwy, sumienny, któremu Dmytro Iwanowicz z całym zaufaniem powierzał ochronę muzeum.

Machnowcy wbiegli tylnym wejściem i zażądali otwarcia muzeum, chcąc wywołać wrażenie, zaczęli strzelać z rewolwerów, mierząc obok dozorczy.

— Otwieraj muzeum!

— Nie otworzę!

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie mam kluczy.

— Gdzie klucze? — wrzeszczeli machnowcy.

— Klucze ma dyrektor muzeum, profesor Jawornicki.

— Gdzie mieszka ten twój Jawornicki?

Stary machnął ręką w stronę Dniepru, wskazując drogę do mieszkania Dmytra Iwanowicza.

Żli z powodu niepowodzenia, machnowcy ostro zawrócili ogniste konie i pogalopowali w tamtą stronę.

— Właśnie się ubrałem i chciałem już iść do muzeum — opowiadał Jawornicki — ale słyszę, jak zaturkotała taczanka i raptem zatrzymała się koło domu. Spojrzałem w okno — jacyś ludzie z karabinami. Domyśliłem się natychmiast, że to machnowcy. Ciarki mnie przeszły, ale udaję, że nic, stoję cicho, może po-

jadą dalej. A te psubraty nuże walić w drzwi pięściami i obcasami, aż tynk począł odpadać z sufitu. Widzę, że nie wytrzymam oblężenia, otwieram. Ci bez pardonu hurmą wpadają do przedpokoju, a z nimi taka zabawna kusa psina.

— Czego tutaj chcecie, coście za jedni? — pyta profesor.

— Machnowcy!

— Aha, zaraz zapiszemy — profesor wziął zeszyt i zapisuje. — Czegóż sobie życycie?

— Gdzie klucze od muzeum?

— Przede wszystkim trzeba się przywitać z gospodarzem, gdy już się weszło do jego domu, a następnie po ludzku mówić do niego, a nie pokrzykiwać.

— My się z burżujem nie witamy! Jeszcze czego! Może każesz nam jeszcze czapkę zdjąć przed sobą?

— Coście powiedzieli? Burżuj? Wstydu nie macie! Cóż ja posiadam? Książki i mieszkanie, a życie swoje oddałem ludziom i nauce. Mnie, starego człowieka, tak obrażać, przezywać burżujem!

— Dawaj klucze, stary, nie ma co morały prawić! — ryknęli machnowcy, aż pies się najeżył i na nich!

— Do czego wam klucze? Muzeum jest nieczynne.

— To nasza sprawa! Jazda z nami!

Profesor musiał wziąć klucze i jechać do muzeum. Myśli sobie po drodze: „Nie ma żartów! Co to kosztuje takich obwiesiów strzelić staremu w kark i zepchnąć trupa z taczanki; nikt się nie dowie, gdzie się podział Jawornicki”.

Ale Dmytro Iwanowicz poradził sobie w opałach.

— Chłopcyl — zwrócił się do machnowców. — A gdybyście tak zawieźli mnie do sztabu, do Nestora Iwanowicza?

Chłopcy zbaranieli.

— A wy skąd znacie bat'ka — pyta jeden.

— To mój dawny przyjaciel, zawieźcie mnie — nalegał Jawornicki.

— No dobra, zobaczymy, coście za przyjaciel.

Taczanka ostro skręciła do hotelu „Astoria”, gdzie się rozkwaterował sztab bał'ka Machny.

Pod eskortą machnowców Dmytro Iwanowicz wszedł na najwyższe piętro i znalazł się w samym mateczniku.

— Dzień dobry — zwrócił się Jawornicki do Machna.

— Witam. Coście za jeden i w jakiej do mnie sprawie? — mrugając mętnymi oczami pytał Machno.

— Ja? Nestorze Iwanowiczu, mnie przecież znają wszyscy! Jestem profesor Jawornicki, historyk, dyrektor muzeum.

— Tak, tak, słyszałem... — niezbyt pewnie zamruczał Machno. — Co was tutaj sprowadza?

— Sprawa poważna i nie cierpiąca zwłoki. Macie chwackich chłopaków, ale sprawiają mi kłopoty.

— Co za kłopoty, o co chodzi?

— Przyjechali do mnie pijani, nawymyślali od burżujów, żądają kluczy do muzeum. Co to znaczy? Jak można? Muzeum to święte miejsce, świątynia kultury. Pijani nie mają tam wstępu. To, co się znajduje w muzeum, należy nie do mnie i nie do was, jest to własność całego narodu. Otworzyć muzeum dla waszych pijanych chłopców, to znaczy wydać na roztrwonienie i urągowisko pomniki odwiecznej kultury, które zbierałem przez całe życie. Nie wolno do tego dopuścić!

— No to czego chcecie ode mnie? — spytał z rozdrażnieniem Machno, podnosząc się z krzesła i marszcząc krzaczaste brwi.

— Proszę mi wydać list żelazny dla muzeum.

— Zgoda, wydamy list — i już łagodniej spytał: — A co tam ciekawego macie w muzeum?

— Jest coś niecoś.

— Chciałbym tam pojechać i obejrzeć muzeum.

— Jak uważacie.

Machno kazał adiutantowi przygotować bryczkę, po czym z profesorem Jawornickim i jednym ze swojej straży przybocznej pojechał do muzeum. Stary dozorca wpadł w popłoch na widok Machny, ale się uspokoił, ujrawszy profesora z kluczami.

— Wie pan co, Nestorze Iwanowiczu — zwrócił się Jawornicki do Machny — proszę mi przed obejrzeniem muzeum wystawić list żelazny, przyobiecany w sztabie.

Z polecenia Machny, 27 listopada 1919 roku na kartce wyrwanej z notesu wypisano na maszynie list żelazny. Opieczętowany został dwoma okrągłymi pieczęciami: jedna była sztabowa, druga osobista, i tę przybił sam Machno.

— Widzi pan — wskazał Jawornicki na flaszki z gorzałką stojącą w gablocie. — Tu jest gorzałka zaporoska, najlepsza w świecie. Wykopałem jej w grobie trzy flaszki, ale kopacze jedną wypili, a te dwie przywiozłem do muzeum.

Machnie oczy się zaświeciły, łyka ślinkę i wzroku nie może oderwać od kuszącej go gorzałki.

— Wypijmy jedną — zaproponował.

— Gdzież tam, nie wolno!

— Dlaczego?

— Bo musi zostać dla historii.

— A to nie dosyć dla historii jednej flaszki?

„Co tu robić — myśli Jawornicki, nie dać — odbierze list, a jak zabierze list, to rozgrabią muzeum. Szkoda zaporoskiej gorzałki, ale bardziej szkoda muzealnych skarbów". Dla świętego spokoju oddał mu jedną flaszkę, a druga została w muzeum dla historii.

Żegnając nieproszonego gościa powiedział Jawornicki:

— Wprowadziłem w muzeum taki zwyczaj, że sławni ludzie pozostawiają w tej księdze jakiś zapis. Może i pan tutaj coś napisze?

Machno przekartkował księgę i ujrzawszy podpis cara Mikołaja II oświadczył:

— Tutaj napiszę, ponad carem.

— Ależ tutaj nie można — rzekł Jawornicki.

— No to tutaj, pod carskim podpisem.

— I tutaj nie można.

— A to dlaczego? — dopytywał się Machno.

— Wiadomo przecież, co ludzie myślą o carze. Czy wypada panu dzielić z nim miejsce? Tutaj proszę pisać, na czystej stronie.

Wychodząc z muzeum Machno zwrócił się do Jawornickiego:

— Dałem muzeum list żelazny, proszę w zamian wygłosić dla mojego oddziału prelekcję o historii tego kraju. Zgadza się pan?

Trzeba było odpowiedzieć natychmiast.

— Oczywiście, zgoda, ale kiedy to się ma odbyć?

— Jutro rano o dziewiątej.

Następnego dnia podjechała do domu Dmytra Iwanowicza taczanka z dwoma zbrojnymi machnowcami. Znowu ścisnęło mu się serce. Ale dowiedziawszy się, że przyjechano po wykładowcę, profesor poczuł ulgę. Bardzo mu się nie chciało znowu spotykać z Machną, ale zmuszały go do tego okoliczności i troska o muzeum.

Ledwo zszedł z taczanki, gdy w hotelu rozległy się strzały: jeden, drugi, trzeci. „Oho — myśli — wlałem w kabałę”. Wchodzi pod strachem do hotelu i widzi w hallu ogromnego machnowca w kosztownym futrze, rozciągniętego na podłodze.

— Co to takiego? — pyta Machnę.

— Proszę się nie bać, profesorze, to mój wyrok za zdradę anarchii.

— Wie pan co, Nestorze Iwanowiczu — zdobył się na odwagę Jawornicki — pod takim wrażeniem nie mogę w tej chwili wygłosić odczytu. Proszę mnie zwolnić.

Machno był nie w humorze, pijany i z pewnością też nie miał ochoty słuchać odczytu.

— Dobra, idźcie do domu, kiedy indziej go powiecie.

A Dmytro Iwanowicz pomyślał: „Gdzie im tam wykład w głowie, gdy im się ziemia pali pod nogami!”

I rzeczywiście, jeszcze przed świtem usłyszał profesor stłumiony huk dział i niezadługo w Katerynosławiu śladu nie było po machnowcach. Jawornicki odetchnął z ulgą: „Dobrze, że się tak szczęśliwie skończyło, bo przypadłoby muzeum z jego złotymi i srebrnymi przedmiotami, skarbami narodowymi”.

Przedwczesna to była radość, bo przyszedł Popow, dozorca muzeum, i zameldował, że kiedy profesor jeździł do sztabu z „odczytem”, machnowcy jednak zdążyli uszczknąć muzealnych zbiorów.

## CUDOWNE IKONY

Dmytro Iwanowicz mawiał: „Ludzie stworzyli sobie Boga, a nie Bóg ludzi. Popatrzcie na znajdujące się w muzeum ikony, a przekonacie się”.

I rzeczywiście, ikona z cerkwi pokrowskiej przedstawia carskie osoby, Piotra, Joannę i Zofię<sup>47</sup>, w otoczeniu zaporoskiej starszyny i duchowieństwa. Zaporozcy mają długie wąsy i czuby, brody mają zgolone, ubrani są w czerwone i granatowe żupany.

— Widzicie, jak daleko sprawy zaszły! Zaporozcy dostali się w poczet świętych — śmiał się Dmytro Iwanowicz i opowiadał, że Zaporozcy czasami obok obra-

zów świętych wieszali w cerkwiach portrety Kozaków-kolatorów. Jawornicki sam odnalazł dwa takie portrety. Wisiały one w siczowej cerkwi, a usunięte zostały na polecenie archijereja, który zauważył, że wierni żegnają się i modlą przed portretami Zaporozców.

Popi nie lubili Dmytra Iwanowicza za to, że śmiało i bez skrępowania wybierał z cerkwi wszystko, co miało historyczną wartość. Ludność zaś nieraz mu pomagała.

Wiosną 1933 roku zjawił się w muzeum siwy starszek, Wasyl Sobol, stróż nocny preobrażeńskiecerkwi katedralnej, znajdującej się na placu Listopadowym. Zauważył on, jak duchowieństwo miasta chowało w podziemiach tej cerkwi mnóstwo kosztownych przedmiotów z całej eparchii katerynosławskiej — cenne, ozdobione złotem i srebrem ewangeliarze, srebrne krzyże, kielichy, cyboria<sup>48</sup>, haftowane drogimi kamieniami szaty kościelne.

Komisja powołana przez Jawornickiego rzeczywiście znalazła te przedmioty w podziemiach cerkwi. Prawie połowa z nich przedstawiała wartość muzealną. Dziadkowi Sobolowi za wstawiennictwem Jawornickiego przyznano dożywotnią rentę.

Jawornicki gromadził dla muzeum dzieła sztuki sakralnej od dawna, jeszcze zanim został dyrektorem muzeum. Niedawno w archiwach muzealnych znaleziono depeszę: *Petersburg, 19 lutego 1904 roku. Muzeum Jekaterynosławskie im. Pola D. I. Ewarnicki. Proszę w ciągu siedmiu dni zwrócić tołohuszewskiej cerkwi przedmioty zabrane pod pretekstem rozporządzenia Najświętszego Synodu. W przeciwnym razie będę zmuszony zwrócić się do sądu o wszczęcie sprawy karnej. Starosta cerkwi N. S. Jakowlew.*

Czasami starcia z przedstawicielami cerkwi nosiły charakter bardziej gwałtowny.



Kiedyś, jeszcze przed Rewolucją Październikową, dowiedział się Dmytro Iwanowicz, że w pewnej cerkwi powiatu nowomoskiewskiego jest przechowywany rękopis Ewangelii z XVI wieku.

Uczony zabrał pozwolenie synodu i pojechał. Znalazł księgę i już miał ją zabrać, gdy usłyszał, że dzwonnik cerkiewny z polecenia popa uderzył w dzwon na trwogę. Zbiegli się parafianie, rzucili się na Jawornickiego. Sytuacja zaczęła być groźna. Cudem jakimś udało się uniknąć samosądu. Profesor schronił się w cerkwi, a popu zagroził skargą do synodu, jeśli nie uspokoi swoich owieczek. Pop zwrócił się do wiernych i jakoś ich uspokoił, a rękopis Ewangelii Jawornicki jednak przywiózł do muzeum.

Był w muzeum jeszcze jeden oryginalny obraz, wyszperany w eparchii katerynosławskiej. Wymalowany był na nim Kozak zaporoski Jewstafij Płakida (nazwany tak chyba po dwojgu świętych z kalendarza — Eustachym i Placydzie), z psią głową zamiast ludzkiej. Według legendy — wyjaśniał Dmytro Iwanowicz — Płakida był niezwykle urodziwy, Kozak piękny jak malowanie. Gdy się zjawiał w cerkwi, oczy wszystkich kobiet były obrócone na niego. Kusiły go one i przywodziły do grzechu. Pragnąc uniknąć pokus Płakida jął prosić Boga, aby mu dał psią głowę zamiast ludzkiej. Pan Bóg prośby jego nie wysłuchał, ale obraz pozostał.

### ZAGINIONY POSĄG

Dowiedziawszy się, że w Piotrogradzie z polecenia Lenina wzięto pod ochronę zabytki kultury, Jawornicki natychmiast wszczął starania, by ochronę zabytków wprowadzić również w Katerynosławiu.

W Starym Katerynosławiu, naprzeciw Szkoły Górniczej, stał przed rewolucją spiżowy pomnik Katarzyny II, wagi 200 pudów.

Posąg stał na wysokim cokole, z fińskiego granitu.

Napis po łacinie głosił, iż *rzeźbił Meyer, odlew wykonał Naukisz, sporządził Melcer*. Posąg miał 4,5 arszyna wysokości. Monarchini przedstawiona była w całej postaci, nosiła małą koronę, pas z mieczem i długi szeroki płaszcz koronacyjny, spadający z lewego ramienia. Posąg ten przedstawiał dużą wartość artystyczną.

W pierwszych rewolucyjnych latach fala gniewu ludowego przeciw caratowi i kapitalistom niszczyła niemal wszystko na swej drodze, zwłaszcza na Ukrainie. Zginęło wtedy niemało zabytków, przedstawiających wartość muzealną.

W Katerynosławiu także zaczęto przebąkiwać: A może by przetopić ten posąg? Bądź co bądź, ponad trzy tony metalu!

Wieści te doszły do Jawornickiego i zmartwiły go. Nie mógł przecie dopuścić do tego, aby dzieło rąk artysty oddano na złom.

— Posąg ten — mówił — to dzieło sztuki i wyszło z rąk mistrza. Mogą się na nim wspaniale szkolić nasi studenci, adepci sztuki ludwisarskiej, rzeźbiarze, artyści.

Ów posąg carowej miał swoją historię, związaną z małżeństwem i życiem rodzinnym Puszkina.

Otóż Aleksander Siergiejewicz zakochał się w pięknej pannie z wielkiego świata, Natalii Nikołajewnie Gonczarowej. Przed ślubem ogarnęły Puszkina niewesołe przecucia. Powodem ich była rodzina Gonczarówów i jej otoczenie. Obce mu były poglądy i oblicze moralne ludzi, wśród których się znalazł.

Dziad Natalii, chimeryk i despota, odziedziczył słynną manufakturę płócien pod Kaługą i krociową fortunę

nagromadzoną z wyzysku pańszczyźnianych chłopów, jednakże przehulał całe to bogactwo.

Ówże Gonczarow, pragnąc okazać Katarzynie II swe uczucia wiernopoddańcze, a nie zważając na nadszarpięte finanse, nabył w Berlinie spiżowy posąg carowej, odlany jeszcze w 1786 roku, aby go umieścić w Katerynosławiu, dokąd carowa wybierała się w odwiedziny. Zapłacił za niego ponoć sto tysięcy rubli.

Zgon Potiomkina i Katarzyny pokrzyżował te plany. Pomnik powędrował nie na cokół, lecz do szopy przy wytwórni płótna i stał tam dó zameścia Natalii. Przypomniano sobie o „miedzianej babce” dopiero wtedy, gdy stary Gonczarow miał dać wnuczce w posagu wysoką sumę.

Wówczas uczynił on poetę suplikantem w swoich sprawach majątkowych. W maju 1830 roku Puszkina zwrócił się do szefa żandarmów Benkendorfa z prośbą, aby zezwolono Gonczarowowi na sprzedaż posągu Katarzyny II. Zwracając się do Benkendorfa, poeta miał na myśli cara. Pozwolenie zostało wydane, ale nikt nie kupił „miedzianej babki” na złom, natomiast fiskus głuchy był na aluzję Puszkina, aby pomnik zakupiło państwo...

*Co porabia „fabryczna babcia”, ta z brązu oczywiście?*

*Cóż tam dziadek i jego „miedziana babcia”, czy oboje cieszą się zdrowiem?* — żartował Puszkina w listach do narzeczonej.

A dziadek Gonczarow w każdym liście nagabywał przyszłego zięcia o swoje sprawy.

Życie w Petersburgu stawało się dla Puszkina nie do zniesienia. Zaostrzały się stosunki z dworem i będącą na jego usługach krytyką, z „wielkim światem”. Zarobki literackie nie pokrywały kosztów utrzymania rodziny, poeta wpadł w długi. Chciał bądź na stałe, bądź na

krótko opuścić stolicę, znaleźć spokój na wsi. Ale Natalia pragnęła bywać na dworskich balach, pozostać w Petersburgu. Kłopoty i rozterki duchowe Puszkina były jej obce.

8 czerwca 1832 Puszkina zmuszony był powtórnie zwrócić się do Benkendorfa: *...Posąg ten to wspaniałe dzieło sztuki. Zasięgnąłem opinii i uznałem, że szkoda go zniszczyć dla kilku tysięcy rubli. Chciałbym otrzymać za niego 25 tysięcy rubli, co stanowi jedną czwartą sumy, wyłożonej za posąg.*

Komisja Akademii Sztuki uznała posąg za dzieło artystyczne, posiadające co prawda pewne braki. Cena była niewygórowana, ale minister dworu ks. M. N. Wołkoński, od którego zależało kupno, nie należał do przyjaciół Puszkina. Poecie dano do zrozumienia, że nie może liczyć na przyjazne uczucia ze strony osób, które swego czasu zadrasnął swoim ostrym piórem.

„Miedziana babcia” przeniosła się do Petersburga, do piwnic kamienicy Alimowa przy Fursztadzkiej ulicy, gdzie w 1832 roku zamieszkali Puszkini. Poeta po raz trzeci zwraca się do władz, tym razem w imieniu swojej żony, cieszącej się wielkim powodzeniem u dworu. W lutym 1833 roku w liście do tegoż Wołkońskiego Natalia wspomina, że chciałaby sprzedać posąg. Ale wrogi stosunek dworskich dygnitarzy do poety przeważył nad rewerencją dla urody jego małżonki. Powołując się na „braki”, ostatecznie odmówili zakupu posągu.

Dalsze losy spiżowej babci były następujące. Po śmierci Puszkina dostała się do odlewni Berga, gdzie przypadkiem odnalazł ją ziemianin z Katerynosławszczyzny Korostowcew, który był wtedy na urzędzie w Petersburgu. Zawiadomił o tym generał-gubernatora noworosyjskiego, ks. Woroncowa, i przy pomocy tegoż posąg nabyła szlachta katerynosławska za sumę

9817 rubli 38 kopiejek. Szlachta postanowiła z sześćdziesięcioletnim opóźnieniem urzeczywistnić zamiar Gonczarowa i 24 września 1846 roku na placu Sobor-nym (obecnie Listopadowym) ustawiono pomnik carowej. Później przeniesiono ten pomnik do Instytutu Górniczego.

Podczas burzliwych lat wojny domowej muzeum było zamknięte dla zwiedzających. Ale jego dyrektor nie mógł usiedzieć w domu, wchodził tylnym wejściem do muzeum, zamykał się od wewnątrz i godzinami przebywał w otoczeniu skarbów.

Pewnego razu będąc w muzeum usłyszał dochodzącą z ulicy wrzawę. Przez zakratowane okno zobaczył gromadę ludzi przy pomniku, a przyjrzawszy się bliżej rozpoznał w nich machnowców. Cóż to miało znaczyć? Na odpowiedź nie musiał długo czekać. Machnowcy zarzucili carowej pętlę na szyję i z głośnym śmiechem, sypiąc dowcipami, zrzucili posąg z piedestału, przy czym widać było, że nie zamierzają na tym poprzestać.

Jawornicki nie wytrzymał, pochwycił laskę i wybiegł.

— Coście to, chłopcy, wymyślili?

— Jak to co, zarzucimy pętlę na szyję najjaśniejszej ulicznicy i do Dniepru z nią.

— Co znowu! Skoro to była taka paskudnica, postawmy ją pod pręgierz przy muzeum, niechaj ludzie patrzą i wysmiewają się z diabelskiej baby. W sam raz to będzie dla niej kara.

Strącona figura pozostała przy cokole — czekała na swojego gospodarza.

Wiosną 1920 roku mieszkańcy miasta zauważyli, że posąg znikł wśród zagadkowych okoliczności, a na skwerze koło Instytutu Górniczego pozostał tylko wysoki cokół.

Co się stało? Gdzie się podział posąg? Zagadkowe zniknięcie pomnika intrygowało wszystkich, ale wtedy były inne kłopoty. Podczas wojny domowej miasto wielokrotnie przechodziło z rąk do rąk, to biali w nim gospodarzyli, to machnowcy, to „zieloni”<sup>49</sup>, to petlurowcy<sup>50</sup>.

Dopiero gdy miasto zajęli czerwoni, zaczął się ustalać porządek i życie jęło wracać do normy.

Gdzież jest posąg? — zapytywali mieszkańcy. Ale tylko nieliczni wiedzieli, że znikł on za przyczyną Dmytra Iwanowicza.

Skończywszy wykład w Instytucie Oświaty Ludowej, profesor zebrał gromadkę studentów historii i zapowiedział:

— Dziś o północy wszyscy zbieramy się koło muzeum.

Już od jedenastej w nocy czekał Jawornicki na swoich pomocników. Nareszcie i oni się zjawili.

— Bierzcie, chłopcy, te linki, łomy, okrągłaki i deski, które dla was przygotowałem, i chodźcie za mną.

Iść wypadło niedaleko, około stu metrów. Przy postumencie studenci zobaczyli leżący posąg.

— Wiecie co, chłopcy, podłożymy okrągłaki pod te deski, na tym umieścimy figurę i podtoczymy ją tam, gdzie ja wskażę.

Silne ręce studentów podważyły figurę, która ruszyła z miejsca. Przyjrząwszy się jej Jawornicki zauważył brak palca wskazującego. Odłamał się prawdopodobnie, kiedy machnowcy przewracali posąg.

Carowa na linkach i okrągłakach podciągnięta została pod nie wykończony gmach nowego muzeum, po czym studenci wykopali przy murze dół i ostrożnie złożyli w nim swój skarb. Posąg leżał tam przez dwa lata, a Dmytro Iwanowicz chodził rad z siebie: uchronił dzieło sztuki.

Gdy nadszedł czas eksponowania posągu, Jawornicki osądził, że w muzeum zajmie on zbyt dużo miejsca, i zdecydował postawić go na dziedzińcu muzeum między całą galerią kamiennych bab. Tutaj, jak sądził, może on dać pojęcie o ewolucji w sztuce od prehistorii do czasów najnowszych.

Przeto carowa ukazała się znowu ludzkim oczom, ale już nie w otoczeniu faworytów, lecz bab kamiennych z zamierzchłej przeszłości.

„Gdzie też może być ów palec wskazujący, jak go znaleźć?” — głowił się zbieracz. Mówił o tym często w muzeum, dowiadywał się u mieszkańców, chodził nieraz na dawne miejsce, do cokołu — wszystko na próżno.

Pewnego razu przyszedł do muzeum któryś z mieszkańców i pyta Dmytra Iwanowicza:

— Oglądałem posąg Katarzyny. Gdzież jest jej palec?

— Nie wiem.

— Ale ja wiem.

— Gdzie? — ożywił się Jawornicki.

— Ma go jedna niewiasta, tłucze nim orzechy.

Na drugi dzień palec już leżał w gablocie. Przyniósł go Dmytro Iwanowicz, po czym postarał się o spawacza, żeby go przymocował.

Kiedyś w żartach powiedział Jawornicki:

— Ciekawe, co by z nami zrobił Potiomkin widząc, jak ciągniemy carową z pętlą na szyi!

Podczas okupacji Ukrainy przez faszystów znowu znikł posąg Katarzyny, tym razem na zawsze. Wywieziony został do Niemiec i podobno przetopiony. Niemcom podczas wojny brakowało kolorowych metali, toteż przetapiali na broń nawet odlewy o wysokiej wartości artystycznej, co, jak wiadomo, i tak im się na nic nie zdało.

## „KOBZIARZ” Z AUTOGRAFEM SZEWCZENKI

Przed drugą wojną światową eksponaty związane z osobą Tarasa Szewczenki miały w dniepropietrowskim krajowym muzeum osobną gablotę. Był wśród nich rzadko spotykany „Kobziarz” Szewczenki w ciemnobrązowej okładce, wydany w 1860 roku.

Jawornicki eksponat ten miał za największy bodaj skarb, bo na pierwszej stronie książki widniała własnoręczna dedykacja poety: *Marii Stepanownie Kozackowskiej z mężem i dziećmi*.

Na końcu książki wklejone były listy Szewczenki, pisane z twierdzy w Orsku do bliskiego przyjaciela Andrzeja Osypowicza Kozackowskiego.

Jak się ta książka znalazła w muzeum? Jawornicki opowiadał o całym kalejdoskopie jej przygód.

— W targowe dni lubiłem chodzić na rynek. Obserwowałem przyjezdnych wieśniaków, słuchałem ich mowy, zaglądałem także do znajomych księgarzy w nadziei, że natrafię na jakąś historyczną książkę czy muzealia. Miewałem szczęście. Razu pewnego trafiłem na cenne archiwum z czasów Katarzyny II, dotyczące historii tutejszych stron. Było to w 1927 roku. Wracając wstąpiłem do prywatnego sklepiku po śledzie. Sklepikarz zważył śledzie, wyrwał z jakiejś grubej teczki arkusz zielonawego papieru i zawiązał mój sprawunek. Kolor papieru i pismo zwróciły moją uwagę. Rzuciwszy na nie okiem przekonałem się, że są to ważne dokumenty archiwalne. Wyszperałem tedy dwa karbowance i zakupiłem całe archiwum, składające się z dwóch grubych teczek.

Materiały te opublikował później Jawornicki w książce „Przyczynek do dziejów Ukrainy stepowej”.

W podobny sposób natrafił także na „Kobziarza” z autografem Tarasa Szewczenki. Na tym samym



bazarze wstąpił nie do sprzedawcy śledzi, lecz do antykwariusza.

— Cóż tam nowego? — wesoło, jak zawsze, spytał Jawornicki.

— Niech pan obejrzy tę starą książkę, Dmytrze Iwanowiczu, może zainteresuje pana.

Spojrząwszy na książkę Jawornicki o mało nie zdradził swego podniecenia. „Kobziarz” nie tylko opatrzony był dedykacją Tarasa Szewczenki, ale miał jeszcze wklejone listy poety z Orska.

— Ile się należy za książkę?

— Dwadzieścia kopiejek.

Jawornicki wyjął z kieszeni dwadzieścia kopiejek, wręczył je księgarzowi, uściśnął mu rękę na pożegnanie i udał się do domu. Raczej leciał, niż szedł, bo tak cenny obiekt nawet jemu nieczęsto wpadał w ręce.

Oglądając w domu „Kobziarza” oraz listy Tarasa Szewczenki do A. O. Kozaczkowskiego uczony zainteresował się, w jaki sposób ta niewątpliwa własność lekarza perejasławskiego dostała się na rynek w Katerynosławiu.

Ale tego nie zdołał wówczas ustalić.

Pisząc tę książkę zwróciłem się do wnuka Kozaczkowskiego, Andrija, nauczyciela w Perejesławiu, i poprosiłem o wiadomość w tej sprawie.

Odpowiedź była następująca:

*Stryj mój, Iwan Andrijowicz Kozaczkowski, pułkownik dawnej armii, po wojnie 1914—1918 mieszkał czas jakiś w Perejasławiu, a we wrześniu 1919 roku wyjechał do domu do Sewastopola. W drogę zabrał z sobą „Kobziarza” podarowanego kiedyś dziadkowi.*

*Parostatkiem dostał się stryj do Katerynosławia, potem przesiadł się na pociąg. Na stacji Synelnykowo na pociąg napadła banda machnowców i obrabowała po-*

dróżnych. „Kobziarz” leżał w małym kuferku, który ja sam nadałem na bagaż.

Machnowcy, jak wiadomo, najmniej interesowali się książkami i „Kobziarz” zaczął prawdopodobnie przechodzić z rąk do rąk.

Stryjek w tym, co miał na sobie, dostał się do Sewastopola i wkrótce umarł. O ile sobie przypominam, książka miała czerwoną oprawę. Przy końcu książki wklejone były dwa listy (na bibułce papierosowej) pisane przez Tarasa Szewczenkę do mego dziadka z twierdzy orenburskiej...

Jakie były przygody „Kobziarza”, zanim się dostał do Katerynosławia, nie wiadomo. Wspomniany księgarz kupił go za bezcen od usmolonego wyrostka, który biegając po rynku wykrzykiwał: Komu „Kobziarza”? Taniol!...

Wszystko to, co dotyczyło życia i twórczości poety, profesor zbierał ze szczególnym pietyzmem. Obok „Kobziarza” leżały w gablocie i inne dokumenty.

Najcenniejsze wśród nich to autobiografia Szewczenki z 1860 roku, a obok niej list z Borzni od P. O. Kuli-sza<sup>51</sup>, nadesłany do katerynosławskiego przyjaciela P. I. Zujczenki. Były tam także oryginały pism dotyczących zesłania Tarasa Szewczenki oraz listy poety do aktora M. S. Szczepkina.

W roku 1909 wydał Jawornicki „Materiały do życiorysu T. H. Szewczenki”, przy czym dochód ze sprzedaży tej książki przeznaczył na wzniesienie pomnika wielkiemu Kobziarzowi.

W swych wędrówkach po Ukrainie i po najdalszych zakątkach Rosji Dmytro Iwanowicz nigdy nie zapomniał o Szewczence i niestrudzenie szukał u starszych ludzi i u księgarzy wszelkich materiałów mających związek z życiem genialnego poety.

Oryginały dokumentów w sprawie zesłania Szewczen-

ki do Kraju Zakaspijskiego uzyskał Jawornicki u antykwariusza F. Romanowicza, pracującego wtedy w Rostowie nad Donem; zapłacił za nie sto pięćdziesiąt rubli.

Dokumenty te, jak opowiadał Jawornicki, Romanowicz otrzymał od przyjaciela, oficera, który jeździł do Nowopetrowskoje w sprawach związanych z likwidacją tej twierdzy.

Zasługuje na uwagę także historia przeniesienia Szewczenki z jednego zesłania do innego, dalszego i cięższego.

W roku 1883 Mykoła Wawyłow, natenczas wykładowca w orenburskim instytucie dla szlachetnie urodzonych panien, a później dyrektor szkoły w Katerynosławiu, wstąpił do sklepiku kupić sobie tytoń. Sprzedawca zawinął mu tytoń w papier, obustronnie zapisany wprawną pisarską ręką. Przyglądając się w domu kartce Wawyłow natrafił na wzmiankę o śledztwie w sprawie „szeregowego Tarasa Szewczenki”, o surowym zakazie pisania i malowania, a także o nakazie przeniesienia do go dalekich rejonów kraju orenburskiego.

Wawyłow aż zadygotał z podniecenia. Od razu pobiegł do trafiki chcąc się dowiedzieć, jaką drogą papier trafił do sklepikarza i czy nie ma on jeszcze jakich dokumentów. Ale od sklepikarza usłyszał tylko „kupiliśmy to w twierdzy na makulaturę, dużo jej zużyliśmy i kartka, w którą chłopiec zawinął panu tytoń, była już ostatnia”.

Dokument ów ćwierć wieku leżał u Wawyłowa, a po jego śmierci na skutek starań Jawornickiego wdowa przekazała do muzeum, gdzie niebawem znalazł się w gablocie Szewczenki.

Dmytro Iwanowicz wiele uczynił, by rozślawić imię wielkiego Kobziarza. Przemawiał na uroczystościach



*Kobziarz Ostap Weresaj*

szewczenkowskich, organizował koncerty kobziarzy, nieraz w zakładach naukowych występował z prelekcjami o życiu i twórczości poety.

W 1886 roku z jego inicjatywy i z jego wzruszającą przedmową wydany został poemat „Hajdamacy”.

W jego osobistym archiwum przechował się szkic pomnika Szewczenki. Jeszcze w początku tego wieku Jawornicki za radą Komisji budowy pomnika zwrócił się do I. J. Riepina z prośbą o naszkicowanie projektu pomnika. Zamiar ten aż do rewolucji nie doszedł do skutku, ale Jawornicki nie porzucił swojej myśli i po raz drugi zwrócił się do Riepina — było to w ostatnich latach życia artysty. Riepin z zapałem podchwycił tę propozycję i zaczął gromadzić materiały do projektu.

W 1928 roku Dmytro Iwanowicz otrzymał od Riepina list i niewielki obrazek, na którym Kobziarz przedstawiony był w żołnierskiej czapce, pochylony w zamiśleniu obok przewróconej taczki — pewno układa sobie w myślach nowy poemat.

Krucze już zdrowie, a niebawem i zgon nie pozwoliły Riepinowi doprowadzić do końca tego zamysłu. Ale szkice pomnika zachowane w muzeum Szewczenki w Kijowie są wyrazem głębokiej czci dwóch wielkich ludzi, Riepina i Jawornickiego, dla geniusza ludu ukraińskiego.

### GOŚĆ Z KOBZĄ

Latem 1929 roku w klubach robotniczych i świetlicach Dniepropietrowska występował kobziarz nazwiskiem Bezszczasny.

Przychodzi pewnego dnia Dmytro Iwanowicz do muzeum i zwraca się do mnie:

— Słyszał pan, że jest w mieście jakiś kobziarz? Występuje w Czeczeliówce, w dzielnicy robotniczej. Niech pan pójdzie go posłuchać, a jeżeli to prawdziwy kobziarz, proszę zaprosić go do mnie.

Udałem się więc na koncert i zobaczyłem kobziarza. Był to krępy mężczyzna lat około pięćdziesięciu, wąsy miał jak Szewczenko, nosił czerwony żupan, granatowe szarawary, jedwabny pas. Pięknie grał na kobzie i śpiewał dawne i nowe pieśni ukraińskie.

Gdy go zaprosiłem do Jawornickiego, był mile zaszczycony i zapowiedział się na następny dzień.

Punktualnie o dziewiątej zjawił się w muzeum w pełnym rynsztunku, z kobzą pod pachą.

Jawornicki niecierpliwie oczekiwał gościa w swoim gabinecie.

— Jestem z Kubania — odpowiadał kobziarz — na kobzie gram chyba trzydzieści już lat. Rodzice mi mówili, że dziad mój był Kozakiem zaporoskim. Nie wiem, czy to prawda, ale powtarzam to, co mówili rodzice.

— A co umiecie grać, co śpiewacie?

— Pieśni ukraińskie dawne i nowe, smutne i wesołe. Na koncertach śpiewam przy kobzie o Bajdzie, o Morozence, o trzech braciach azowskich i inne, a na zakończenie żartobliwe: *Tam w Kijowie na ryneczku, Oj zalecał się kum do kumy, Chodziłem do wdówki...*

— Zaśpiewajcie mi o Bajdzie — poprosił profesor.

Ośmielony życzliwością uczonego kobziarz, uderzył w struny i jął śpiewać pięknym barytonem:

W Carogrodzie na ryneczku  
Pije Bajda gorzałczynę,  
Pije Bajda nie dzień, nie dwa  
I nie noc, i nie godzinę.  
Pije Bajda, wąs ociera  
I na giermka się obziera:

„Mój ty giermku młodzusięńki,  
Czy mi będziesz wiernusięńki?”  
Car turecki rai Bajdzie,  
Że mu dobrą służbę znajdzie:  
„Bajdo, sławny bohaterze,  
Wpisz się między me rycerze,  
Weź carównę mą jedyną,  
Będziesz pan nad Ukrainą!”  
„Carze, wiara twa przekłeta  
I carówna twoja szpetna!”  
Krzyknął car na poturczeńce:  
„Pojmajcieże go w ręce,  
Pojmawszy, strzeżcie dobrze  
I powieście go na ziobrze”.  
Wisi Bajda nie dzień, nie dwa  
I nie noc, i nie godzinę.  
Wisi Bajda, myśli zbiera  
I na giermka się obziera,  
Na pachółka młodziutkiego,  
Na konika prędziutkiego:  
„Jakeś składał mi przysięgi,  
Podajże mi mój łuk tęgi,  
Podajże mi mój łuk celny,  
Kołczan strzałami napelnij!  
Chciałbym dla sułtańskiej córki  
Ubić z łuku trzy przepiórki.  
Wyceluję, nie spudłuję,  
Gdzie zamierzę, tam uderzę”.  
Jak wystrzelił — cara zdzielił,  
A carową prosto w głowę,  
A córeczkę w samo serce.  
„Masz, carze, podziękę  
Za Bajdową mękę!  
Mogłeś się naradzić,  
Jako Bajdę zgładzić:

Mieczem ciąć po głowie,  
Ciało ukryć w rowie,  
Ślad zajeździć końmi,  
Tobys go poskromił”.

— Piękny wasz śpiew, chwytą za serce! — promieniał Dmytro Iwanowicz. Opowiedział gościowi o historii kobzy, o sławnym kobziarzu Ostapie Weresaju, oprowadził po muzeum i w końcu zaprosił do siebie na obiad — a wiadomo było, że takie wyróżnienie spotykało tylko rzeczywiście miłych gości.

Pięć dni gościł Jawornicki kobziarza i przez cały czas rozlegała się muzyka w mieszkaniu. Profesor zapisywał słowa i melodię pieśni.

Gdy w niedzielę przyszli do muzeum, Jawornicki zwrócił się do swoich współpracowników:

— Dziś niedziela, spodziewamy się dużej frekwencji. Niechaj nasz kobziarz zagra i zaśpiewa w muzeum.

Do środkowej sali przyniesiono zydęł, usiadł na nim kobziarz, uderzył w struny i popłynęły pieśni: *Oj, ty Mrozie, Morożeńku, Burza na Czarnym Morzu, Pobratła się jasny sokół* i inne.

Głos kobziarza rozlegał się po całym gmachu. Na niezapowiedziany koncert zeszło się niemało słuchaczy. Była to żywa ilustracja do historii pieśni i muzyki na Ukrainie.

## STO TYSIĘCY

Długo spędzała sen z powiek Jawornickiemu sprawa rozbudowy muzeum. Stare pomieszczenie było już za ciasne, a nowe, budowane na wzór kairskiego, stało nieukończone, jako że na przeszkodzie stanął wybuch wojny 1914 roku.



Pewnego razu zawitał do muzeum ludowy komisarz oświaty USRR, M. O. Skrypnyk. Dyrektor przyjął go nader uprzejmie i osobiście oprowadzał po salach. Korzystając z okazji przedstawił, jak niszczą eksponaty, bo nie ma gdzie powiesić nowych zabytków. Tłumaczył gościowi, że koniecznie trzeba zakończyć budowę nowego gmachu, tym bardziej że mury, które stoją już dwadzieścia lat nie pokryte, ulegają dewastacji.

— Ile na to potrzeba? — zapytał Skrypnyk.

— Około stu tysięcy.

— Dobrze, postaram się, pieniądze się znajdą.

Przeminął rok. Na pisma odpowiedzi nie nadchodziły. Jawornicki postanowił więc pojechać do ówczesnej stolicy Ukrainy, Charkowa, i osobiście rozmówić się z komisarzem oświaty. Wyruszył w drogę razem z sekretarzem naukowym muzeum, P. Matwijewskim.

W poczekalni Skrypnyka zebrało się wielu interesantów. Akademik czekał dwie godziny, denerwował się.

— Jak długo jeszcze będziemy tutaj czekać? Mam lat siedemdziesiąt, jestem zmęczony podróżą. Chodźmy stąd! — zwrócił się rozgniewany do sekretarza.

Usłyszano te słowa, za odchodzącymi rzucił się osobisty sekretarz komisarza.

— Proszę wybaczyć, Dmytrze Iwanowiczu, Mykoła Oleksijowicz już czeka, proszę...

W gabinecie Skrypnyk podniósł się z krzesła, wyszedł zza stołu, przywitał się.

— Proszę wybaczyć, że musieliście długo czekać, Dmytrze Iwanowiczu. Słucham, w jakiej sprawie pan do mnie zawitał?

— W jakiej sprawie?... Przecież obiecaliście sto tysięcy na dokończenie gmachu, ale jak dotąd — nie dostaliśmy ani grosza. No to jak, będą pieniądze czy nie będą?

— Obiecywałem, to prawda, ale u nas teraz z pieniędzmi krucho. A muzeum rzeczywiście jest przeciążone. Myślę, że mamy tylko jedno wyjście: niektóre przedmioty trzeba będzie przekazać do innych muzeów, eksponaty związane z Szewczenką oddać do Kijowa, do muzeum im. Szewczenki. I zaraz zrobi się luźniej.

— Co takiego? Zabrać eksponaty związane z Szewczenką? O, nie! Póki mego życia, to się nie stanie! Czy pan wie, jak ja te przedmioty zdobywałem? Ile się nachodziłem, najeździłem, jakie miałem przy tym wydatki?

— Spory uważam za bezprzedmiotowe. Jako komisarz oświaty, polecam...

Dmytro Iwanowicz zrozumiał, że rozmowa staje się oficjalna, spochmurniał i podniósł się z krzesła.

— Do widzenia.

Po upływie pół roku Skrypnyk przyjechał do Dniepropietrowska. Zadzwoił telefon.

— Powitajcie komisarza!

— Dobrze, powitam — ze spokojem odrzekł dyrektor.

Współpracownicy wyczuli, że Jawornicki coś szykuje i zaczęli się denerwować. Koło muzeum zatrzymały się jeden za drugim samochody, w drzwiach ukazał się Skrypnyk, a za nim inni goście.

— Dmytrze Iwanowiczu — mówimy do niego — goście przyjechali, powitajcie.

— Czego się niepokoiacie, powitam. To moja sprawa.

Dyrektor spokojnie podszedł do drzwi. W hallu zatrzymał się i popatrzył na Skrypnyka tak, jakby go widział po raz pierwszy w życiu.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry, Dmytrze Iwanowiczu.

— Kto jesteście?

— Ja? — gość się uśmiechnął. — Jestem Skrypnyk.

— Który to Skrypnyk? Czy ten może, co w zeszłym roku obiecał mi dać sto tysięcy na rozbudowę muzeum?

— Wygląda na to, że to ja.

— Aha. A czy należycie do związku zawodowego?

— Naturalnie! Komisarz ludowy nie może nie należeć.

— Antonino Konstantynowno — zwrócił się Jawornicki do staruszki kasjerki — ile u nas kosztuje bilet wstępu dla członków i nieczłonków związków zawodowych?

— Członkowie płacą 15 kopiejek, a nieczłonkowie 50 kopiejek.

— Słyszeliście, Mykoło Ołeksijowiczu? — odezwał się żartobliwie Dmytro Iwanowicz. — Skoro rzeczywiście jesteście członkiem związku zawodowego, to proszę wykupić w kasie bilet za 15 kopiejek, a kto nie należy do związku, proszę wziąć bilety po 50 kopiejek, bo muzeum nasze jest ubogie, nam się tylko obiecuje pieniądze, ale się ich nie daje.

Komisarz szarpnął węża, ale się od razu zorientował i zwrócił się do otoczenia:

— A czy wy, towarzysze, jesteście członkami?

— A jakże, Mykoło Ołeksijowiczu.

— No to chodźmy po bilety — i z uśmiechem skierował się do kasy. Jawornicki stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i patrzył, jak goście kupowali bilety.

Pracownicy muzealni potracili głowy. Co z tego wyniknie? Ale na razie wszystko szło składnie, goście uśmiechając się podchodzili do Jawornickiego.

— Wszyscy już mają bilety? Dobrze. A więc teraz, szanowni goście, spójrzcie, proszę, na te strzałki. Wskazują one, skąd trzeba zacząć zwiedzanie. Jesteście prze-



*Gabinet pracy D. Jawornickiego w Muzeum Historycznym  
w Dniepropietrowsku*

cież ludzie wykształceni, bywali, proszę zatem iść oglądać eksponaty.

— O, nie, Dmytrze Iwanowiczu — zwrócił się do niego Skrypnyk. — Zechciejcie nas oprowadzić.

— No dobrze. Ale nie gniewajcie się, jeżeli może sadła za skórę zaleję — i Jawornicki począł oprowadzać gości po muzeum.

Pod koniec zaprowadził Skrypnyka do podziemi i pokazał setki przedmiotów, zdobytych przez wyprawę archeologiczną podczas budowy Dnieprogesu. Wszystkie leżały w pakach, nie było gdzie ich wystawić.

— Widzicie, co się tutaj dzieje!

Skrypnyk czuł się niezręcznie, tłumaczył się:

— No cóż, trzeba będzie poczekać, ale pieniądze się przecież znajdują, dokończymy budowy. Proszę się nie gniewać, Dmytrze Iwanowiczu, wszystko się ułoży.

— Ano dobrze, zobaczymy.

— Macie coś jeszcze nowego?

— Jest skarb znaleziony przy badaniu brzegów Dniepru koło Zaporoża. Czy mam pokazać?

— Proszę bardzo, chętnie obejrzymy — zainteresował się Skrypnyk.

Dmytro Iwanowicz otworzył skrzynię i ostrożnie wyjął skarb znaleziony przez młodego archeologa Hrin-czenkę. Był tam srebrny orzeł, żelazna zbroja, złote ozdoby końskiego rzędu, ale to wszystko nie z czasów kozackich. Ornament wskazywał na to, że skarb pochodzi z VIII stulecia n. e.

— Widzi pan, Mykoło Ołeksijowiczu, gdybyśmy mieli pieniądze, to w szerszym zakresie zbadalibyśmy miejscowości, które zostaną zalane. Dużo skarbów zostanie pod wodą — a szkoda.

— Ileż wam trzeba pieniędzy?

— Boję się powiedzieć... pięćdziesiąt tysięcy.

— Sumę tę da wam Okręgowy Komitet Wykonawczy.

Żegnając się Skrypnyk podziękował profesorowi za niestrudzoną pracę i za ciekawą wycieczkę w przeszłość. Kiedy goście już wychodzili, Jawornicki zawołał:

— Chwileczkę! A gdzie kartka?

— Jaka kartka?

— Kartka na przyobiecane dla ekspedycji pięćdziesiąt tysięcy. To już będzie pewne, bo słowo, jak słowo — wypowie się, a potem się zapomni.

Jednakże w Komitecie Wykonawczym nie zapomniano. Po pięciu dniach z miejscowego budżetu przyznano muzeum pięćdziesiąt tysięcy rubli. Za te pieniądze Jawornicki doprowadził wkrótce do końca badania archeologiczne w rejonie Dnieprogesu.

### SZCZERYM SERCEM

Jawornicki był szeroko znany nie tylko jako uczony, ale także jako człowiek wielkiej szlachetności. Szczególną popularnością cieszył się wśród nauczycieli, włościan i diatwy szkolnej, bo szkoły często odwiedzał.

Zima 1921—1922 roku w wyniku wojny domowej i nieurodzaju była wyjątkowo ciężka. Niełatwo było i profesorowi, wówczas już 67-letniemu, toteż z powodu ciągłego niedojadania szwankował na zdrowiu. Dowiedział się o tym nauczyciel szkoły w Taromsku, Mychajło Iwanowicz Łojan.

Nie miał jednak własnych zapasów, zwrócił się więc do swoich uczniów.

— Dzieci, pamiętacie profesora Jawornickiego, którego widzieliśmy w szkole? Słaby jest teraz, choruje i nie bardzo ma co jeść...

— To trzeba mu pomóc! — wołały dzieci jedno przez drugie.

— Od razu wiedziałem, że mnie zrozumiecie i okazecie swoją życzliwość. Dziękuję wam za to. Przynieście jutro do szkoły, co kto może, czy to parę ziemniaków, czy jajko, garść mąki lub kaszy. Później zastanowimy się, jak to doręczyć uczonemu.

W niedzielę, wczesnym marcowym rankiem pięciu

chłopców ze swoim nauczycielem przybyło do Dniepropietrowska. Po drodze do mieszkania Dmytra Iwanowicza zastanawiali się, czy profesor przyjmie od nich tę skromną pomoc. Ale przecież dają ją ze szczerego serca, jako dowód przywiązania do swojego uczonogo!

Stanęli przed wejściem i zadzwonili. Ktoś cicho zbliżył się do drzwi i nie pytając „kto tam” otworzył.

Przed dziećmi stanął Dmytro Iwanowicz, posiwiąły, blady, z głęboko zapadniętymi oczyma. Przywitano się. Goście się trochę zmieszali, zawstydzili, nie wiedząc, jak zacząć, aż Dmytro Iwanowicz zauważył to i grzecznie ich zaprosił:

— Proszę, proszę, wejście, taromczańscy goście.

Uczniowie lękliwie weszli za swoim nauczycielem, trzymając w ręku zawiniątka. Zdumiały ich od razu ślicznie ozdobione malowidłami ściany saloniku. Tu stoi Kozak Mamaj, tam gra kobziarz siedzący w cieniu wierzby.

Już w przedpokoju zauważyli starodawną skrzynię z wymalowanym na niej Zaporozcem, sagan, w jakim siczowcy warzyli strawę, bęben, w który bębnista uderzał klepadłem, gdy zwoływał Kozaków na radę, a tam dalej Zaporozec Suprun ze spisą w ręce, na spisie tkwi głowa Tatarzyna...

Teraz nauczyciel, zacinając się co rusz z przejęcia, powiedział, z czym przyszli, i wręczył profesorowi przyńsione przez dzieci zawiniątka.

— Dziękuję, bardzo wam dziękuję! — niemal przez łzy mówił wzruszony Dmytro Iwanowicz.

Gdy zaś chłopcy, jak wróble do ziarna, rzucili się do oglądania malowideł i eksponatów wystawionych w drugim pokoju, Jawornicki podszedł do gablot dając objaśnienia, a potem udał się z dziećmi do muzeum i oprowadził je po dziale etnograficznym i zaporoskim.

## SKARBY TWÓRCZOŚCI LUDOWEJ

Eksponaty dotyczące kultury materialnej wsi kate-rynosławskich wystawione były w dziale etnograficznym. Jawornicki zbierał stroje, obuwie, miski, łyżki, pogrzebacze, patelnie, blaszane okapy do pieców kuchennych, skrzynie, narzędzia pracy szewców, tkaczy, kowali, foluszników, starodawne wozy, pługi, brony, a także niewody, sieci rybackie, rahele<sup>52</sup>, więcierze, wiersze<sup>53</sup> itd.

We wsiach okolicznych dziewczęta i młode mężatki lubiły malować suchymi farbami okapy, belki stropowe, dymniki na strychu, skrzynie itp. Rysunek był wyraźny i bardzo jaskrawy. Najczęściej przedstawiano kwiaty, rośliny, drzewka, rzadziej — ptaki i ludzi. Trzeba dodać, że rysunki były bardzo udane. Po roku 1923 muzeum posiadało ich ponad tysiąc. Dmytro Iwanowicz stwierdził, że etnografowie dotąd nie zbierali tego rodzaju materiałów. Wzorów takich malowideł nie posiadały nawet muzea stołeczne.

Jawornicki zebrał i wystawił liczne gliniane, polewane lub zwyczajnie malowane miski, półmiski, dzbanki, kufle. Był tam i stół weselny, a na nim korowaj z szyszkami, i zielone gałązki w dzbanku, bez których nie byłoby wesela. Nieco z boku leżała cała kolekcja pisanek, malowanych przeróżnie — w baryłeczki, w gałązeczki, w drabinki, z kwiatem dyni lub rumianku — razem czterdzieści osiem rodzajów.

Pisanki stanowią cenny materiał dla badaczy sztuki ludowej. Uderza wielka różnorodność motywów o prawnym rodowodzie i smak artystyczny wykonawców. Ornamentyka pisanek ściągała uwagę uczonych ukraińskich, rosyjskich i obcych, a chociaż wydano już sporo opracowań w tej dziedzinie, nauka jeszcze nie wypowiedziała się do końca.



Dmytro Iwanowicz pierwszy zebrał na Katerynosławszczyźnie dużą kolekcję ukraińskich haftów ludowych z XIX—XX wieku. W zasadzie są to płachty<sup>54</sup>, koszule, ręczniki, chusty, kilimy, odzież zwierzchnia. Szczególnie bogaty jest zbiór ornamentów z Petrykówki, z XX wieku.

W Petrykówce Jawornicki był częstym gościem. Znał tam wszystkich mistrzów, słynących ze swych pięknych malowideł, zebrał i wystawił w muzeum najrozmaitsze odmiany malarstwa dekoracyjnego, a utalentowanych artystów zachęcał do doskonalenia swej sztuki, pomagał im jak mógł.

Malarka ludowa Tatiana Jakymowna Pata z Petrykówki na zaproszenie profesora w roku 1923 przyozdobiła ściany działu etnograficznego — zakwitły one cud-kwiatami, od których w salonach jak gdyby zapachniało stepem. Na podstawie tych malowideł artysta malarz Wasyl Stepanowicz Solanyk stworzył panneau dekoracyjne.

W muzeum przechowywana jest kolekcja rozmaitych malowideł petrykowskich mistrzów. W roku 1960, podczas moskiewskiej „Dekady literatury i sztuki ukraińskiej” odbyła się wystawa prac tych artystów, urządzona w muzeum dniepropietrowskim.

Sztuka ludowa Petrykówki to duma całego kraju. W jej kompozycjach można ujrzeć kapryśnie fantastyczne kształty roślin, kwiatów, jagód, owoców, motyli i nieznanymi w przyrodzie ptaków.

Najstarsza wśród tamtejszych mistrzów jest Tatiana Jakymowna Pata, która teraz liczy sobie lat 84. Ona to dała początek słynnemu dziś ornamentowi zdobnictwa petrykowskiego. Ta utalentowana wieśniaczka jest członkiem związku plastyków Ukrainy. Wychowała całe pokolenia mistrzów sztuki dekoracyjnej, posiada tytuł zasłużonego artysty ludowego URSS i odznaczona



*Fajki, czarki i butelki Kozaków zaporoskich*

jest orderem Czerwonego Sztandaru Pracy. W całym kraju znane są prace Paty i jej wychowanków. Wykonane przez nią paneaux i fryzy zdobią ściany muzeów Moskwy, Leningradu, Kijowa, Lwowa i Dniepropietrowska.

Sztuka dekoracyjna zaczęła się właściwie rozwijać po rewolucji. W roku 1936 w Petrykówce powstała szkoła sztuki dekoracyjnej i stosowanej. Wykładała tam T. Pata i wykształciła świetną plejadę mistrzów malarstwa dekoracyjnego. Prace wielu z nich wystawiano w muzeach Kanady, Czechosłowacji, USA, Francji, Jugosławii, Belgii, Indii oraz na Expo w Brukseli w roku 1958.

#### NIEZAMĄCONE ŹRÓDŁA

Pewnego ranka przybył do mnie wprost ze stacji ogozrały, wysoki i szczupły, jeszcze dobrze się trzymający siedemdziesięcioletni mężczyzna. Jego wspaniałe wąsy były zażółcone machorką, w żyłastych palcach trzymał małą walizkę.

— Słyszałem, że pisze pan książkę o Dmytrze Iwanowiczu. Nazywam się Marko Mykytowicz Zaliźniak. Poznałem się z Dmytrem Iwanowiczem jeszcze w 1929 roku, kiedy to zabrał mnie na wyprawę archeologiczną w charakterze fotografa.

Gość otworzył walizkę i wyjął kilka związanych sznurkiem paczek.

— Ma pan tutaj materiały, przydadzą się do książki!

Były to fotografie Jawornickiego, listy do profesora od siostry i matki Łesi Ukrainki, a także od innych osób.

— Dzięki za zdjęcia i listy, na pewno się przydadzą. A pan skąd?

— Ja przez całe życie miałem do czynienia z ziemią.



*Fajki kozackie*

Dwudziesty już rok pracuję w kołchozie „Družba” w Donbasie. Sad tam dobry założyłem, pasiekę, a teraz jestem na emeryturze. Fotografować zacząłem jeszcze w wojsku, przed rewolucją, potem w Czerwonej Armii fotografowałem, a teraz w kołchozie. To zamiłowanie sprowadziło mnie także do Jawornickiego.

Nazwisko gościa wydało mi się znajome. Gdy przeglądałem kiedyś archiwum wyprawy archeologicznej, pracującej pod kierunkiem Jawornickiego na terenie Dnieprogesu i na wybrzeżach Dniepru, zauważyłem, że Zaliźniak był jednym z fotografów w tej ekspedycji.

— Chciałbym, Marku Mykytowiczu, aby opowiedział mi pan o swoich spotkaniach z Jawornickim.

Zaliźniak wyjął z kieszeni szczyptę machorki, skrzył papierosa, zaciągnął się gęstym dymem i zaczął opowiadać.

Wiosną 1929 roku przybył wczesnym rankiem do Dniepropietrowska, aby zakupić materiały fotograficz-

ne, a że sklepy były jeszcze zamknięte, poszedł prosto pod górę aleją Marksa. Widzi, po lewej ręce stoi zgrabny budynek, otoczony przez baby kamienne, spośród których wyróżnia się wielki posąg Katarzyny II. Prze czytał napis „Muzeum Historyczne” i ucieszył się, bo nieraz myślał o tym, aby to muzeum zwiedzić. Wszedł do środka, zwiedził wystawę i zgłosił, że chce się zobaczyć z dyrektorem, żeby mu pokazać przywiezione zdjęcia. Sekretarz muzeum uznał, że zdjęcia są interesujące, ale oświadczył, że dyrektor przyjdzie do muzeum później. Kiedy się okazało, że Zaliźniak nie ma już czasu i nie może poczekać na dyrektora, sekretarz dał mu adres domowy Jawornickiego.

Pomiędzy Zaliźniakiem a profesorem nawiązała się korespondencja. Otrzymałszy od Zaliźniaka zdjęcia, Dmytro Iwanowicz ogromnie się ucieszył. Po uważnym przejrzaniu przyniósł je do muzeum i pokazał swoim współpracownikom-etnografom.

— To bardzo wartościowe zdjęcia, przedstawiają życie i dzień powszedni kraju.

W listach prosił uczony, by Zaliźniak nie ustawał w zbieraniu materiałów etnograficznych i folklorystycznych, a także *...dobrze by było, gdybyście zapisywali ciekawe wyrazy i zwroty wiejskie i nadsyłali je, bo potrzebne są do ukraińskiego słownika, który od dawna opracowuję.*

A kiedy indziej pisze Jawornicki:

*Fotografujcie charakterystyczne typy ludzkie, mieszkania, ubiory, sprzęty gospodarskie, inwentarz — wszystko, co jest wokół człowieka i dla człowieka. Zapisujcie ludowe pieśni, bajki, przysłowia, zagadki, pojedyncze, szczególne wyrazy, połajanki, wzywiska uliczne — w tym wszystkim wyraża się dusza, serce, rozum, pragnienia żywych ludzi. Do swego listu dodaliście tylko 13 ukraińskich wyrazów, jakież one mocne i wyra-*

*ziste! Dajcie mi takich więcej. Nie pomijajcie i tych niecenzuralnych. Nauka nie zna wyrazów wstydliwych. W takich wyrazach kryje się nieraz zamierzchła przeszłość, kiedy znaczyły zupełnie co innego niż teraz. Nosicie imię Marko; ciągle staram się dociec, czemu to Marek tłucze się po piekle, i ani rusz nie mogę się dowiedzieć. Skąd wzięło się to wyrażenie, jak je tłumaczy sam lud ukraiński, żaden sławista nie umiał mi powiedzieć...*

Pomiędzy uczonym a wiejskim fotografem zawiązała się przyjaźń. W końcu profesor zaprosił Zaliźniaka do siebie do domu.

Zaliźniak przekazał Jawornickiemu swoje zdjęcia etnograficzne i zeszyt, w którym zapisał pieśni i nowe słowa, jakie już weszły w użycie w kołchozach. Były to dla uczzonego najdroższe podarunki.

— Nosicie historyczne nazwisko, Taras Szewczenko je opiewał<sup>55</sup>. Patrząc na was przypominam sobie pewnego człowieka, który mi bardzo dopomógł w zbieraniu ludowych dumek. W roku 1910 przyjechałem do majątku Aleksiejewa pragnąc obejrzyć jego zbiory pamiątek ukraińskich. Spotkałem się tam ze świniarkiem Stepanem Iwanowiczem Zełenochatem. Grał on świetnie na fujarce i znał dużo pieśni ludowych, bajek, porzekadeł, zagadek. Był niepiśmienny, ale głowę miał otwartą — po prostu samorodny talent. A jak to udało się wam zostać fotografem na głuchej wsi, i to jeszcze w czasach przedrewolucyjnych?

— Ano, jeszcze jako chłopak, po ukończeniu dwuklasówek przeczytałem w gazecie ogłoszenie: „Kto chce zarobić sto rubli miesięcznie, niech kupi w Charkowie za cztery ruble aparat fotograficzny Fotokartonet”. Mój ojciec, człowiek pobożny, ostro sprzeciwił się temu: „Wyrzuć, Marku, ze swej durnej głowy ten jakiś fotoaparat! To sprawka szatańska!” W tajemnicy

więc przed ojcem uskładałem sobie cztery ruble. Na Boże Narodzenie chodziłem z gwiazdą kołędować, na Nowy Rok — z życzeniami do gospodarzy. Na pocztę dopomogli mi wysłać zamówienie i za tydzień miałem aparat i części do niego. Tak zostałem fotografem.

— Macie zatem duże doświadczenie. Znakomicie! Właśnie szukam kogoś takiego.

— Znakomicie, ale nie całkiem, bo miałem i przygody.

— Przygody? Jakie?

— Podczas wojny 1914—1918 byłem w wojsku jako fotograf pułkowy. Spotyka mnie raz dowódca pułku. Zdjąłem czapkę i mówię: „Dzień dobry, życzę zdrowia przy dzisiejszej środzie”. On najpierw parsknął, a potem wytrzeszczył wściekle oczy i wrzeszczy: „Baczność! Co za jeden?” — „Fotograf — powiadam. — Tu są moje dokumenty”. — „Do szeregu! Na pierwszą linię! Ja tu fotografów nie potrzebuję!”

W taki sposób trafił Zaliźniak na front. Został tam ranny, ale z aparatem się nie rozstawał.

Jawornicki zaproponował mu udział w wyprawie naukowej.

— Piszcie wniosek, a ja wydam polecenie, aby was zaliczono na letni sezon do ekspedycji archeologicznej. A jak będzie z kołchozem, czy was zwolnią?

Zarząd kołchozu wydał zezwolenie i Zaliźniak z małżonką i matką, zabrawszy przepustki, przyjechali do Jawornickiego, po prostu jako do znajomego.

Po dwóch dniach matka i żona Zaliźniaka, załatwiwszy swoje sprawy, wróciły do domu, a on sam szykował się do wyprawy. Ale profesor odłożył na razie tę podróż.

— Teraz — powiedział — mamy niebywałą powódź na Dnieprze. Musi pan jechać do Wownih, a tam woda

się podniosła o osiemnaście metrów. Podobnie było siedemdziesiąt lat temu. Musi pan zostać u mnie aż woda opadnie.

Goszcząc u Jawornickiego Zaliźniak mógł się przyrzyć szafom nabitym książkami, stertom papieru, zapisanych ręką uczonego.

— Jaki pan ma rozkład dnia, nad czym pan teraz pracuje?

— Od szóstej rano jestem już na nogach i piszę do dwunastej w nocy, pracuję obecnie nad słownikiem, nad historią. Robię to przeważnie na stojąco.

Gospodarz zaprowadził gościa do sali i pokazał mu „domowe muzeum”. Zaliźniak zobaczył na ścianach i na stołach z dziesiątek rozmaitych staroświeckich zegarów: jeden z kukułką, drugi z kurantem, jeszcze inny wydzwanający godziny. Obok nich różne rzeźby, oryginalne garnki ukraińskie, rozmaite cacka zagraniczne, naczynia cerkiewne.

— To nie moje rzeczy, lecz muzealne. Nie ma już gdzie pomieścić eksponatów, więc znoszę je tutaj, do domu, niczym do filii muzeum.

— Dmytrze Iwanowiczu, chciałbym pana sfotografować razem z pańskimi dziełami. Proszę usiąść tutaj na fotelu i wziąć do ręki wszystkie swoje książki.

Jawornicki zaniósł się serdecznym śmiechem.

— Chcecie, żeby mnie starego przygniotło na śmierć?

— Jak to?

— Widzicie tę oto szafę i te książki w szafie? To wszystko moje dzieła, a jest ich setka z górą. Czy mógłbym to utrzymać w ręku?

— A, jeżeli tak, to proszę usiąść w fotelu, a ja położę panu na kolana tyle książek, ile będzie można udźwignąć.

Zdjęcia Jawornickiego z jego dziełami, jedno w okularach, drugie bez okularów, udały się znakomicie. Gdy



zmęczony profesor zdrzemnął się w fotelu, Zaliźniak zrobił jeszcze jedno. Były to ostatnie zdjęcia w życiu Jawornickiego.

Pewnego ranka dyrektor i gość oglądali wspólnie ekspozycję muzeum.

— A co to za starodawna bandura? Jak pan ją zdobył?

— Ta bandura ma ciekawą historię. Dowiedziałem się, że na Połtawszczyźnie mieszka pewien znany bandurzysta i grywa na zaporoskiej bandurze. Wsiadłem do pociągu, przyjechałem, znalazłem go i zaprosiłem do Katerynosławia, a tutaj pomogłem mu urządzić koncert. Nieźle sobie zarobił. Wówczas powiedziałem mu: „Przyjacieliu, zostaw w muzeum swoją starą bandurę, a kup sobie nową, o pięknym tonie, ładnie ozdobioną”. Zgodził się, a muzeum wzbogaciło się o jeszcze jedną bandurę zaporoską. Jakiś chudzina Zaporoziec grywał na niej dla ukojenia swej duszy... — mówił w zamyśleniu Dmytro Iwanowicz. I nagle zwrócił się do Zaliźniaka: — A wiecie, jaki to był kiedyś zaszczyt nosić miano Zaporozca, być członkiem kosza sławnego na cały świat rycerstwa siczowego? Ile to szlachty rosyjskiej, oficerów, cudzoziemców dobijało się o ten honor, aby zostać wpisanym do rejestru zaporoskiego wojska siczowego. Do Siczki wpisał się najważniejszy dostojnik czasu Katarzyny, jej faworyt książę Potiomkin, a Kozacy, którzy nowicjuszom z reguły dawali zabawne przydomki, nazwali go „Hryćko Nieczesa”, pewno za ową pudrowaną perukę, co ją ów „siczowiec” nosił wedle ówczesnej mody. Do kosza wpisał się także młody oficer, przyszły feldmarszałek Kutuzow, który już zdążył się odznaczyć w wojnie tureckiej 1769 roku. Zaszczytne miano Zaporozca otrzymał „brygadier i kawaler” książę Golicyn, a także w dniu 4 sierpnia 1770 roku — światowej sławy uczonego, „astronomicznej wyprawy główny

prezydent, artylerii pułku bombardierów pan porucznik, Christofor Leontjew Euler" i wielu innych. W takim poważaniu był kiedyś właściciel bandury i jego towarzystwo.

Bandura zresztą ma też pewien udział w historii najnowszej. Malował ją Riepin, a obrazkiem jego zilustrowano książkę „Zaporoże w pamiątkach przeszłości i w podaniach ludowych”. Mamy tutaj w muzeum kilkadziesiąt obrazów Riepina.

W maju 1931 roku Zaliźniak przyłączył się do ekspedycji; Dmytro Iwanowicz przed podróżą poradził mu, aby odbył podróż nie płynąc łodzią po Dnieprze, lecz jadąc pociągiem. W miesiąc później, gdy woda w rzece opadła, wyruszył Dnieprem także akademik Jawornicki i zjawił się w Wowniach, jako szef ekspedycji.

— Dzisiaj pójdziemy do rady gminnej, bo trzeba się zameldować — powiedział do Zaliźniaka.

Dmytro Iwanowicz włożył biały garnitur, kapelusz, okulary przeciwsłoneczne, wziął laskę i poszli do gminy. Przyjęto ich z początku oschle, niezbyt przyjaźnie, ktoś szepnął nawet „To jakiś burżuj”. Ale gdy Jawornicki, świetny gawędziarz, jął opowiadać o podróży Katarzyny II po Dnieprze, a potem o spotkaniu z machnowcami, wszyscy obecni porzucili swoje zajęcia i z uwagą poczęli go słuchać. Po upływie pół godziny zapanaowała obopólna przyjaźń, a archeolodzy uzyskali wydatną pomoc w transporcie, zakwaterowaniu i aprowizacji.

Do mieszkania Jawornickiego jak rzeka popłynęli i włościanie, i władze miejscowe. Pewnego razu zebrała się cała niemal wieś i Jawornicki wygłosił prelekcję na temat poszukiwań archeologicznych oraz o kulturze ludzi, którzy przed tysiącem lat żyli w Wowniach.

W Wowniach znaleziono kamienne narzędzia: noże, wiertła, skrobaczki, groty strzał oraz spisy.

— Marku Mykytowiczu, proszę wszystkie wydobyte tutaj przedmioty sfotografować w naturalnej wielkości — polecił profesor.

Wiejski fotograf nie miał nigdy do czynienia z takimi sprawami, ale z natury obdarzony pomysłowością, znalazł sposób. Kładł przy ekspozycji zapalnik, a drugą dla porównania umieszczał przy powiększalniku. Rezultat był taki, jakiego sobie życzył Dmytro Iwanowicz. Profesor pochwalił go za roztropność i dał mu inne, nie mniej skomplikowane zadanie.

Spośród włościan mieszkających nad Dnieprem-Sławutą wielu dobrze znało Dmytra Iwanowicza. Pod wieczór, kiedy upał zelżał, Jawornicki w towarzystwie Zaliźniaka udał się do znajomych wieśniaków, aby poszukać jakichś staroci i przynajmniej sfotografować to, czego nie udałoby się nabyć.

U jednego z mieszkańców Dmytro Iwanowicz znalazł dobrze zachowaną, wspaniale ozdobioną skrzynię. Skrzynię sfotografowano.

Dalej napotkali tabor cygański, który się rozłożył przy samej wsi. Jawornicki podszedł do Cyganów, obejrzał ich namioty, wozy, konie i budy na wozach, po czym wybrał najbardziej typową rodzinę i kazał Zaliźniakowi utrwalić na zdjęciu chwilę, gdy Cygan właśnie kuł żelazo, a Cyganka z fajeczką w zębach siedziała przy miechu kowalskim podsycając ogień.

— Po co panu Cyganie? — pytał zaciekawiony Zaliźniak.

— Jak to po co? Cyganie kończą swój wędrowny żywot, takie zdjęcie może posiadać wartość historyczną.

W czasie trwania wyprawy archeologicznej były trudności z zaopatrzeniem. Na mocy decyzji władz członkowie wyprawy oraz kopacze wykonujący ciężką pracę fizyczną otrzymywali podwójny przydział żywności. Po skończonych poszukiwaniach powinni byli

otrzymać dwadzieścia pięć pudów mąki. Dmytro Iwanowicz zebrał cały zespół i zapytał:

— Powiedzcie, czy są między wami głodni?

— Nie ma! — odpowiedziano chórem.

— Proponuję więc, by dwadzieścia pięć pudów należnej nam mąki przekazać państwu, a my się obejdzimy — takie jest moje przekonanie. — Po chwili dodał: — A może jeszcze to: poproście ode mnie piekarnia, żeby upiekł wielką, wspaniałą, ukraińską palaninę. Zawieziemy ją do muzeum i wystawimy, aby zwiędzający wiedzieli, jaki chleb na Ukrainie jedliśmy,jemy i jeść będziemy.

...Cicho, spokojnie i majestatycznie toczy swoje wody Dniepr-Sławuta opływając napotkane po drodze ostre, pionowe skały. O świcie przybiła do brzegu łódka. Wsiadł do niej Dmytro Iwanowicz z dwoma archeologami. Ruszyli z biegiem Dniepru, w stronę Dnieprogesu, gdzie pracowały inne zespoły wielkiej ekspedycji.

— No, jak tam sprawy, moi Kozacy? — zapytał Jawornicki po przybyciu jednego z młodych archeologów.

— Świetnie. Znaleźliśmy skarb złożony ze złotych i srebrnych przedmiotów jakiejś starożytnej kultury.

— Toście mieli szczęście. Dziękuję wam za wytrwałą pracę. Cóż mi jeszcze przyjemnego powiecie?

— Pogłębiarka wymyła z wykopu pięć mieczy i kilka monet bizantyjskich, proszę obejrzeć.

Jawornicki czym prędzej rzucił się je oglądać. Nie były to zwykłe miecze. Długie prawie na metr, szerokie na dziesięć centymetrów, o ostrzu obustronnie inkrostowanym złotem. Prawdopodobnie wskutek zatonięcia jakiejś łodzi opadły na dno Dniepru, gdzie wkrótce pokrył je muł, dlatego też rdza prawie ich nie tknęła. Rozpadły się tylko drewniane rękojeści, zachował się

natomiast srebrny drut, który je mocował. Specjaliści są zdania, że miecze te mają po trzy tysiące lat.

Pewnego razu profesor zaprosił do gabinetu sekretarza naukowego muzeum i polecił mu zwołać telegraficznie wszystkich archeologów na naradę.

Na trzeci dzień zjechali się do muzeum archeolodzy. Dmytro Iwanowicz wysłuchał ich sprawozdań, po czym wstał z fotela, spojrzął na zebranych i rzekł:

— Zbliża się czas, kiedy niektóre historyczne miejscowości, cieśniny, wyspy, poroży zostaną zatopione i skryją się na zawsze pod wodą. W związku z tym postanowiłem zebrać was w muzeum i wsiąść razem na łódź „Siczowiec”, którą już zamówiłem u locmanów. Przepłyniemy po raz ostatni kozackim szlakiem. Cóż powiecie na to?

— Ależ, Dmytrze Iwanowiczu, trudno sobie wyobrazić coś wspanialszego — zgodzili się zebrani.

Dnia 5 sierpnia 1931 roku dwadzieścia trzy osoby wsiadły do łodzi. Miała już odbić od brzegu, czekano tylko na komendę siedemdziesięciosześcioletniego atamana wyprawy, Dmytra Iwanowicza. A ten czegoś zwlekał, na coś czekał. Nagle w górze, w parku Szewczenki, ujrzano grupę osób zdążających do brzegu. Byli to literaci, przybyli z Charkowa, aby razem z Jawornickim po raz ostatni przepłynąć łodzią do Kiczkasu.

— Na nich właśnie czekałem — z uśmiechem rzekł Jawornicki. — Depeszowano wczoraj do mnie, żeby tę brać dołączyć do nas.

Teraz w łodzi ulokowało się trzydzieści pięć osób. Zaliżniak wszystkich sfotografował, po czym dano sygnał odjazdu.

Pierwszy nocleg odbył się w Wołoskiem. Niezmordowany Dmytro Iwanowicz przez całą drogę opowiadał dykteryjki, które niektórzy pisarze notowali gorączkowo w swoich podróżnych notatnikach.

Po drodze Jawornicki zaintonował kilka starych pieśni kozackich, zawtórowały mu dźwięczne, młode głosy wycieczkowiczów. Zbliżano się do porohu Nienasytec.

— Nuże, chłopaki, zdejmijcie ubrania — polecił Dmytro Iwanowicz. — Lękać się nie trzeba, ale ostrożność nie zawadzi.

— Trzymajcie się, chłopaki! — zawołał głośno locman, mocniej przykładając się do wiosł.

Znienacka łódź runęła w otchłań i woda zalala wszystkich, lecz w tej samej niemal chwili łódź znowu znalazła się na gładkiej powierzchni, nalało się tylko nieco wody, którą niezwłocznie wygarnięto. Kiedy ryczący poroh pozostał w tyle, dały się słyszeć żarty i śmiechy. Ten i ów spośród gości przybladł nieco, ale patrząc na spokojne oblicze starego Jawornickiego, siedzącego obok locmana, starał się nie dawać poznać po sobie.

Nadeszła jesień, a z nią pora deszczowa. Wyprawa archeologiczna zakończyła prace. Fotograf Zaliźniak znakomicie wywiązał się ze swoich zadań.

— Dziękuję za sumienną pracę, Marku Mykytowiczu. Sprawiał się pan tak, jak się tego po panu spodziewałem.

Zaliźniak wrócił do swojego kołchozu. Ale korespondencja z Dmytrem Iwanowiczem nie ustała. Fotograf dalej przysyłał materiały etnograficzne, zdjęcia zabytków i serdeczne słowa podziękowań za naukę.

### SPÓR Z DZIEDZICEM

Na rozległych stepach należących do Erasta Brodzkiego znajdowały się liczne mogiły, znaczone posągami „bab” kamiennych. Dziedzic znany był jako człowiek nieużyty. Na jego stepy archeolodzy nie mieli dostępu.

Brodzki pod uprawą miał niewiele ze swych obsza-

rów, a tysiące dziesięcin, zarośniętych perzem i burzaniem pozostawiał na pastwiska. Pasły się tam olbrzymie stada owiec i bydła. To że chłopci w sąsiedztwie dusili się na swoich działkach, Brodzkiego nie obchodziło.

Dmytro Iwanowicz przyjechał na stację Erastówka i pieszo dotarł do majątku położonego o pięć kilometrów od stacji.

Brodzki przyjął gościa z rezerwą. Znał już Jawornickiego i wiedział, że jego przyjazd będzie go nieco kosztował.

— Jak się pan tutaj dostał? Co pana do mnie sprawadza?

— Interesują mnie mogiły i baby kamienne.

Brodzki od razu sposepniał.

— Czemuż to pana, Dmytrze Iwanowiczu, przyciąga tylko ten kawałek stepu? Czy to tylko na mojej ziemi wyrosły mogiły? Gdzie indziej też ich pełno.

Ale Dmytro Iwanowicz wiedział, że Brodzki jest łasy na pochlebstwa i nie omieszkał tego wykorzystać.

— To prawda, ale gdzie indziej nie ma takich gospodarzy. Wolałem zwrócić się do pana, jako do człowieka z kulturą. Człowieka, który wie, co są warte pamiątki przeszłości i który na pewno dopomoże nam w badaniach archeologicznych. Jak się pan na to zapatruje?

— Wiedziałem, że tak będzie. No cóż, proszę zebrać kopaczy i rozkopać te dwie mogiły, w pobliżu majątku — ustąpił wreszcie gospodarz stepu.

Dmytro Iwanowicz podziękował i nazajutrz rano, zanim się Brodzki rozmyślił, wszczęto prace wykopaliskowe. W mogiłach znaleziono szkielety, strzały, końcówki spis i łuków, przedmioty z żelaza.

Sam Brodzki też był amatorem starożytności, toteż od czasu do czasu przyjeżdżał na pięknym wronym ogierze i przyglądał się wykopaliskom.

Już w drugim dniu pracy szczęście dopisało archeologom. Dmytro Iwanowicz znalazł coś niezmiernie cennego — nie złoto, nie diamenty, lecz kamienne formy odlewnicze, używane do lania przedmiotów z brązu. Niedługo jednak uczony cieszył się swoją zdobyczą. Wkrótce dowiedział się o niej Brodzki i natychmiast zjawił się przy mogiłach.

— Niech mi pan pokaże te formy, Dmytrze Iwanowiczu.

Archeolog niechętnie pokazał swoje niecodzienne znalezisko. Brodzki wziął je do rąk, cmoknął, obejrzał i kategorycznie oświadczył:

— Te formy biorę dla siebie, a wszystkie pozostałe znaleziska proszę zabrać do muzeum.

— Jak to, przecież to skarb muzealny!

— Ziemia jest moja i to, co w ziemi, również. Tak będzie, jak powiedziałem.

Oburzony samowolą dziedzica Jawornicki natychmiast wstrzymał roboty i udał się po radę do swego przyjaciela, Pawła Fedorowicza Tuszkan, dyrektora stacji doświadczalnej i średniej szkoły rolniczej, znajdującej się na ziemi Brodzkiego.

— Nieszczęście, Pawle Fedorowiczu! Ten gałgan Brodzki zabrał sobie wykopane przeze mnie kamienne formy odlewnicze!

— Niech pan się nie przejmuje. Spróbuję wpłynąć na niego, może zwróci je muzeum. Niech pan odpocznie trochę, przyjacielu, a ja opowiem, jak to swojego czasu odwiedzałem dziedziców.

Tuszkana szukając przed laty odpowiedniego miejsca dla szkoły i stacji doświadczalnej jeździł do różnych ziemian, oglądał ich ziemie, stawy, lasy. Poznał wtedy wiele ludzi, zetknął się z różnymi sprawami. Obfitością swych wrażeń podzielił się teraz z Jawornickim, którego te gawędy naprowadziły na myśl napisania książki



pt. „Między panami”. Pokazał tam pod zmienionymi nazwiskami całą galerię ziemian i działaczy ziemstw. Był to surowy osąd ustroju, co zrodził i wychował tych nikomu niepotrzebnych ludzi, znających tylko karty, pijaństwo i rozpustę.

Po spotkaniu z Tuszkaniem Jawornicki wrócił do Katerynosławia. Myśl jego wciąż krążyła dokoła tamtej sprawy. Napisał do Brodzkiego prosząc o przekazanie choćby na krótki czas tych form do muzeum w celu sporządzenia z nich kopii. Brodzki nie przystał na to. Oto wyjątek z listu Jawornickiego do Tuszkana:

*Miły, kochany kumie, Pawle Fedorowiczu!*

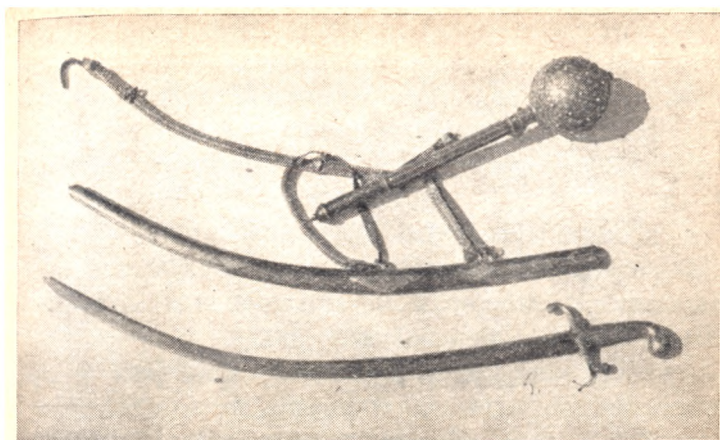
*Ten niegodziwy Brodzki nie użyzył mi kamionek, żebym mógł wykonać z nich modele. Niechże ten przekłębny włoży je sobie do trumny. Jednakże rad jestem bardzo, że odwiedziłem pana, rozmawiałem z panem i otrzymałem cenny materiał leksykalny. Z pańskiego „słowniczka” przenieśliem do swojego ponad sto wyrazów, których nie było ani w słowniku Hrinczenki, ani w moim własnym.*

*2.VII.1914 r. Pański z całej duszy D. Jawornicki.*

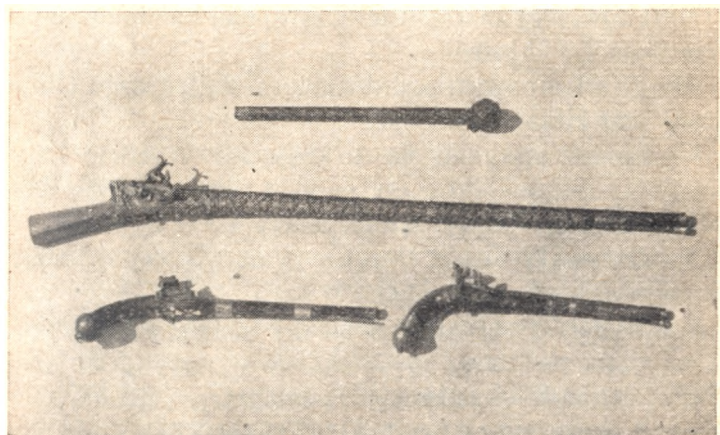
Walka o formy nie ustawała. Po długich targach i naleganiach Tuszkana i Jawornickiego ziemianin musiał ustąpić. Dał nareszcie formy, lecz jedynie w celu zdjęcia z nich kopii. Ale Jawornicki otrzymane oryginały natychmiast dał na wystawę. I chociaż Brodzki pienieł się ze złości, formy zostały w muzeum na zawsze.

## DO MUZEUM — CHOĆBY SPOD ZIEMI

Pewnego letniego dnia, a było to w latach trzydziestych, zadzwonił do mieszkania Jawornickiego Iwan Iarionowicz Pozniakow, który przybył tutaj ze swoim trzynastoletnim synem.



*Szabla i buzdygan*



*Pistolety, rusznica i piernacz*

— Syn mój — zaczął w zakłopotaniu Pozniakow — dowiedział się, że ma pan u siebie w domu Zaporozców, i ciągle prosi: „Chodźmy i chodźmy popatrzeć na Kozaków”. A ja także chciałbym poznać się z panem i poprosić, żeby nam pan pokazał swoje domowe muzeum.

Gospodarz wprowadził gościa do saloniku, w którym stały różne gabloty z eksponatami, a na ścianach wisiało sporo obrazów. Pokazał swoje skarby, opowiedział historię każdego obrazu.

— Dziękujemy panu pięknie. Prosimy jeszcze opowiedzieć nam o tym, co wykopuje się z mogił.

— Z miłą chęcią. Najrozleglejsze badania prowadziłem w pobliżu rzek Orel, Samara, Końskie Wody — tam gdzie niegdyś Zaporozcy mieli swoje siedziby. Obejrzałem i przebadałem tam ponad 500 wiorst obszaru, rozkopałem 103 mogiły.

— Cóż tam ciekawego znaleziono?

— Różne rzeczy. Skurczone, pomalowane szkielety, naczynia, różne wyroby z metalu i krzemienia.

— Czy bardzo stare?

— Najwięcej z okresu między epoką kamienną a początkiem epoki brązu.

Dmytro Iwanowicz podniósł się, wziął ze stołu album i pokazał kilka zdjęć.

— Proszę spojrzeć na to zdjęcie. Widzicie tutaj szkielety koczowników. W pobliżu tych grobów znaleziono monety z czternastego wieku.

I odłożywszy album Dmytro Iwanowicz opowiedział o ciekawszych znaleziskach.

— W jednej z mogił znaleźliśmy szkielety mężczyzny i osiodłanego konia, pochowanego w pozycji stojącej. Przy nich leżały żelazne strzały, kotły, szpadle, miedziane groty strzał, strzępki ubrania. Znaleziono tam także szkielet kobiety, a przy nim naszyjnik, drogie

pierścienie, resztki brokatu i obuwia skórzanego, lusterko z brązu, zausznicę i inne przedmioty.

Dmytro Iwanowicz podniósł się, przeszedł po sali, zajrzał do paru gablot, jakby chciał coś sobie przypomnieć, po czym wrócił do gości i opowiedział o jednym z najcenniejszych znalezisk.

— W mogile położonej koło wsi Afanasjewka powiatu nowomoskiewskiego znaleźliśmy dwa szkielety i przedmioty należące do jakiegoś wielmoży: resztki drewnianego rydwanu, wielki dzban z miedzi, dwie srebrne, pozłacane agrafy z okrągłymi perłami, na palcu prawej ręki złoty pierścień z jaspisem, w lewej ręce srebrny dzban z uchem o kształcie lwiej głowy. Wzdłuż całego szkieletu było rozrzucone siedemnaście pozłacanych płytek, niektóre z nich wysadzone dużymi perłami. Przy szkielecie kobiecym znaleziono szczypczyki do usuwania włosów z twarzy, trzy srebrne łyżeczki do uszu, srebrną łyżkę i dwie monety z imieniem Dżanibek-chana, 1342—1357 r.

— A czy tutaj, w pobliżu Katerynosławia, prowadził pan także prace wykopaliskowe?

— Owszem, latem 1923 roku koło wioski Locmańska Kamionka.

Tu Dmytro Iwanowicz opowiedział swoim słuchaczom, jak w owych ciężkich czasach, gdy brak było materiałów i żywności, szukał pomocy u miejscowego oddziału wojskowego.

— Przed wyprawą zwróciłem się do komendanta 89 pułku Czornohorskiego z prośbą, żeby mi dał kuchnię polową, pięciu uzbrojonych żołnierzy dla ochrony wyprawy oraz namioty. Komendant szczerze mi dopomógł. Kopaliśmy tam przez dwa tygodnie. Jadaliśmy wszyscy z jednego kotła. Czasami ja bywałem kucharzem, gotowałem stepową jaglaną kaszę, okraszoną słoniną. A gdy zapadnie wieczór, nasi kopacze-studenci jak zaczną

śpiewać *Zakukała siwa kukuleczka* albo *Ryczy i jęczy Dniepr szeroki*, to proszę mi wierzyć, po całym Dnieprze echo się rozlega.

Na pożegnanie profesor zaprosił Pozniakowa do muzeum. Nazajutrz Pozniakow cały prawie dzień chodził po salach i słuchał opowiadania niezmordowanego historyka. A słuchając pytał sam siebie: „Jak to się dzieje, że kiedy Dmytro Iwanowicz oprowadza po wystawie, to dosłownie oczarowuje słuchaczy?” Sam sobie odpowiadał: „Chyba dlatego, że sam żyje życiem ludzi, zna i kocha każdy eksponat, ożywia go czarem poezji”.

W dziale rolniczym Pozniakow zapytał:

— Co to za dziwny pług?

— A bo dziwny — sama tylko grządziel na dwa metry długa! Nabyliśmy ten pług od pewnego zamożnego włościanina. Zaprzęgano do niego trzy pary wołów. Posługiwać się nim mógł tylko bogacz. Biedniak czy średniak nie mógł go używać, bo nie miał dosyć sprzężaju. Jak widać, był to pług za wielki, niezgrabny, grządziel i rękojeść wykonane były z bukowego drewna i tylko lemiesz i nóż są żelazne. Jest to okaz przestarzałej już techniki dziewiętnastego wieku. A obok już inna technika, pług żelazny, lżejszy, zręczniejszy; to już postęp. Spójrzcie teraz na zdjęcie współczesnego traktora. Nie potrzeba tutaj wołów, jego moc to silnik kierowany sprawną ludzką ręką.

Profesor idzie dalej.

— Widzicie tutaj drewnianą misę. Nie na kluski i nie na pierogi ją przeznaczono. Na samym środku misy pomysłowy artysta wykonał podobiznę Tarasa Szewczenki. Proszę dobrze się przyjrzeć, jak po mistrzowsku wykonano tę pracę. A robił to prosty wieśniak, pracował nad tym dwa lata. Cóż to nim kierowało? Powołanie, mówicie, zdolności? A ja wam mówię, nie dosyć jest posiadać wrodzone zdolności, trzeba w so-

bie nosić miłość kultury ojczystej, kochać nieśmiertelnego Kobziarza.

Artysta z pewnością posiadał jedno i drugie — powołanie i umiłowanie.

Następnie Dmytro Iwanowicz poprowadził swoich gości do kamiennych bab, otaczających muzeum, niczym żołnierze na warcie.

— Opowiem wam o jednej z nich, zdobytej u pewnego wieśniaka w Pidhornem. Pojechałem tam, odnalazłem zagrodę. Widzę, że stoi przy podwórku kamienna baba, ale już uszkodzona. Służyła ona za słupek w wiklinowym płocie. Z obu stron tej baby gospodarz wydlubał otwory i wstawił w nie żerdzie. „Cożeście zrobili — pytam — z tym starożytnym zabytkiem? To nie wiecie, że jest prawo, aby wszystkie kamienne baby oddawać do muzeum? A wy psujecie posągi?” Widzę, że chłopina się przeląkł, mruga oczyma, nie wie, jak tu się wykaraskać. Mówi mi nieśmiało: „Gotów jestem oddać babę, ale mi się płót rozleci” — „Nie martwcie się o to, coś się wymyśli”. Poszedłem do mechanika w sowchozie i poprosiłem go, by pomógł chłopu wymienić kamienną babę na drewniany słupek. Załatwili mi to. Babę wykopano i zwolniono z uścisków płotu. „Bierzcie — mówi chłop — zawieźcie ją do muzeum!” — „Jakże ją mam dźwigać — odpowiadam — na plecach, czy jak? Jakaście ją wykopali, to zawieźcie ją do Dniepropietrowska”. Długo się chłop namyślał, drapał się w głowę, a potem załadowano ją na ciężarówkę i przywieziono tutaj. Żebra ma wprawdzie podziurawione, ale nic to, głowa i ręce całe, jeszcze całkiem nie straciła urody.

Dmytro Iwanowicz obrzucił wzrokiem orszak bab kamiennych i wskazał jedną z nich.

— Tę „młódkę” zdobyłem w Locmańskiej Kamionce. Widzę, jak przy jednym podwórku staruszkowie siedzą

na kamiennej babie i pykają fajeczki. Podchodzę, pozdrawiam ich i pytam:

„Dziadkowie, a skądęście wytrzasnęli ten kamień?”

„Ano, przywieźliśmy z mogiły i rzucili przy podwórku, niech sobie leży, może się do czego przyda”.

„Nie sprzedalibyście go?”

„A ile dajecie?”

„Pięć rubli”.

„Zgoda, zabierajcie. Ale powiedzcie, co będziecie z tym robić?”

„Postawimy koło muzeum, niechaj na to ludzie popatrzą”.

„Trzeba było powiedzieć, że to dla muzeum. Zabierajcie swoje pięć rubli. Przywieziemy wam babę wołami za darmo”.

„Skoro tak, moi kochani, to wprowadzę was do historii”.

„Jak to niby?”

„A tak, że kto tylko przyjdzie do muzeum, spojrzy w książkę, a tam będą wasze nazwiska. Przeczyta i dobrze o was pomyśli!”

Zwiedzający weszli do głównej sali, na środku której stała wielka, okrągła gabłota.

— Opowiem wam krótko, mili przyjaciele, historię tej gabłoty. W pobliżu Dniepropietrowska mieszkał książę Żewachow. Przechwalał się kiedyś, że ma w domu wielki zbiór starożytności i zaprosił mnie do siebie. Było to w roku 1913. Przyjechałem latem do księcia. Żewachow pokazał mi wspaniałą kolekcję przeróżnej broni.

„Książę, podarowałby pan to wszystko do muzeum!”

„Za nic w świecie! Z jakiej racji? To rodzinny majątek!”

Bezskuteczne były wszelkie nalegania, książę nie ustępował. W końcu rozgniewałem się na niego, trza-

snąłem drzwiami i wyszedłem. Aż tu słyszę za sobą turkot pojazdu. Patrząc, siedzi w nim książę i daje znak ręką, abym się zatrzymał. Stałem więc i czekam.

„Proszę wrócić, Dmytrze Iwanowiczu, niech się pan nie gniewa!”

„Dobrze — mówię — wrócę, ale jeżeli pan odda eksponaty do muzeum”.

Książę pokręcił swego wspaniałego farbowanego węża, pomyślał — i ustąpił, oddał całą kolekcję. Nad gablotą umieściłem kartkę z ledwo widocznym napisem: „Zbiory księcia Żewachowa”. Z czasem kartkę tę zdjąłem, a przedmioty znajdujące się w gablocie stały się na zawsze własnością muzeum.

#### W NIEODPOWIEDNICH RĘKACH

Około roku 1915 jeden ze współpracowników Jawornickiego, zbierający dla uczonego materiały etnograficzne i muzealne, zawiadomił go, że na wyspie Chorotyca pojawił się bandyta Baszmał, uzbrojony w dwa zaporoskie pistolety skałkowe i zakrzywioną szablę. Rozbójnik napadał na przechodniów i ograbiał ich, nie słysząc było jednak, aby strzelał z pistoletów. Przy spotkaniu z ludźmi celował z obu luf, a przerażona ofiara oddawała mu wszystko, czego żądał. Opowiadano, że dla dodania sobie animuszu wybiera się na „polowanie” po pijanemu. Opryszek pozuje na Zaporozca: zapuścił długie wąsy, nosi kudłatą czapę i szerokie szarawary. Żandarmi urządzali na niego zaśladki, ale jakoś nie mogli go złapać.

Zaciekawiał Dmytra Iwanowicza ów „Zaporoziec” spod ciemnej gwiazdy, a jednocześnie oburzył do żywego. Skąd ten chłystek ma starą broń zaporoską? Tylko plami honor zaporoskich rycerzy! W Siczy za takie wy-



bryki przywiązano go do pręgierza i poczęstowano kijami. Miejsce broni jest w muzeum, trzeba mu ją odebrać.

Z tą myślą Dmytro Iwanowicz wyjechał do Ołeksandrowska (obecnie Zaporozże), a następnie stanął na Wielkiej Chortycy. Wywiadywał się tutaj, co to za jeden ów Baszmak i czy rzeczywiście ma zaporoską broń. Miejscowe władze potwierdziły, że owszem ma, ale nie chciały udzielić uczonemu pomocy, aby nie ściągnąć na siebie jakichś tarapatów.

Postanowił więc Jawornicki działać na własną rękę. Dowiedział się, że z Baszmakem popija często jakiś dziadek Kuszpil. Tenże Kuszpil przepił cały swój dobytek i zawsze szuka okazji do wypitki.

Dmytro Iwanowicz wstąpił do chaty Kuszpila. Bieda wyczierała z każdego kąta. Działwa była obdarta, nie umyta, nie uczesana, matka mizerna i przygnębiona, z oczu jej patrzyła wieczna nędza i niedostatek.

Kuszpil po wypitce leżał na słomie i chrapał na całą izbę. Pięcioro drobnej działwy rzuciło się do miski z rozmoczonymi sucharami ledwo posypanymi cukrem.

Gość się przywitał, obejrzał naokoło, pogłaskał dziecięce główki, wyjął z kieszeni karmelki i rozdał je dzieciom. W chacie zrobiło się weselej, nawet matka się uśmiechnęła.

— A to dla was, noście sobie na zdrowie i na radość — Jawornicki wyciągnął z kieszeni barwną kaszmirową chustę i podał gospodyni. Ta się zmieszała, z wahaniem sięgnęła po prezent i oglądała go długo, jak jakie cudo, bo jeszcze nigdy nie została obdarowana.

— Dzięki wam, dobry panie, ale czymże się odwdzięczę?

— Nic mi od was nie trzeba. Czy to wasz mąż śpi na słomie?

— To mój mąż, moje nieszczęście! Pije bez opamiętania! Trzeci już dzień leży pijany i żadnej roboty się nie tknie.

— Z kimże tak sobie dogadza?

— A jest tutaj taki jeden obieżyświat. Każe się nazywać „Zaporożcem”. Spotkają się, wypiją, żebra sobie porachują — i tak im dzień schodzi.

— Rozbudźcież no swego męża, ciotko!

Po kilku szturchańcach gospodarz dźwignął się ze swego wyrka.

— Wstawaj, jakiś pan przyszedł, a ty chrapiesz na całą chatę — narzekła gospodyni.

Podniósł się Kuszpil powoli, spojrzął mętным wzrokiem na gościa. Głowę miał rozkudłaną, minę ponurą.

Jawornicki go pyta:

— Powiedzcie no, gdzieście się tak uraczyli?

— Wczoraj trochęśmy wypili z Zaporożcem.

— Czym się zajmuje ten Zaporożec?

— Czym się ma zajmować, pije, hula, żonkę tłucze. Tyle jego zajęcia.

— Więc albo pije, albo wszy bije, ale zawsze zajęty — ironicznie zauważył Jawornicki.

— Musi co tak! — zaśmiał się Kuszpil.

— A nie chcielibyście wypić na poprawiny?

— Kto by się tam wymawiał od takiej okazji!

— No to stawiam wiadro wódki, ale zróbcie jeden dobry uczynek. Pójdźcie do swego przyjaciela Baszmarka i namówcie go, aby zabrał całą zaporoską broń i przyszedł tutaj. Niechaj się mnie nie obawia, nie jestem żandarmem ani komisarzem policji, tylko profesorem, dyrektorem muzeum.

Stary Kuszpil najpierw nabrał chęci, ale wkrótce zaczął drapać się w głowę.

— Kto go tam wie, czy się ruszy? Teraz jasny dzień,

a on nie lubi się pokazywać ludziom. Może trochę później?

Na to Kuszpilowa:

— Jak to się nie ruszy? Pleciesz coś, co kupy się nie trzyma. Prędeż, ubieraj się, niezguło. Ja pójdę razem z tobą.

Oboje szybko się ogarnęli i poszli do Baszma. Minęły ze dwie godziny, nadciągał wieczór. Wyteżając wzrok patrzył Dmytro Iwanowicz przez szybki małego okienka i czekał. W końcu zjawili się wszyscy troje, Baszma — w pełnym rynsztunku.

— Dzień dobry. Wzywaliście mnie? — pierwszy odezwał się Baszma, spojierając nieufnie na profesora.

— Owszem. Siądźcie, nie obawiajcie się. Słyszałem, że zdobyliście szablę i pistolety zaporoskie — zagaił Jawornicki.

— A tak, zdobyłem je, mam teraz ze sobą.

— Gdzie to zdobyliście tę broń?

— Gdzie zdobyłem, tam już jej nie ma! U jednego starego wziąłem, co już umarł. A on skąd ją miał, nie pytałem. Ale ja z tych pistoletów nie strzelałem, mam je przy sobie tak tylko, dla uciechy.

Kręci się Baszma na stołku, widać żałuje, że dał się namówić na to spotkanie.

— Nie mówicie prawdy — naciera Jawornicki. — Zhańbiliście tę znaną broń, której Zaporozcy używali dla obrony ojczyzny. Straszylście nią ludzi, aby rabować ich mienie i przepijać je. A kto kradnie cudzą własność, kradnie cudze siły i pracę, cudzy rozum i szczęście!

— Niby to Karmeluk <sup>56</sup> tak nie robił?

— Co, Karmeluk? Człowieku, ten co ma ogon kusy, to jeszcze nie zając. Karmeluk odbierał bogactwo ponom i oddawał je chłopom, ludziom wydziedziczonym.

A wy co? Ograbiacie ubogich, a potem wszystko przepijacie. Pomyślcie, jak to nazwać? Czy wiecie, że wasze sprawy zżane już są w guberni, że wszczęto dochodzenie i drogo za to zapłacicie?

— Czegóż pan chce ode mnie, panie profesorze?

— Czego? Przekażecie pistolety i szable do muzeum, więcej nic od was nie chcę.

Tu wtrącił się Kuszpil, który do tej pory czekał, aż się skończą układy, ale myśl jego krążyła przez cały czas dokoła przyobiecanego wiadra gorzałki i już ponosiła go niecierpliwość.

— Zdaje się, że to jeszcze nie wszystko. Pan mi jeszcze coś przyobiecał.

— Słusznie, obiecałem. Macie trzy ruble na gorzałkę, wypijcie tę śmierdziuchę i pożegnajcie się z nią na zawsze. Gorzałka nikomu jeszcze nie wyszła na dobre, a wielu zaprowadziła na tamten świat. Zapomnijcie o drodze do szynku.

— Ależ tak — zgodził się Kuszpil, byle prędzej dorwać się do kielicha.

Baszmak zdjął szablę i pistolety, oddał Jawornickiemu, a ten popatrzył na te starodawne pamiątki i pomyślał: „Taka broń, a w jakie ręce trafiła!”

— A co będzie ze mną? Co mam robić dalej? — pytał „Zaporozec”.

— O was, Baszmak, powiem słówko gdzie trzeba, zaawiadomię, że oddaliście broń do muzeum i będziecie uczciwie pracować na chleb.

— Gdzież na ten chleb zarobić? Dokąd iść?

— Et, człowieku, trzeba tylko chcieć, a praca zawsze się znajdzie. Kto zechce, ten na górę podrepce, a kto nie ochoczy, ten się z góry nie stoczy. Radzę zgłosić się do pracy w fabryce. I pamiętajcie — trzeba pracować, a nie zbijać bąki.

— Dzięki, profesorze, za dobre słowo.

I Baszmak z Kuszpilem pomogli Jawornickiemu donieść zebrane do worka skarby do pociągu jadącego do Katerynosławia.

### PIĘŚNI ZAPISANE Z PAMIĘCI

Na pewnym wieczorze literackim poznałem się z kompozytorem Ołeksandrem Sołowjowem. Z rozmowy dowiedziałem się, że znał on Jawornickiego i bywał u niego w domu.

Poznał go w 1920 roku. Dmytro Iwanowicz, jak zwykle niezmordowany, jął w Katerynosławiu szukać pełnomocnictw, na podstawie których mógłby włączać do zasobów muzeum cenne przedmioty, dawniej należące do panów. Poradzono mu udać się do Wydziału Oświaty Ludowej.

Pracownicy Oświaty znali profesora Jawornickiego i przyjaźnie go powitali. Dmytro Iwanowicz zdjął kapelusz, powiesił go na swojej lasce i usiadł w fotelu.

— W jakiej pan sprawie do nas zawitał, Dmytrze Iwanowiczu? — zapytał Sołowjow, który wtedy pracował w Wydziale Oświaty.

— W bardzo ważnej i nie cierpiącej zwłoki. Parę lat już mija, jak panów przepędzono z miasta. A czy wiecie, że w ich pałacach pozostały bez dozoru biblioteki, cenne obrazy, rzeźby? Wstąpiłem tu, żeby się dowiedzieć, co zrobiono w celu zabezpieczenia tych wartościowych przedmiotów.

— Mamy tu rozporządzenie gubernialnego Wydziału Oświaty, a tutaj instrukcję o ochronie („Kto o czym, a Jawornicki o muzeum” — pomyślał Sołowjow).

Dmytro Iwanowicz spojrział sponad okularów na Sołowjowa.

— Doskonale, rozporządzenie już widzę. Ale czy

wiedzą o nim ci, co wylamują drzwi i okna, co niszczą te cenne przedmioty? Pewno go nie znają albo udają, że nie znają. Przyszedłem tutaj, byście mi przydzielili inspektora i milicjanta. Przejdziemy się razem po tych pałacach. Wiem, gdzie były wartościowe stare przedmioty.

Prośba Dmytra Iwanowicza została spełniona.

Następnego dnia zdobył Jawornicki wóz, zabrał z sobą dozorcę muzeum Popowa i jego dziesięcioletnią córeczkę Maryjkę i ruszył na objazd pałaców. Dozorca z dzieckiem siedział na wozie i powoził, a Jawornicki dreptał koło wozu.

— Najpierw pojedziemy do pani Jeweckiej. Czmychnęła, a jej majątek pozostał na łasce losu.

Piękna pani Jewecka przed ucieczką za granicę przybiegła do muzeum.

„Kochany Dmytrze Iwanowiczu! Przekazuję panu klucze, mój dom i wszystko, co jest w domu. Błagam pana, proszę upilnować, ja niedługo wrócę!”

Jawornicki wziął klucze, ale pomyślał sobie: „Nic z tego, nie wrócisz ty do swego pałacu!”

A teraz, jak prawdziwy gospodarz, wyjął przekazane mu klucze, otworzył drzwi i wszedł tutaj razem ze swymi pomocnikami. Wspólnie z dozorcą dwukrotnie ładowali na wóz posągi, obrazy i książki i przewozili je do muzeum. Za ostatnim razem zabrali także staroświecki klawesyn. Gdy obchodził pokoje raz jeszcze, zauważył album w srebrnej oprawie, w której osadzony był kosztowny brylant.

— Bierz no, Maryjko, to cacko — rzekł do dziewczynki — i zanieś na wóz. A nie przewróć się, bo to bardzo droga rzecz.

I wozy ze skarbami powędrowały do muzeum.

Sołowjow opowiadał także o innym spotkaniu z Jawornickim.

W roku 1924 pracował w szkolnictwie jako nauczyciel śpiewu. Serafyma, żona Jawornickiego, także nauczycielka, zaprosiła go do męża. Opowiedziała, że Dmytro Iwanowicz zebrał około tysiąca pieśni ludowych, śpiewa często te, które najbardziej lubi, i chciałby, żeby ktoś zapisał ich nuty; o to właśnie prosiła Sołowjowa.

Dmytro Iwanowicz miał wtedy siedemdziesiąt lat, ale śpiewał bez żadnego wysiłku. Dwa-trzy razy wykonywał tę samą pieśń, po czym Sołowjow zapisywał jej melodię, starając się nic nie uronić z jej dynamicznych odcieni, tempa i charakteru.

— Trzeba stwierdzić — opowiadał Sołowjow — że Dmytro Iwanowicz bardzo umiejętnie i dokładnie odtwarzał te pieśni, doskonale pamiętał melodie, a gdy śpiewał po raz drugi czy trzeci, nigdy nie odchyłał się od pierwszego wykonania. Miał dobrą pamięć i świetny słuch muzyczny.

Najpierw zaśpiewał Dmytro Iwanowicz molową, ale dość żywą pieśń *Zaporozcy, wy dzielni junacy*, a potem *A nasz pan ataman*.

„Pieśni tych — mówił — nie znajdziecie w żadnym zbiorze, bo nie są jeszcze nigdzie zapisane, a mają dużą wartość artystyczną”.

Najulubieńszą zaś jego pieśnią była *Oj, za gajem zieloniutkim brało dziewczę len drobniutki*.

Oprócz tych trzech Sołowjow zapisał jeszcze kilka rzadko spotykanych pieśni, a mianowicie *Oj, po górach, po dolinach*; *Nie chodź, Kozacze, ponad brzegami* oraz *Oj, spoza brodu*.

Jawornicki traktował tekst pieśni nie tylko jako historyk, ale bodaj w większym jeszcze stopniu jako poeta, artysta. Przytaczał też nieraz wypowiedzi znanych kompozytorów o wartości i znaczeniu pieśni ludowej.

## ZAPOROSKA SKRZYNIA

Rada Miejska przysłała do muzeum komisję w celu przeprowadzenia kontroli. Jednym z członków komisji był młody historyk, Serhij Andrijowicz Danyłow, który swego czasu słuchał wykładów profesora Jawornickiego i składał u niego egzaminy z historii Ukrainy.

Kiedy Jawornicki zobaczył znajomego, bardzo się ucieszył, potoczyła się żywa rozmowa, daleka od oficjalnych ram.

Przy oprowadzaniu przybyłych po salach profesor opowiadał, w jaki sposób zdobywał poszczególne eksponaty.

— Mamy bardzo mało pieniędzy, więc zdobywać przedmioty muzealne trzeba różnymi fortelami. Opowiem państwu, jak mi się udało zdobyć zaporoską skrzynię.

W 1913 roku rozkopywałem mogiły w pobliżu majątku generała H. P. Aleksiejewa. Widzę, że pewien znajomy włościanin wiezie na bryczce zaporoską skrzynię, wykładaną macicą perłową.

„Gdzież wy ją wieziecie?”

„Do generała Aleksiejewa”.

Jawornicki wiedział, że Aleksiejew gromadzi stare pamiątki do własnego muzeum i z pewnością nie poskąpi kosztów, aby zdobyć na własność tę skrzynię. Ale wiedział i to, że małżonka zbieracza ani trochę się nie interesowała pamiątkami i stwarzała swemu mężowi różne przeszkody. Gdy go nie było w domu, bez pardonu wyganiała każdego, kto przynosił do generała jakieś osobliwości.

Dmytro Iwanowicz nie ominął sposobności, by wykorzystać konflikt między generałem a jego krewką połowicą.



— A więc wieziecie to do generała, tak?

— A jakże!

Dmytro Iwanowicz uśmiechnął się ironicznie.

— Ano wieźcie. Przyjmie was tam generałowa tak dobrze, że wam się odechce.

— A co, generała nie ma w domu?

— Toć generał umarł, nie słyszeliście o tym?

— Nie, nic nie słyszałem — chłop poczuł się głupio.

— Umarł, już jakie dwa dni temu. Ale to nic, wieźcie skrzynię do generałowej.

Chłop się skonsternował. Dobył z kieszeni tytoniu, zwinął „kozią nóżkę”, spojrzał błagalnie na Jawornickiego.

— Dmytrze Iwanowiczu, niech lepiej pan kupi tę skrzynię. Dla mnie jechać do generałowej, to to samo, co w piekło.

— Ile też chcecie za nią?

— Dwadzieścia pięć dacie?

— Kupiłbym, ale nie mam tyle pieniędzy.

Chłop niezdecydowanie dreptał koło bryczki.

— Ja tam od pana drogo nie wezmę.

— A więc ile?

— Dziesiątkę i zabierajcie.

— O, nie, zawieźcie do generałowej, ta ma pieniędzy jak lodu.

— To może za trzy ruble weźmiecie?

— Dobrze, ale umowa: odwieziecie skrzynię do Katerynosławia.

— W niedzielę zawiozę, kiedy będę jechał na targ — zgodził się chłop.

W taki to sposób została zdobyta skrzynia zaporoska. A generał jeszcze ani myślał umierać.

Dmytro Iwanowicz przyprowadził komisję do gabloty z meteorytem.

— Opowiem państwu historię tego żelaznego kamyczka. Przyjechał do mnie z Tomakówki naczelnik ziemski Harkuszewski. Gębę miał taką czerwoną, że przytknąć do niej końskie jabłko, zaraz się rozżarzy. Wyciąga z kieszeni i pokazuje mi ten kamuszek.

„Skąd pan to ma?”

„Znalazł jeden włościanin z Tomakówki. Dałem mu za to dwa ruble”.

Dmytro Iwanowicz życzył sobie bardzo, aby ten okrucieństwo niebieskiego naczelnika podarował muzeum, ale Harkuszewski uparł się, że darmo go nie odda i żądał pięć rubli.

Próżno Jawornicki zawstydział sknerę — musiał zapłacić karbowanica. Ale nie chciał przepuścić lichwiarzowi, postanowił dać mu nauczkę. Pyta Harkuszewskiego:

— Czy w pańskiej rodzinie byli Zaporozcy?

— Czemu pan pyta?

— Bo przeglądałem niedawno czasopismo „Kijewska starina” i tam wymieniony był jakiś Harkusza, setnik zaporoski.

Poderwał się Harkuszewski, gdy to usłyszał, bo życzyłby sobie być potomkiem Zaporozców.

— W jakim numerze pisma czytał pan o tym setniku?

— To było jakiś czas temu... Nie mogę sobie przypomnieć...

— Więc co mi pan radzi?

— Radzę nabyć roczniki pisma z lat 1890—1895. Tam w jednym z numerów będzie artykuł o pańskim przodku.

Później Jawornicki się dowiedział, że Harkuszewski kupił pięć roczników pisma i dużo za to zapłacił. Nie znalazł jednak wiadomości o swoim przodku, bo jej tam nigdy nie było.

## ODGŁOSY WIEKÓW

*Nasza дума, nasza piosnka  
Nie umrze, nie zginie.*

*T. Szewczenko*

Pieśń ukraińska! To marzycielsko smętna jak samotna topola na skraju wsi, to wesoła i dźwięczna jak wiosenny strumyczek, to gniewna jak wzburzony Dniepr. Ale chyba nikt się w niej tak nie kochał, jak Dmytro Iwanowicz.

Szczególnie miłe mu były stare pieśni kozackie. Dowiedziawszy się, że w jakiejś wsi, bodaj najdalszej, mieszka starzec lub kobziarz, który umie nie znane mu jeszcze pieśni, niezwłocznie ruszał do niego.

Przebiegł całą chyba Ukrainę szukając pieśni, tak samo jak skarbów muzealnych. Wędrował po wsiach Katerynosławszczyzny, Charkowszczyzny, Połtawszczyzny, zwiedził Chersonszczyznę i Taurydę, podróżował po okolicach Kijowa i Czernihowa.

Były to niełatwe poszukiwania. Nieraz wypadło mu odmawiać sobie najpotrzebniejszych rzeczy, ale pieśń wiodła go coraz dalej za sobą.

Łatwo znajdował drogę do serca ludzi prostych, zwłaszcza kobziarzy, pastuchów, starych chłopów. Uważał, że najlepiej zapisywać pieśni i dumy historyczne wprost z ust ludu. A najlepiej — mówił — zapisać od razu melodię pieśni, żeby zachowała swój narodowy koloryt, swój niepowtarzalny urok.

Zapisywał więc melodię pieśni, a potem sam jeszcze kilka razy śpiewał ją, chcąc spamiętać i zachować wszystkie odcienie pieśni, tak jak je usłyszał od śpiewaka.

Spotykał często ludzi mówiących: „Wypowiedzieć nie potrafię, ale zaśpiewać mogę”. Bywało i tak: poddyktuje śpiewak słowa pieśni, a śpiewając zmienia nie-



*Kozak Mamaj (obrazy anonimowych twórców)*

które z nich. Wtedy w notesie ukazują się dwa albo nawet trzy warianty tej samej pieśni.

W ciągu swojego życia Jawornicki zapełnił dziesiątki notesów, w których zapisywał „skrzydlate słowa”, przysłowia, pieśni. Gniewał się słysząc pieśń przekreconą, z wtrętami zaśmiecającymi i zniekształcającymi jej treść. Zwracał się wtedy do starych ludzi, siwowłosych bandurzystów, leciwych pastuchów i w ten sposób docierał do czystych, niezamąconych źródeł ludowej twórczości.

Bolał, kiedy któryś z wieśniaków wykonywał pieśni „bez smaku, bez ładu i składu”, gdy usiłował śpiewać ojczyście pieśni „po pańsku” i słowa „chłopskie” zamienić na „pańskie”. Odkładał wtedy pióro i prosił śpiewaka:

— Zaśpiewaj mi, Kozacze, starą piosnkę, czumacką albo kozacką, taką, żeby przemówiła do serca.

Kiedy taka prośba wywoływała zdziwienie, odpowiadał:

— Słyszeliście, serce, taką pieśń:

Oj, nie wiedział Kozak Suprun, skąd i jak  
O sławę się postarać,  
Zebrał wojsko sławne zaporoskie,  
Ruszył chana pokarać...

— Słyszałem, ale zapomniałem.

— No to słuchajcie, ja wam zaśpiewam.

I śpiewał, ale tak, że tamtemu łąza się kręciła w oku, słuchał i myślał sobie: „Widzicie go, pan, a śpiewa po naszymu, po chłopsku”. I serce samo odpowiadało tą właśnie pieśnią, po którą przyjechał „pan w kapeluszu”.

W taki oto sposób wiersz za wierszem, zwrotka za zwrotką, zebrał Jawornicki skarby twórczości ludowej.

W 1906 roku wydał w Katerynosławiu „Małorosyjskie pieśni ludowe”, zbiór ponad 800 pieśni i dum historycznych.

Analizując swoje zdobycze Jawornicki zauważył, że najwięcej pieśni ukraińskich zachowało się na Połtawszczyźnie. Połtawscy najmici wędrowali za zarobkiem do Taurydy, na Katerynosławszczyznę, Charkowszczyznę, a przez długie, zakurzone gościńce nieśli z sobą ojczyste pieśni, pełne smutku i goryczy. Przekazywane z pokolenia w pokolenie, rozlegały się smętnie po stepowych rozłogach.

Pieśni podzielił Jawornicki na kolędy i szczodrówki, wiośnianki i hulanki, pieśni o szczęśliwej i nieszczęśliwej miłości, pieśni o życiu rodzinnym, weselne i kołyśanki, pieśni buntu i niedoli, pieśni historyczne, satyryczne, żartobliwe.

Wiele z nich mówi o walce z wyzyskiem społecznym i narodowym, o pańszczyźnie, o niedoli najmitów, czumaków... Słyszcy się w nich odgłosy wieków. Zapisywane były z ust ludzi różnego wieku, stanu i zawodu. Na przykład przy jednej ze szczodrówek zapisał: *Wies Czerewki, połtawskiej gub., mirhorodzkiego pow., włościanka Pałażka Capczenkowa, 17 lat, 1904 rok.*

Przy niektórych autor zbioru podał uwagę, z jakiej okazji i dla kogo śpiewano tę pieśń. Na przykład po krótkim tekście:

U naszego pana  
Jest suczka pijana  
W saneczkach na derkach,  
W czerwonych pluderkach  
I fajkę kurzy,  
I pana durzy

zapisano: *Futor Budakowo, połt. gub., mirh. pow.; czteroletnie dziecko winszowało panu na nowy, 1904 rok.*

Przed rozdziałem „Wiośnianki” krótkie objaśnienie: *Pieśni te śpiewane są od dnia, gdy zaczyna kukać kukulka, do świętego Piotra, tj. do 27 czerwca.*

Dużo pieśni uczony zapisał z ust mieszkańców rodzinnej Somcówki, charkowskiego powiatu. Krajana jego, Iwan Puchan, podyktował mu ciekawą szczodrówkę. *Tę szczodrówkę — pisał Dmytro Iwanowicz — śpiewają tylko dorośli chłopcy, aby wyszło bardzo grubo i hucznie.*

Czytelnik zbioru spotyka często pieśni zapisane od Chomy Prowory ze wsi Bohudar.

Do zbioru weszły nie wszystkie pieśni zebrane przez Jawornickiego, zbierał je zresztą również w późniejszym czasie. Ogółem pozostawił ponad dwa tysiące zapisów.

#### NAPRZECIW NIENASYTCA

Jawornicki nieraz przyjeżdżał na Dnieprowe porohy z wycieczkami, których największą atrakcją stanowił Nienasytec, czyli Dziad-poroh. Dmytro Iwanowicz prowadził zwykle przybyłych na skałę „Monastyrkę”, skąd widać było wszystko dokoła jak na dłoni. A przed zejściem ze skały Dmytro Iwanowicz opowiadał o pewnej bogatej, ale skąpej dziedziczce, która miała u siebie rzadkie precjoza o muzealnej wartości.

— Do ostatnich lat naprzeciw Nienasytca cieszył oko wspaniały park, a w tym parku wznosił się pałac z facjatą i kolumnami. Mieszkała w nim dziedziczka W. I. Małama, skoligacona z hetmanem Danyłą Apostołem<sup>57</sup>. W pałacu było mnóstwo cennych zabytków, jakich się teraz nigdzie nie zobaczy. Były tam dwie hetmańskie buławy, jedna ze słoniowej kości, druga zdobiona złotem; żupan z czerwonego sukna; trzy

jedwabne hetmańskie kaftany; siodło hetmańskie, nabijane drogimi kamieniami. Niestety, właścicielka za nic w świecie nie chciała rozstać się ze swymi skarżami.

Dmytro Iwanowicz opowiadał, jak usiłował zabrać do muzeum siodło i buławę hetmańską. Gdy wszedł do siedziby Małamy, natychmiast uprzedzona o przybyciu obcego dziedziczka zamknęła się i kazała nie wpuszczać nikogo do jej pokojów. Kiedy zaś powiadomiono ją, że to profesor, zapytała nieufnie, skąd i w jakiej sprawie. Odpowiedziano jej, że z guberni.

Nieufna pani zażądała dokumentu.

Dmytro Iwanowicz wyciągnął swoje zaświadczenie, zawinął w kawałek gazety i przesunął przez szparę u dołu drzwi do pokoju Małamy.

Słychać było, jak pani lękliwie zbliża się do drzwi, schyla się, ze strachem bierze papier do ręki, szeleści nim. Długo szumiała papierem, potem przez szparę przesunęła dokument z powrotem. Po dłuższej chwili drzwi się otworzyły, dziedziczka wyszła do gościa.

— Czego pan sobie życzy, profesorze?

— Spojrzeć na stare pamiątki, na zbiory pani.

Małama zmierzyła gościa niezyczliwym spojrzeniem.

— Nic ja panu nie pokażę.

— Czemu pani jest taka nieufna względem nauki?

— A co mi po waszej nauce — trzasnęła drzwiami i na tym się skończyło.

W niedługim czasie na Katerynosławszczyznę przyjechał Ilja Riepin, dawny pobratymiec Jawornickiego. Zwiedzał on różne miejscowości Siczy Zaporoskiej w celu zebrania materiałów o Zaporozcach. Jawornicki opowiedział mu o Małamie i o niezwykłych przedmiotach znajdujących się w jej apartamentach.

— Pojedźmy do niej obaj, Iljo Juchymowiczu. Może się nam uda coś zdobyć.



Przyjechali do skąpej dziedziczki na czterdziestu ośmiu tysiącach dziesięcin. Gdy tylko zobaczyła, że do dworu podjechał powóz z dwoma mężczyznami w kapeluszach, zaraz we wszystkich pokojach zabrzękły zamki, szcęknęły mocne zasuwę. Po pewnym czasie pani wyrzała z okna na piętrze.

— Czego chcecie ode mnie? — zawołała.

— Pani będzie tak dobra, pokaże nam hetmańską buławę i siodło.

— Nie ma mowy, nawet do ręki wziąć nie pozwolę!

Riepin szepnął Jawornickiemu:

— Niech pan poprosi, może chociaż przez okno pokaże.

— Niech się pani nie boi — przedkładał Jawornicki. — Jeśli nie można wziąć do rąk, to proszę pozwolić namalować z odległości.

Małama nieco zmiękła. Kazała gościom trochę oddalić się od domu i stanąć w podwórzu, a sama lękliwie podniosła do okna buławę i siodło i wystawiła je do obejrzenia.

Dmytro Iwanowicz grzecznie pytał ją, jak doszła do posiadania tych rzeczy, a tymczasem Riepin błyskawicznie naszkicował buławę i siodło z paru stron.

I to było wszystko, co dało się wskórać u nieużytej dziedziczki. Gdzie się podziały te bezcenne przedmioty, nikt dotąd nie wie.

## NIE ZAGINIE RÓD KOZACKI

W swojej ofiarnej pracy uczony zawsze znajdował sobie pomocników, ludzi zakochanych w ojczyściej kulturze, i wciągał ich do dobrej sprawy.

Poznałem niedawno jednego z przyjaciół Dmytra Iwanowicza, Zachara Semenowicza Borodaja. Mieszka



*Typ Zaporozzca*

w Dniepropietrowsku. Zaszedłem do jego chatki nad jarem. Siwy gospodarz, starannie ogolony, w okularach siedział przy niewielkim stoliku i czytał „Kobziarza”. W izbie piękny porządek, na ścianach portret

Szewczenki, przystrojony szerokim, wzorzystym ręcznikiem, i dwa obrazy, jeden to M. Samokysza „Wjazd Bohdana Chmielnickiego do Kijowa w 1648 r.”, drugi Krasickiego „Gość z Zaporozża”.

— Słyszałem, że pan znał Dmytra Iwanowicza Jawornickiego, czy to prawda? — spytałem.

— Tak jest — Zachar Semenowicz usłyszawszy nazwisko profesora życzliwie się uśmiechnął. — Poznaaliśmy się w przededniu pierwszej wojny światowej. W 1913 roku zacząłem pracować na poczcie głównej w Katerynosławiu jako listonosz. Do mnie należał także rejon, w którym się znajdował dom profesora. Dobrze pamiętam, że pierwszy raz przyniosłem mu korespondencję latem 1915 roku.

„Czyście czasem nie z Połtawszczyzny?” — zapytał Dmytro Iwanowicz odbierając ode mnie gazety i książki.

„Tak, z Połtawszczyzny, a jak pan to poznał?”

„Nietrudno zgadnąć, mowa wasza was zdradziła”.

Listonosz i uczoney usiedli na werandzie. Dmytro Iwanowicz kazał przynieść herbatę. Na kolana mu wskoczył szary kotek, którego profesor zwykł był głaskać rozmawiając z gościem.

„Opowiedzcie, gdzieście się urodzili, z jakiego rodu” — zainteresował się gościnnie gospodarz.

„Pochodzę z miasteczka Żownino, w powiecie Zołotonosza, a rodu jestem kozackiego”.

„Oho! A skąd wiecie o swoim kozackim pochodzeniu?”

„Dziad mój zabierał mnie na stary cmentarz w Żowninie. Tam pokazał mi kamienny krzyż na grobie mojego pradziada. Przeczytaj — mówi — chłopcze, co tam napisane? Przeczytałem taki napis: »Tu leżą prochy kozaka Łazara Borodaja«. Otóż od tego Kozaka wywodzi się nasz ród”.

„Bardzo dobrze, że interesujecie się swoim pochodzeniem. Zdarzało się wam może widzieć w Żowninie mego druha Mykołę Łysenkę?

„A jakże, widziałem go w 1903 roku, kiedy przyjechał ze Staryckim do Żownina w odwiedzinach do rodziny i przyjaciół. Bardzo go tam poważano. To człowiek prosty i przystępny. Pamiętam, że podarował wtedy dwa tysiące rubli i dwie dziesięciny ziemi ze swojego majątku na zbudowanie w Żowninie szkoły”.

„I zbudowano tę szkołę?”

„Gdzież tam! Pieniądze i ziemię przywłaszczyli sobie wójt i pisarz. Mówią, że przeschrowali i przepili, łotry! A szkoda. Jaka by to była pamiątka po takim człowieku!”

Przy pożegnaniu Jawornicki poprosił go, aby w niedługim czasie przyszedł do muzeum na rozmowę o pewnej ważnej sprawie.

W niedzielę Zachar Semenowicz ubrał się w wyszywaną koszulę, granatową czamarkę, kozackie spodnie, barankową czapkę i stawiał się w muzeum.

— Zacharze Semenowiczu, wie pan, dlaczego go zaprosiłem? Chciałbym posłać pana na wędrowną podróż po skarby narodowe. Sądzę, że takie zadanie dla Kozaka nie będzie za trudne.

— A gdzie się mam udać?

— Do swoich miejsc rodzinnych, na Połtawszczyznę. Widział pan, że w muzeum mało jest eksponatów z tamtych stron. Bardzo bym chciał, by zebrał pan charakterystyczne stroje, które tam dawniej noszono. Tutaj wszystko panu zanotowałem.

Dmytro Iwanowicz podał kartkę, na której widniał wykaz: wyszywane koszule, płachty, spódnice, gorseciki, kwiaty noszone na głowie przez dziewczęta, dukaty, naszyjniki, buty dziewczęce i męskie. Przy końcu był dopisek:

*Jeżeli się gdzieś znajdą ikony malowane na modłę grecką, także proszę je brać.*

— No, a jakże będzie z moją służbą, kto mnie zwolni?

— O to proszę się nie martwić.

Po dwóch dniach naczelnik poczty wezwał do siebie Borodaja.

— Proszę udać się zaraz do profesora Jawornickiego i powiedzieć, że nie mam nic przeciw wyjazdowi listonosza Borodaja do Żownina na dziesięć dni.

Zachar Semenowicz jak strzała pomknął do muzeum. Profesor dał mu trzydzieści karbowanów i przykazał:

— Jak się trafi coś cennego, to kupujcie, nie ściskajcie mieszka, bo to wszystko dla muzeum, dla narodu.

Część pieniędzy dał mu w srebrze.

— Może by lepiej zabrać w podróż banknoty?

— Wprost przeciwnie, bierzcie jeszcze więcej srebra. Wierźcie mi, polecą tam na nie jak pszczoły na nektar.

We wsi rodzinnej przyjaźnie powitano Zachara Semenowicza. Gdy się rozniosło, że przybył w celu zakupu dla muzeum starodawnych rzeczy, zapraszano go do chat, przeglądano ubranie i obuwie, od dawna zalegające skrzynie.

Zachar Semenowicz przeszedł u Jawornickiego dobrą szkołę, toteż umiejętnie wybierał najcenniejsze eksponaty. U pewnej staruszki zobaczył ciekawą ikonę malowaną na grecką modłę. Chciał ją wziąć w rękę, by lepiej obejrzeć, ale babka wrzasnęła na niego:

— Nie ruszaj! To pamiątka po ojcach, ani myślę jej oddać!

— Macie przecież tyle tych ikon, sprzedajcie mi tę starzyznę! Macie tu za nią karbowanica — i podsunął babce asygnację.

— Et! Dałyś chociaż uczciwe pieniądze, a nie jakiś tam świstek.

— To może takie? — Borodaj błysnął srebrnym rublem.

— No to zabieraj, z Bogiem, już ja widzę, że się nie odczepisz!

Kiedy po powrocie Borodaj wykładał przed Jawornickim przywiezione przedmioty, a profesor uważnie i z zadowoleniem oglądał każdą rzecz, to szczególnie dziękował za ikonę, która jak się okazało, stanowiła bardzo cenny nabytek.

Za drugim razem wysłano Borodaja do wsi Petrykówka. Tam się dowiedział, że u starego Iwana Łucenki leżą w stodole dwie bele stropowe z chaty jakiegoś Zaporozca, o czym świadczyły wycięte na nich litery. Właściciel szybko się ugodził i oddał je prawie za bezcen, a Borodaj wołami przywiózł je do Katerynosławia.

Jesienią 1916 roku Borodaj pojechał do Nikopola. Znalazł tam u Oksany Panczenko budowaną „na zrąb” chatę, stanowiącą niegdyś własność starszyny zaporoskiej.

Na sosnowej belce zachował się napis świadczący, że chatę stawiali dwaj kureniowi Kozacy, Onufry i Hawryło. Belka i odrzwia były kiedyś częścią kurenia zaporoskiego.

U kupcowej Hanny Honczarowej zobaczył prawdziwy kureń budowany na zrąb. Był długi na dziesięć, a szeroki na pięć arszynów, miał dwoje drzwi z rzeźbionymi framugami malowanymi na zielono i na czerwono. Na jednej z belek framugi był napis: *1763 roku 6 czerwca zbudowano kureń poł...*

U tej samej gospodyni Borodaj uzyskał dwa wydłubane korczaki (miski drewniane), z których Zaporozcy jedli „sałamachę”<sup>58</sup>.

We wsi Kapulówce dowiedział się, że Iwan Batyczenko ma jakieś rzeczy zaporoskie, i zaraz pośpieszył do

niego. Na podwórku pod przydaszkiem siedział starszek w szerokich, płóciennych spodniach i słomianym kapeluszu.

— Słyszałem, że macie rzeczy zaporoskie, szablę i hakownicę. Posłał mnie Jawornicki, żebym mu zebrał stare kozackie pamiątki.

— Powiem ci, człowiecze: mam ja te rzeczy, ale ich nie dam. Widzę cię po raz pierwszy, boję się, żeby nie przepadły.

— Skoro macie wątpliwości, przywieźcie je sami do muzeum.

— Dobrze! Sam przyjadę do Jawornickiego, bo się znamy od dawna.

Wkrótce szabla i hakownica znalazły się w muzeum.

W tej wiosce Borodaj zebrał niezłe żniwo. Kupił tam dwie pary zaporoskich szarawarów, czerwone i granatowe, zebrał ponad pół setki starych monet.

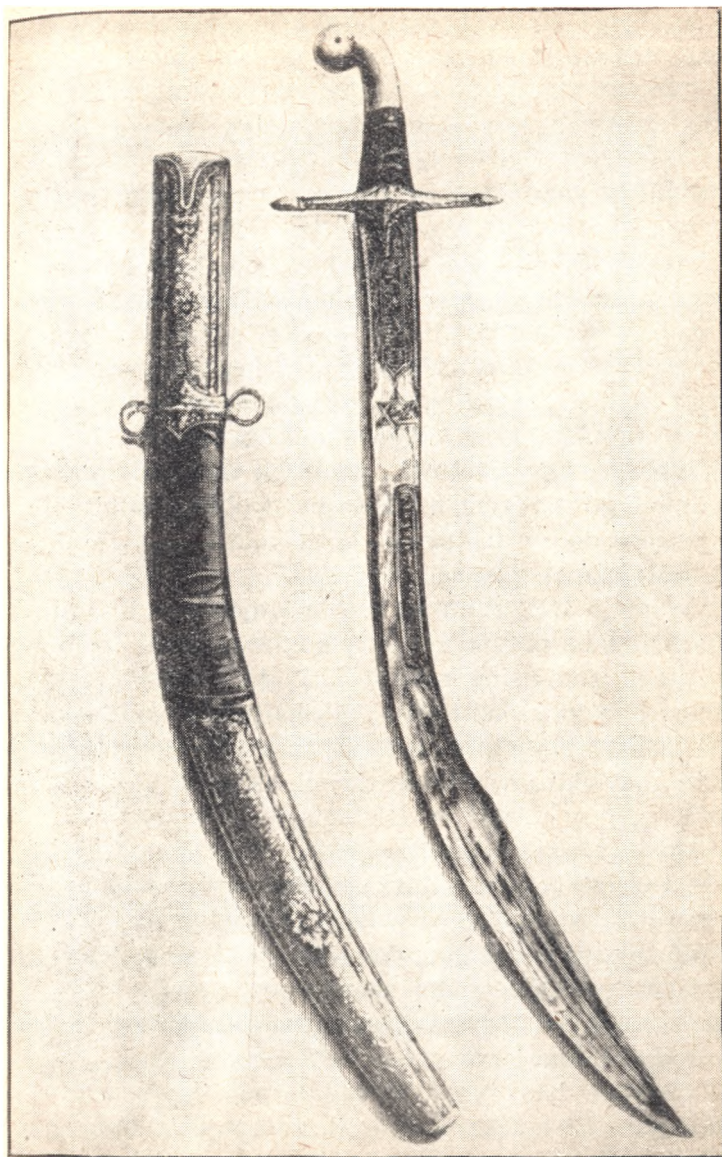
Syn Borodaja, Wasyl Zacharowicz Borodaj, komunistyczny oficer, uczestnik wielkiej wojny narodowej, odznaczony trzema orderami, w czasie pokoju poszedł za swym powołaniem i został rzeźbiarzem. Jest twórcą wielu wartościowych prac.

Raduje się Zachar Semenowicz, dumny jest ze swego syna, z jego twórczych osiągnięć, z jego służby narodowi.

Nie zaginie kozacki ród!

## SZABLA OSTATNIEGO KOSZOWEGO

Penetrując zaporoskie siedziby powiatu ołeksandrowskiego (obecnie obwodu zaporoskiego), gdzie mieszkali kiedyś ze swoimi rodzinami osiedli Kozacy „gniazdowcy” — Rozrody, Woskresenka, Hulajpole, Warwarówka — wyszukiwał Dmytro Iwanowicz stuletnich starców



*Szabla atamana koszowego J. Hładkiego*



i z ich ust notował wszystko, co dotyczyło dawnych czasów i mogło stanowić źródło do historii ojczyzny.

We wsi Katerynowce nad rzeką Hanczulą dowiedział się, że w pobliżu znajduje się majątek Wasyla Josypowicza Hładkiego, syna ostatniego atamana koszowego Siczy Zadunajskiej, Josypa Mychajłowicza Hładkiego.

Ataman Hładki (1789—1866) pochodził z Połtawszczyzny, a urodził się we wsi Mełnyki powiatu żółtonoskiego. W młodości, jako zdrowy, silny młodzieniec, udał się na zarobek do Odessy, a stamtąd wyruszył na Sicz Zadunajską (znajdującą się ówczesnie na terytorium tureckim) i tam przystał do Kozaków.

Obrotny Kozak od razu się wybił w Siczy. Siczowcy polubili go za rozum, umiłowanie swobody, za braterski stosunek do towarzyszy i wkrótce obrali go kurennym, a następnie atamanem koszowym.

W maju 1828 roku wybuchła wojna rosyjsko-turecka. Zaraz na początku wojny koszowy Hładki, zebrawszy parę setek Kozaków Siczy Zadunajskiej, przeszedł na stronę rosyjską. Było to gdzieś pod Izmailem. Hładki zasłużył się jeszcze w innej sprawie — pomógł wojsku rosyjskiemu przeprowadzić się przez Dunaj i wziął tam czynny udział w działaniach wojennych. Otrzymał wówczas rangę pułkownika.

Po wojnie rosyjsko-tureckiej zlecono Hładkiemu sformowanie azowskiego wojska kozackiego i Hładki sprostał temu zadaniu. W roku 1832 mianowano go „nakaznym” atamanem azowskiego wojska kozackiego, a mając lat 64 Hładki został dymisjonowany w stopniu generał-majora.

Ostatnie lata życia koszowy spędził we własnym majątku. Historyk nie wątpił, że znajdzie tam sporo rzeczy, które staną się ozdobą zaporoskich zbiorów w muzeum.

Syn koszowego, Wasyl Josypowicz, grzecznie go przyjął. Dmytro Iwanowicz przyglądał mu się uważnie i stwierdził, że z wyglądu i sposobu bycia jest to typowy Zaporoziec. Miał wtedy ponad 70 lat, był średniego wzrostu, muskularny, szeroki w barach, z resztkami siwych włosów na łysej głowie, jego twarz zdobiły długie wąsy i gęste brwi, zwisające nad jasnymi oczami. Usposobienia żywego, choć mało mówił, patrzył zaś poważnie i przenikliwie.

Tutejsi starcy opowiadali, że Wasyl Hładki zaszadzał się zimą na wilki. Wiek nie przeszkadzał mu przez całe noce wysiadywać w jamie lub w rowie ze strzelbą w ręku. A gdy przychodziło lato, widziano go stałe z siekierą lub szpadlem, wszystko bowiem robił własnoręcznie. Zaporoskie umiłowanie swobody, siczowe obyczaje odbiły się na jego życiu: zbudował sobie w sadzie kilka kureni i mieszkał w nich, przechodząc codziennie z jednego kurenia do drugiego.

Dmytro Iwanowicz chciał jak najwięcej dowiedzieć się od niego o ostatnim atamanie koszowym, ale według słów syna, ojciec jego nie lubił opowiadać o przeszłości, był człowiekiem skromnym i dlatego wśród otoczenia zostawił mało wiadomości o swoim życiu w wojsku.

Jawornicki spodziewał się znaleźć przede wszystkim pamiątki po atamanie — ale znalazł jedynie szablę. Wyjął ją z pochwy, przesunął ręką po ostrzu i uznał, że ma przed sobą wyjątkowy rarytas. Szabla, wykonana z pierwszorzędnej stali, nosiła jakiś napis arabski. Rękojeść miała ze słoniowej kości, a pochwa zdobiona była srebrem trawionym w czarny deseń.

Szablę tę podarował Hładkiemu sułtan turecki, gdy ten był jeszcze koszowym w Siczy za Dunajem. Nie przeszkodziło mu to zwrócić ją przeciw Turkom, gdy przeszedł na stronę rosyjską.

Szablę koszowego Jawornicki zabrał i wystawił w muzeum obok wielkiego portretu Hładkiego.

Ostatni koszowy Siczy Zadunajskiej został pochowany w mieście Ołeksandrowsku (obecnie: Zaporże). Na grobie dzielnego watażki położono niedawno granitową płytę z napisem:

*Grobowiec ostatniego koszowego atamana zaporoskich Kozaków Josypa Mychajłowicza Hładkiego, pod którego przewodem Kozacy zza Dunaju ziścili w roku 1828 swoje dawne pragnienie powrotu do ojczyzny i okazali znaczną pomoc wojsku rosyjskiemu podczas wojny 1828—1829 z Turcją. Zmarł w m. Ołeksandrowsku (Zaporże).*

#### KOLEKCJA W TESTAMENCIE

Niemal co roku latem odwiedzał Dmytro Iwanowicz miasto Nowomoskowsk, aby popatrzeć na zabytkową cerkiew zaporoską o dziewięciu kopułach. Pilnował bowiem, aby nikt nie naruszył tej jedynej w swoim rodzaju budowli, by zachowała się w takiej postaci, w jakiej została zbudowana w drugiej połowie XVIII wieku.

Kiedyś w rozmowie ze stróżem cerkiewnym, Ihnatem, Dmytro Iwanowicz opowiadał mu o tej cerkwi.

— Zbudowano ją w 1779 roku, a budowniczym był znakomity mistrz w swoim zawodzie, Kozak z Nowej Wodołohy, Jakym Pohrybniak. Nie umiał czytać i pisać, ale pracę swoją wykonał sumiennie i z połosem.

Nieświadomie stworzył wspaniały pomnik dla siebie i dla swego czasu. Styl, w jakim cerkiew zbudowano, nosi nazwę ukraińskiego baroku. Za czasów kozaczyzny tak budowano cerkwie na Ukrainie. Spójrzmy na tę

budowlę. Cerkiew ta jest niczym okręt, który unosi się gdzieś w górę, do Boga czy do marzeń o Bogu, odrywając się od tego, co ziemskie i powszednie. W tej formie architektonicznej wypowiedziała się poetycka dusza naszego narodu i jego smak artystyczny. Dużo jest cerkwi na Ukrainie, ale niewiele stanowi tak cenny przykład stylu narodowego jak ta właśnie.

Cerkiew pierwotnie zbudowana była w planie czworokąta, na którym stało dziewięć kopuł. W każdym narożniku wkopane były po trzy olbrzymie pnie dębowe o średnicy 6 arszynów i 15 werszków. Dalej co dwa arszyny były takie same pnie, ale nieco krótsze. Oto był cały fundament. Ale że nie ma nic na świecie wiecznego, dęby te z czasem zaczęły butwieć. Wszystkie kopuły cerkwi pochyliły się ku środkowej.

W roku 1830 cerkiew podmurowano. Ściany już wprawdzie nie osiadały, ale cerkiew pochyłała się coraz bardziej.

Roboty murarskie prowadził niejaki Każyńkow. Okazało się jednak, że był to pijak i kombinator. Zamiast usunąć zbutwiałe pale dębowe i dać nowy fundament, Każyńkow obmurował je cienką warstwą cegieł, otynkował i sądził, że oszustwo nie wyjdzie na jaw. Jednakże dowiedział się o tym burmistrz. Wezwał straż pożarną, a gdy po rozbiciu łomami okazało się, że zbutwiałe pale pozostały wewnątrz, kazał przepędzić Każyńkowa na cztery wiatry razem z jego czeladnikami. Wtedy restauracji cerkwi podjął się doświadczony majster Ołeksa Pachuczy.

Swego czasu, gdy Pohrybnyk budował cerkiew, to jej wszystkie 96 ram okiennych, sześcioro drzwi wejściowych z futrynami, a także łuki rzeźbione były w winne grona i kwiaty. Po restauracji tego już nie ma. Dach wtedy kryty był gontem, a teraz blachą. Ryn-

ny i ścieki były także drewniane, a Pachuczy zastąpił je metalowymi.

Zaszyły więc niewielkie zmiany, ale reszta pozostała w pierwotnej postaci.

— Dlaczego używano wtedy drewnianych gwoździ? Czy nie było żelaznych?

— Były i żelazne, ale Zaporozcy używali dębowych, bo te nie rdzewieją i trwają dłużej od żelaznych. A czy wam się, dziadku, w życiu nie przydarzyło znaleźć jakiejś starodawnej pamiątki, może glinianą fajkę, wyroby z kamienia lub brązu?

— Nie, ja nic nie mam, ale wiem, że tutaj ktoś ma tego sporo w swojej szafie. Widziałem takie rzeczy u naszego ojca Stefana. Jak pan wyjdzie za ogrodzenie, to po przeciwnej stronie drogi widać plebanię. Tam właśnie mieszka ojciec Stefan.

Zbliżając się do domu parocha, Dmytro Iwanowicz zobaczył, że ojciec Stefan z łopata w rękę trzodzi się w ogródku okopując rabaty.

— Czy można, ojciec Stefanie? Jestem profesorem historii, słyszałem, że ojciec ma wielkie zbiory, czy można obejrzyć?

Pop zaprosił profesora do domu i otworzył szafę. Jawornicki zobaczył narzędzia z brązu, żelaza i kamienia, a wśród nich doskonale wygładzony kamienny toporek, świetnie zachowany.

Oczy mu zabłyśły.

— Proszę mi wybaczyć, że zapytam, dla kogo to wszystko ojciec zbiera?

— Jak to dla kogo? Na przykład pan przyszedł popatrzeć, może ktoś jeszcze się zainteresuje.

— To za mało. Te zbiory są ukryte, ludzie o nich nie wiedzą.

— To prawda. Widzi pan, mam to dla siebie. Mam zamiłowanie historyczne i zbieram pamiątki.

— A gdyby tak na przykład oddać je do muzeum?

— O, nie! Chyba po mojej śmierci! A na razie to moja własność i ja nią rozporządzam.

Dmytro Iwanowicz pojął, że nie zdobędzie teraz tych eksponatów dla muzeum, ale może je mieć w przyszłości.

— Ile też ojciec lat sobie liczy?

— Dziękuję Bogu, przeżyłem już siedemdziesiąt pięć lat.

— A więc tak, ojciec Stefanie — rzekł — napiszecie zatem testament, że po śmierci całą tę kolekcję ojciec przekazuje na własność muzeum. Zgoda?

Przyparty do muru ojczulek zgodził się w najbliższych dniach dokonać formalnego zapisu u rejenta.

— Mam jeszcze jedną prośbę. Proszę mi na jakies dziesięć dni wypożyczyć ten kamienny toporek.

— A jeżeli się gdzieś zagubi, to co wtedy?

— U mnie się nic nie może zagubić. Mogę nawet wydać pokwitowanie.

— No dobrze, profesorze, ale słowo! Nie dłużej, jak dziesięć dni. Pokwitowanie zaś proszę wydać, będę spokojniejszy.

Po powrocie do domu Dmytro Iwanowicz łamał sobie głowę, co by tu zrobić, żeby toporek pozostał na zawsze w muzeum. Wreszcie poprosił do siebie rzeźbiarza Tennera.

— Niech no pan spojrzy. Jest to unikat, topór z epoki neolitu. Pożyczyłem go na dziesięć dni. Proszę coś wymyślić, aby pozostał na zawsze w muzeum.

— Nic nie mogę wymyślić, Dmytrze Iwanowiczu, pewno trzeba będzie zwrócić go właścicielowi.

— A ja już wymyśliłem i dlatego zaprosiłem pana tutaj. Weźmie pan tę siekiere i wykona jak najdokładniejszą kopię, tak abym nawet ja nie mógł jej odróżnić od oryginału. Czy może pan to zrobić?





Obraz Riepina: „Zaporożcy piszący list do sultana”

— Owszem, mogę.

— Świetnie. Ile panu na to potrzeba czasu?

— Około dwóch tygodni, bo mam jeszcze inne pilne zajęcia.

— To być nie może! Musi pan to wykonać w ciągu ośmiu do dziesięciu dni, bo wtedy zjawi się po siekierkę pop, u którego ją wypożyczyłem.

W umówionym terminie Tenner przyniósł do mieszkania Dmytra Iwanowicza dwie bliźniacze siekierki.

A za dziesięć dni zjawił się pop po swoją własność.

Dmytro Iwanowicz przyprowadził go do stołu, uchylił gazetę, pod którą leżały dwie jednakowe siekierki.

— Proszę rozpoznać swoją siekierkę.

— To chyba ta... — ojczulek był zbity z tropu.

— Oj, nie, akurat odwrotnie! Którą ojciec teraz zechce zabrać, własną czy też kopię?

— Oczywiście własną.

— No, tego się po ojcu nie spodziewałem. Przecież one są kubek w kubek takie same. Mogłem przecież nie powiedzieć, że ojciec się pomylił, a jednak powiedziałem prawdę. A w muzeum, dla dobra nauki, ważny jest oryginał siekiery.

— Co mam począć, Dmytrze Iwanowiczu. Jeżeli to jest takie ważne dla nauki, to niech już będzie...

— Dziękuję! A czy przywiózł ojciec zapis?

— Tak, tak, przywiozłem, chyba wszystko jest zgodne z wymaganiami.

— A pieczęć, rejent? — Dmytro Iwanowicz ciesząc się w duchu wziął papier.

— Wszystko jest, jak trzeba, a dokument sporządzono nawet na herbowym papierze <sup>59</sup>.

— To doskonale, dziękuję.

Pop się pożegnał i opuścił mieszkanie Jawornickiego. Dmytro Iwanowicz zapis schował, a oryginał siekiery od razu wystawił w muzealnej gablocie.



## JAK POWSTAŁ OBRAZ „ZAPOROŻCY”

W przerwach pomiędzy pracami w muzeum Dmytro Iwanowicz odpoczywał w fotelu w swoim gabinecie. W takich chwilach opowiadał chętnie o spotkaniach z wybitnymi działaczami kultury.

Szczególnie serdecznie wspominał Riepin. Łączyła ich dawna zażyłość, przez czterdzieści cztery lata spotykali się i pisywali do siebie.

Byli to krajanie, obydwaj bowiem urodzili się i rośli na Charkowszczyźnie. Ale po raz pierwszy spotkali się w 1887 roku w Petersburgu.

Powodem ich znajomości stał się znany list Kozaków zaporoskich do sułtana tureckiego. Riepin wyznał Jawornickiemu, że ma zamiar przedstawić na obrazie Zaporozców zebranych na radzie i układających odpowiedź sułtanowi tureckiemu na jego srogi zakaz najezdzenia włości chana krymskiego.

Po raz pierwszy o tym zabawnym liście Riepin usłyszał w 1878 roku, w majątku Abramcewo pod Moskwą, należącym do Sawy Mamontowa, wielkiego miłośnika sztuk pięknych.

U gościnnego gospodarza zbierali się często pisarze, uczeni, malarze, artyści. Wieczorami dyskutowali o sztuce, śpiewali, grali, czytali swoje utwory. Tutaj właśnie Riepin dowiedział się o liście i od razu wyobraził sobie całą tę scenę, ów homeryczny śmiech ze zjadliwych, rubasznych żartów, i ołówkiem naszkicował zanoszących się śmiechem Zaporozców.

Pomysł uwiecznienia tej sceny na płótnie spotkał się z żywą aprobatą przyjaciół. Historyk M. Kostomarov<sup>60</sup>, który studiował dzieje Zaporozców, opracował artyście marszrutę i wiosną 1880 roku Riepin, z młodym malarzem W. Sierowem, powędrował na Zaporozże, aby na własne oczy zobaczyć okolice Siczy, zebrać

niezbędne materiały i poszukać wśród Ukraińców charakterystycznych modeli do obrazu.

I oto przed nimi Dniepr-Sławuta, burzliwe poroży, wyspa Chortyca. Długo błakali się po wyspie. Znajdowali tam miedziane guziki, blachy, stare monety, prochownice, zardzewiałe szable. Z Chortycy Riepin ruszył dalej śladami siczowców — do Kapulówki, do Pokrowskiego. Zetknął się tutaj z autentycznymi potomkami Zaporozców. W swoich szkicach artysta odtwarzał ich charakterystyczne cechy — swobodną naturę, rozum, odwagę i poczucie godności, ich zjadliwy humor. Z Kapulówki wyniósł w swoim notatniku szkic mogiły Iwana Sirki. Odwiedził także wsie zaporoskie, Hruszówkę i Stare Kodaki, obszedł wszystkie cerkwie zaporoskie, znalazł w nich wiele pamiątek po Sicy. Porobił szkice tłumów ludzi zebranych na przystani Ołeksandrowskiej. Zawitał wreszcie do Kaczanówki, tego ukraińskiego Abramcewa, gdzie go serdecznie przyjął sławny zbieracz Tarnowski. U Tarnowskiego zobaczył niezwykle zasobne zbiory starożytności zaporoskich — złote jabłko dla artysty-malarza.

Jesienią 1882 roku Riepin wrócił do Moskwy, wtedy właśnie, w październiku, odwiedził go w pracowni Lew Tołstoj. Obejrzał „Zaporozców” i stwierdził, że ów obrazek to tylko szkic, niewielkie dziełko, przedstawiające przygodną scenkę z życia Zaporozców. Taki zamysł, jego zadaniem, powinien wyrażać więcej, odbijać najważniejszą ideę twórcy, wzniosłe poczucie dumy i godności narodowej, niezmożonego ducha zaporoskiego, jego potęgę.

Uwagi Tołstoja wiele dały do myślenia Riepinowi. Przyjął je z wdzięcznością i natychmiast zabrał się do zmian w szkicu. Zwiększył jego format, pomnożył ilość postaci historycznych, zmienił kompozycje, stworzył scenę wielkiego zebrania Kozaków.

Szkic zatem już został wykonany, lecz daleko jeszcze było do wielkiego płótna. Zresztą autor obawiał się krytyki takiego znawcy Zaporoskiej Siczy, jak Jawornicki.

Chcąc mu pokazać szkic przyszłego obrazu, Riepin zaprosił historyka do siebie. To pierwsze spotkanie, jakie miało się odbyć w pracowni artysty, wprawiało obydwu w podniecenie. Jawornicki, zakochany w Zaporozcach, chciałby jak najszybciej zobaczyć stepowych rycerzy, Riepin zaś niepokoił się, co powie znawca Siczy Zaporoskiej? A nuż nie zostawi suchej nitki?

Niepotrzebnie się obawiał. Jawornicki od pierwszego wejrzenia zachwyił się obrazem.

— Spojrzałem na ten szkic — opowiadał — i sam się zaniósłem śmiechem. Świetny pomysł, Iljo Juchymowiczu, niech pan namaluje wielki obraz!

Dmytro Iwanowicz postawił do dyspozycji Riepina wszystko, co mogło malarzowi pomóc w pracy: książki o dziejach Kozaków zaporoskich, zbiory broni, żupany, obuwie, fajki, flaszkę z gorzałką, wykopaną w mogile zaporoskiej, nawet czaszkę znaną w Siczy Czortomłyckiej. Dał mu zdjęcie sztandaru zaporoskiego, starych obrazów, dniewprowych porohów, fotografie locmanów pracujących na Dnieprze — potomków Zaporozców. Nie poprzestając na tym przyprowadzał do artysty swoich ziomków i znajomych, którzy stali się później pierwowzorami, pozowali do obrazu. I w tym się zawierała najważniejsza, najcenniejsza pomoc dla Riepina.

Riepin pracował nad „Zaporozcami” ponad dziesięć lat (1880—1891). Na wielkim płótnie zjawiały się coraz to nowe postacie Kozaków. Dmytro Iwanowicz uważał je za doskonałe, ale artysta zapewniał, że wymagają jeszcze „dotknięcia pędzlem”. Dotykał — i wychodziły inaczej, lepiej, wyraźniej.

Jawornicki bywał częstym gościem w pracowni Riepina, toteż coraz ściślejsza przyjaźń wiązała historyka z artystą. Co niedzielę bodaj Dmytro Iwanowicz bywał u Ilji Juchymowicza, a tamten znów w każdą sobotę spędzał wieczór u Jawornickiego, u którego zbierała się młodzież ukraińska z Petersburga, śpiewacy, muzycy, artyści, malarze. Spotkania owe Dmytro Iwanowicz nazywał żartobliwie „zbiegowiskami”, co podobało się krajanom, i wkrótce słówko to zawędrowało ze stolicy na Ukrainę.

Jaki moment historyczny posłużył za kanwę obrazu?

W 1675 roku sułtan Mohamed IV zażądał od Zaporżców, aby ukrócili najazdy na jego lennika, chana Krymu. Było to po znanym rozejmie andruszowskim, zawartym w 1667 roku we wsi Andruszowie pod Smoleńskiem. Na podstawie tego rozejmu Ukraina została podzielona: prawobrzeżna przypadła Polsce, a lewobrzeżna wraz z Kijowem i okolicą Rosji. Przez jakiś czas rządili Ukrainą dwaj hetmani, prawobrzeżny i lewobrzeżny, dopóki swary wewnętrzne i powrót polskiej szlachty na Prawobrzeże nie zniweczyły tam zupełnie kozaczyzny i nie położyły kresu rządóm hetmańskim. Hetman prawobrzeżny, Piotr Doroszenko (1627—1698), pragnąc przy pomocy tureckiej połączyć pod swoją buławą obie części Ukrainy, oddał się pod protektorat sułtana Mohameda IV. Przeciwno temu stanowczo się wypowiedziała Sicz Zaporoska pod wodzą koszowego Sirki, zaciętego nieprzyjaciela Turków i Tatarów, z którymi nieustannie wojował bez oglądania się na polityczne kombinacje Doroszenki i jego stronników. Na ten właśnie okres przypada prawdopodobnie posłanie Mohameda IV do Kozaków i legendarna odpowiedź siczowców. W archiwach nie zachował się oryginał tej odpowiedzi, a może też być, że nigdy nie

miała ona miejsca. Ostre, szydercze i obelżywe zwroty, jakich pełne są warianty tego pisma, nie odpowiadają ówczesnym zasadom korespondencji dyplomatycznej, odbywającej się zazwyczaj w języku łacińskim, z zachowaniem wszelkich wymogów grzeczności. Łacinę znali nie tylko sekretarze Siczy i hetmana, ale także starszyna kozacka — czego echa znajdujemy w „Tarasie Bulbie” Gogola — niektórzy zaś hetmani i kozowi tak dobrze władali łaciną, że posługiwali się nią swobodnie w czasie oficjalnych rokowań. Z drugiej strony zaporoskie „towarzystwo”, które lubiło słone żarty i kawały, mogło nieraz dla własnej uciechy układać takie szydercze listy do swoich nieprzyjaciół, należy jednak wątpić, aby je wysyłano gdziekolwiek poza granice siczowskiego kosza.

Aczkolwiek wszystkie warianty tego listu stanowią niewątpliwie późniejszy apokryf<sup>61</sup>, nie zaś dokument historyczny, to jednak oddaje on dobrze usposobienie i ducha tych ofiarnych i nie dbających o siebie wojowników, którzy, według słów Riepina, „uczynili się tarczą wszystkich ważnych interesów ojczyzny”.

Dla Riepina, jako artysty, list ów miał znaczenie nie tyle z racji dokumentalnej wiarygodności, ale raczej, jako odbicie wydarzeń i zwyczajów epoki. Oczywiście malując obraz nie mógł poprzestać na tym tekście, jak nie poprzestał na wzorach zbroi i ubiorów, których mu dostarczył Jawornicki.

Trzykrotnie wyprawiał się Riepin na Ukrainę i Kuban. Na podstawie zebranych materiałów stworzył ogromną ilość szkiców do obrazu. Podobno miał ich w swoich albumach kilkaset.

W swoich wspomnieniach Dmytro Iwanowicz tak opowiada o postaciach z obrazu:

*Na dole, w samym rogu z lewej strony, siedzi na ziemi po turecku rozkoszny chłopaczek siedmio-ośmiolet-*

ni, mały ciura czy pazik, z czubkiem na ogolonej głowie, z otwartą do uśmiechu buzią, w której błyszczą białe drobne ząbki. Nabija tytoniem fajki dla Kozaków i zanoszą miłym dziecięcym śmiechem, łowiąc uchem soczyste epitety, jakimi rycerze zaporoscy częstują sułtana tureckiego: „Kozi hyclu, psie rzeźnicki, kobyli zadku, przyglupku naszego Pana Boga”. Nieco wyżej siedzi na kłocu chwacki Kozak, z czarnym, długim wąsem, założonym na ucho. Jest to malarz J. Ciagliński. Olbrzymią pięść złożył na plecach Kozaka z ogromnym osełdцем<sup>62</sup>, który siedzi przy stole bez koszuli. Za Ciaglińskim stoi piękny młodzian o szlachetnych rysach twarzy i jakoś „po pańsku” się uśmiecha. Jest to cioteczny wnuk sławnego kompozytora M. I. Glinki. Dalej, za Glinką, Kozaczysko wysoki, czarny, z twarzą połyskliwą jak u Murzyna, z obandażowanym czołem, draśniętym w walce. Jest to znany w Odessie malarz — atleta M. D. Kuzniecowa. Za Kuzniecowa rudy jak płomień Moskał Nikiszka, stangret W. W. Tarnowskiego; brak mu kilku zębów w górnej szczęce, i ów szczerbaty ma najbardziej judaszowski uśmiech.

Ciekawa jest historia tego modelu. Riepin i Jawornicki przepawali się kiedyś przez Dniepr, a na jednym promie z nimi, siedzący w swoim powozie, wspomniany już W. Tarnowski. Malarz zwrócił uwagę na jego stangreta Nikiszkę. Był to mały, rudawy człowieczek, mający tylko parę zębów. Gdy się zaśmiał, Riepin, śledzący go pilnie, pośpiesznie otworzył album i utrwalił jego rysy.

Za Nikiszki wygląda twarz studenta-Tatarzyna, któremu malarz „pożyczył” białe, gęste, mocne zęby od zaporoskiej czaszki wykopanej z mogiły koło Sicy.

Z przodu, po prawej ręce studenta-Tatarzyna, sterczy wielka, ciężka postać w czerwonym żupanie, w baran-

kowej czapie, z szablą u boku. To profesor konserwatorium petersburskiego A. Rubec.

Za plecami Rubca stał tęgi Kozak, z tak wypiętym brzuszyskiem, że zdawał się drgać od śmiechu. Ale artysta zdjął go później z obrazu i umieścił inną postać, tyłem odwróconą do widza, w szarym kobeniaku<sup>63</sup>, z kapturem, z odkrytą ogoloną głową i sterczącym czubem.

Przed Rubcem siedzi sławetny ataman koszowy zaporoskiego wojska Iwan Sirko, o demonicznym spojrzeniu, z fajką w ustach, w czarnej sukiennej czapie, otoczonej szarym barankiem, z przodu przeciętym.

Jako model atamana Sirki posłużył artyście popularny w swoim czasie kawalarz i dowcipniś, generał M. Drahomyrłow.

Dalej wysuwa się naprzód oblicze typowego seminarzysty, który nie mógł w bursie pogodzić się ze stosowaną co sobota porcją różeg i uciekł za porohy, na Sicz. Nie ma on ani wąsów, ani czupryny, a gęste czarne włosy ma obcięte „pod donicę”. Jest to malarz P. Martynowicz, urodzony na Połtawszczyźnie.

A tuż przy głowie Martynowicza pochylił twarz Kozak w wysokiej czarnej czapce, podobnej do tej, jaką nosił hetman Sahajdaczny. Jest to szczupły człowiek o chmurnym wejrzeniu; słabo reaguje na wymyślne epitety, których kozackie towarzystwo nie szczędzi sułtanowi. Do tej postaci pozował znany czytelnikowi W. Tarnowski.

Obok Tarnowskiego dziadek o nieco podciętych wąsach, suchy, pomarszczony, bezzębny. Niczym wrota szeroko rozwarł usta, do których usiłuje trafić fajką, jaką w potrzebie można by komuś głowę rozbić. Znosi się śmiechem, aż oczy przymyka. Malował go Riepin z twarzy osoby przypadkowo spotkanej na przystani w Ołeksandrowsku.

Do postaci pisarza pozował Jawornicki. Długo się opierał, wreszcie się zgodził.

Pisarz jest jedną z centralnych postaci obrazu. Jego figlarny uśmiech obejmuje całą twarz, wywołuje ledwo widoczne zmarszczki przy oczach i drobne dołeczki przy zaciśniętych ustach. Widać, że to człek chytry i mający własne zdanie. Słyszy on dobrze słone dowcipy i zjadliwości, jakie mu dyktują, ale nie kwapi się z zapisywaniem ich na papierze swoim długim gęsim piórem.

Trzeba było jeszcze umieścić kogoś przy stole, na wolnym miejscu naprzeciwko pisarza, tyłem do widza. Riepin sobie z góry ułożył, jaka to ma być postać. Musi mieć nie byle jaki — tłusty, potrójny — kark. Riepin pamiętał, że posiadaczem takiego karku jest generał Aleksiejew.

— Gdy generał był u pana, dobrze mu się przyjrzałem. Niski, tęgi grubas z wielką łysą pałą i takim karkiem, że za sto lat nie znajdę lepszego. Niechże go pan poprosi, by mi pozwolił namalować swój kark i plecy.

Gdy Jawornicki przekazał Aleksiejewowi prośbę malarza, generał się zachnął:

— Co znowu, na pośmiewisko przyszłym pokole-  
niom! Nie!

Jawornicki zawiadomił Riepina o swoim niepowodzeniu.

— Niech go pan jakoś namówi. Przy swojej pomysłowości na pewno znajdzie pan jakiś sposób.

— A może da się go skusić starymi monetami, bo to numizmatyk — mówił Jawornicki. — Zrobimy tak: generał zaprosi nas do siebie na śniadanie. Po śniadaniu wejdziemy w trójkę do jego gabinetu, ja wyjmę kilka starych monet i będziemy je oglądać przez lupę, a pan usiądzie z tyłu i spokojnie, bez przeszkód zrobi sobie szkic jego potrójnego karku.



Tak też się stało. Gdy już Riepin wystawił „Zaporożców” w Galerii Trietiakowskiej, Jawornicki zaproponował generałowi i Riepinowi pójście do galerii. Zbliżyli się do obrazu.

— Heorhiju Petrowiczu, coś jakby wasz kark — zwrócił uwagę Jawornicki.

— Jakżeście śmieli zrobić to bez mego pozwolenia! Kiedyście mnie zdążyli namalować! Trudno, nic już teraz nie poradzę. Tylko proszę nie zdradzić nikomu, że to mój kark, bo mnie, starego durnia, wyśmieją.

Riepin nad każdą postacią pracował długo, całymi latami kształtował w myśli fragmenty, czasami dla jednej postaci wykorzystywał kilka modeli — jeden dawał wyraz twarzy, swój wzrost, drugi oczy, a inny przenikliwe spojrzenie, długie wąsiska, uśmiezek. Tak właśnie było z główną postacią — z Sirką. Nie zachowała się żadna jego podobizna, Riepin musiał uciec się do własnej fantazji. Długo szukał odpowiedniego człowieka. Udało mu się to na wiosnę 1889 roku. Przy pierwszym spotkaniu z generałem M. I. Drahomyrłowem Riepin nie mógł powstrzymać okrzyku: „To żywy Sirko!” A potem dokoła Sirki ugrupowały się inne postacie.

Sława „Zaporożców” popłynęła po całej Rosji, przekroczyła granice. Obraz święcił triumfy na wystawach w Chicago, Budapeszcie, Monachium, Sztokholmie.

„Zaporożcy” to jedno z najpopularniejszych dzieł Riepina. Po całym kraju rozeszły się liczne kopie i reprodukcje obrazu. O jego popularności świadczy choćby zdarzenie opisane przez Riepina w liście do Jawornickiego z listopada 1929 roku: *...Jeden z moich przyjaciół przywiózł mi z Połtawy kupioną na jarmarku rzeźbę — kopię mego znanego obrazu... Cieszę się i raduję, patrząc na tę podobiznę...*

Dzieło to nie tylko przyciągało wzrok swoim skończonym artyzmem, ale także pomagało w budzeniu poczucia narodowego.

— Któż nas znał przedtem? — dziękował Jawornicki Riepinowi. — Nikt. Byliśmy mali, przyziemni, a teraz jesteśmy o głowę wyżsi. Kłaniam się panu nisko i dziękuję!

Wielki malarz rosyjski gorąco kochał Ukrainę, rozmiłowany był w jej mowie, w tańcach i pieśniach. Mieszkając w Petersburgu utrzymywał stały kontakt nie tylko z Jawornickim, ale także z innymi działaczami kulturalnymi i często bywał na wieczorach, urządanych przez Ukraińców, mieszkających w ówczesnej stolicy.

Przyjaźń Jawornickiego z Riepinem, zrodzona z ich twórczych postaw, trwała aż do śmierci Riepina.

## HOPAK — TANIEC ZAPOROŻCÓW

Korespondencja między uczonym a malarzem trwała nieustannie. Riepin zwracał się nieraz do Jawornickiego w sprawach swojej twórczości. Tak na przykład w liście z dnia 9 maja 1909 roku prosi Dmytra Iwanowicza o przysłanie mu zdjęcia „święconych noży”, których używali hajdamacy przeciwko polskim panom. Zdjęcie to potrzebne było Riepinowi do obrazu „Hajdamacy”. Riepin pisał później do Jawornickiego, że wykorzystał je w tym obrazie, wysłanym później na wystawę do Sztokholmu.

W jednym z listów Dmytro Iwanowicz prosił Riepina, aby się postarał *przyjechać z synem Jurkiem na Ukrainę, odwiedzić muzeum, a potem jak strzała przemknąć przez dniewprowe porohy, zawieźć syna na święte miejsca Siczy, pokazać prawnuka Zaporozcom,*



*Zaporożcy na biwaku — malowidło ścienne w Muzeum Historycznym w Dniepropietrowsku*

*tak jak kiedyś przywiózł i pokazał swoich synów Taras Bulba<sup>64</sup> żywym rycerzom siczowym.*

W związku z siedemdziesięcioleciem Jawornickiego Riepin nadesłał mu depezę z serdecznymi życzeniami:

*Gorąco pozdrawiam czcigodnego jubilata. Ściskam serdecznie nieśmiertelną duszę Zaporozża.*

Nieco później, dnia 30 listopada 1926 roku Riepin zwierzył się przyjacielowi, że zamierza namalować nowy obraz, pt. „Hopak”. Znowu jął wertować książki o słonecznej Ukrainie, jakie posiadał w swojej bibliotece, a przede wszystkim utwory Jawornickiego i zbiorki pieśni ukraińskich.

Przypomniawszy sobie, jak po przyjeździe z Sierowem na Sicz kąpał się w Czortomłyku, chodził na cmentarz zaporoski, szukał tam podkówek do butów zaporoskich, skorupki itp.

Jawornicki przesyła malarzowi swoje dzieła, następnie sztandar zaporoski, zdjęcie trzech wodniaków dnieprowych — kozackich potomków, prowadzących ustawiczną walkę z wodnym żywiołem. Nadesłał także zdjęcie stuletnich starców, dożywających swoich dni w Kapulówce.

A malarz w liście z 8 marca 1928 roku dziękuje za nadesłane materiały *...ale wszystko to są „pułkownicy”, ani jednego młodzieńca. A tak bym chciał otrzymać chłopców, zwyczajnych, jacy się trafiają, bez wszelkiego upiększania, nie ufryzowanych.*

I w późniejszym liście, z dnia 7 kwietnia 1928 roku, pisze znowu o swoim obrazie: *Moi Zaporozcy (Hopak) stoją przez całą zimę nie posuwając się naprzód, bo pracownia jest nie opalana, 6—9 stopni ciepła zrobiło się dopiero w marcu, bo był ciepły. Zamierzyłem obraz rodzajowy, bez portretów. A chłopców mi potrzeba, bo przecież Kozacy — to głównie młodzież. W wesoły letni dzień Kozacy wyjechali na brzeg Dniepru i bawią się, ciesząc się zdrowiem i otaczającą ich przyrodą. Nikogo ze starszyny nie ma na moim płótnie. Młodzieńcy bardzo mi są potrzebni. Hopaka zwykle tańczą młodzi chłopcy.*

Materiałów miał Riepin wreszcie dosyć. Pozostawało tylko wziąć się do malowania. Ale lata, starość odbierają mu siły. Sam tego nie ukrywa: *Hopak mój nic się naprzód nie ruszył. Najważniejsze, że w pracowni chłód, a ja się czuję coraz gorzej i nie mogę liczyć na to, że skończę rozpoczęte obrazy.*

Całe lato 1930 roku Dmytro Iwanowicz spędził na dnieprowych porohach, kierował badaniami archeologicznymi w miejscowościach, które w najbliższym czasie miały ulec zatopieniu.

Po powrocie do Dniepropietrowska, dowiedział się z prasy, że Riepin zmarł 29 września 1930 roku.

#### SPOTKANIE Z LWEM TOŁSTOJEM

O swoim spotkaniu z Lwem Tołstojem Jawornicki w 1928 roku umieścił w pismach następujące wspomnienie:

*Było to w 1899 roku w grudniu, przed Bożym Narodzeniem, w okresie gdy na uniwersytecie i w innych szkołach Moskwy kończy się nauka i liczne rzesze młodzieży rozjeżdżają się ze stolicy do różnych zakątków Rosji. Ja także jechałem z Moskwy na południe zakończywszy swoje wykłady na uniwersytecie.*

*Skoro tylko wszedłem do wagonu II klasy i zająłem miejsce na pierwszej z brzegu ławce, widzę, że w drzwiach ukazuje się jakiś starszy mężczyzna z małą, płócienną walizką, na krzyż przewiazaną sznurkiem. Wszedł do wagonu, rozejrzał się dokoła i zoczywszy wolne miejsce położył na półce swoją walizkę i usiadł akurat przy mnie. Spojrzałem na starca i oczom swym nie wierzę: Lew Tołstoj. On czy nie on?*

*Brodacz z szerokim nosem, z jasnymi, szarymi oczyma, w sukiennej siermiędze za kolana, w szarej czap-*

ce na głowie i w obszernych walonkach tego samego koloru. Dokładnie taki, jak go przedstawiano w tanich wydawnictwach ludowych.

— Czy mam zaszczyt widzieć Lwa Nikołajewicza Tołstoja?

— We własnej osobie. A kto pan jest?

— Mamy wspólnego przyjaciela, Ilję Juchymowicza Riepina.

Lew Nikołajewicz żywo zwrócił się ku mnie, podniósł swe gęste, nastroszone brwi i spojrzał błyszczącymi, przenikliwymi oczyma. Poczułem, jak gdyby mnie przeszył ostry prąd elektryczny.

— To pan jest profesorem Jawornickim, którego malował Riepin jako pisarza na obrazie „Zaporożcy piszą do sułtana tureckiego”?

— Tak, to ja.

— Nigdy pana nie widziałem, jednakże poznałem.

Teraz potoczyła się rozmowa. W wagonie było pełno studentów, kursistek, sztubaków. Obok nas siedział młody Żyd, jak się później okazało, aptekarz z Mariupola. Naprzeciw, leżąc jak długi, zajął całą ławę starszy już oficer. Młodzież od razu poznała Tołstoja i wkrótce zebrała się koło naszej ławki, w wagonie dał się odczuć jakiś szczególny, uroczysty nastrój.

— Lwie Nikołajewiczu — zacząłem — proszę mi pozwolić zadać panu jedno pytanie w sprawie bardzo bolesnej dla nas, Ukraińców.

— Proszę, niech pan pyta.

— Dlaczego wy, Rosjanie, zabraniacie naszym dzieciom uczyć się w szkołach w języku ojczystym? Pan, wielki mistrz rosyjskiej mowy, rozumie nasze zmartwienie: dzieci nasze po kilku latach pobytu w szkole opuszczają ją z brzydkim, zepsutym językiem; ni to on ukraiński, ni to rosyjski, po prostu jakaś mieszanina.

— A kto zabrania uczyć dzieci w waszej mowie? Nie

naród rosyjski, ale władza państwowa rosyjska z Pobiedonoscewem<sup>65</sup> na czele. A każda władza państwowa to zło. Co do mnie, podoba mi się bardzo wasz ludowy język ukraiński, taki dźwięczny, barwny, taki miękki. W waszym języku jest tyle serdecznych, poetycznych wyrazów...

Tu Lew Nikołajewicz zaczął mówić z pamięci „Najmitkę” Szewczenki. Pięknie recytował, z dobrą wymową, prawidłowo akcentując, tak jakby to robił prawdziwy Ukrainiec z dziada pradziada.

Bardzo byłem zdziwiony, toteż spytałem Lwa Nikołajewicza, gdzie i od kogo nauczył się po ukraińsku? Odparł mi na to, że język ukraiński jest na tyle łatwy i zbliżony do rosyjskiego i do polskiego, że znając rosyjski i polski można szybko nauczyć się czytać po ukraińsku, szczególnie mieszkając w Moskwie, gdzie jest tylu profesorów Ukraińców, jak sławny F. Korsz, jak Mykoła Storożenko<sup>66</sup> i inni. A na przykład po hebrajsku nauczyć się czytać jest już znacznie trudniej.

— Zna pan także język hebrajski?

— Znam, umiem czytać.

— U kogo się pan uczył?

— Uczyłem się u moskiewskiego rabina, żeby móc rozumieć Biblię. Dopiero nauczywszy się hebrajskiego odważyłem się napisać „Moje wyznanie wiary”. A pan — tu zwrócił się do aptekarza — zna język hebrajski?

Żyd odpowiedział, że niestety nie zna mowy swoich przodków, a używa, jak wszyscy inni młodzi Żydzi, zepsutego języka niemieckiego.

W tym miejscu rozmowę naszą przerwał niespodzianie ów oficer, który dotąd leżał na ławie naprzeciw nas i nie wtrącał się do rozmowy. Podniósł głowę, zerwał się z ławy i patrząc na nas mętnym wzrokiem zawołał:

— Jakim prawem ośmielacie się mówić o szkole ukraińskiej? Co wy, Żydzi, wiecie o niej? Co innego ja, prawdziwy Ukraińiec spod samej Połtawy. Na wszystkich sprawach ukraińskich znam się lepiej od was.

— Wystarczy spojrzeć na nas, by stwierdzić, żeśmy nie Żydzi — spokojnie powiedział Tołstoj. Bez gniewu podniósł się i wyszedł na korytarz.

Za nim ja również wyszedłem. Stanęliśmy przy oknie i dalej prowadziliśmy rozmowę. Niespodziewanie z przedziału wylatuje ten sam oficer, chwytając Tołstoja za ubranie i błagalnie woła:

— Lwie Nikołajewiczu, niech pan wybaczy mnie głupiemu! Nie poznałem pana od razu, a teraz mi powiedziano, że to pan. Jestem szczerym, prawdziwym pańskim wielbicielem, ale spiłem się dzisiaj mocno i straciłem rozum. Jadę z dalekiej strony, gdzie pochowałem kochaną żonę; do Moskwy przywiozłem swoją jedyną córkę i oddałem do instytutu, a teraz zostałem sam jak ten palec i upiłem się z rozpacz... Obraziłem pana, niech mi pan daruje. Obraziłem również pańskiego towarzysza...

— Nie, pan mnie nie obraził, a myślę, że i mego towarzysza także nie. Pan obraził samego siebie...

Oficer jął prosić nas, abyśmy wrócili na swoje miejsca i dalej prowadzili rozmowę.

Wróciliśmy zatem. Zwróciłem się znowu do Lwa Nikołajewicza:

— Proszę mi z łaski swej wyjaśnić, czemu się pan tak niechętnie odnosi do nauki, a szczególnie wrogo do sztuki? Wydaje mi się, że pan ich wcale nie uznaje, uważa je pan za coś bezwartościowego, niepotrzebnego?

— Na to muszę przede wszystkim zapytać: jaka nauka i jaka sztuka? Nie uznaję rzeczywiście tej nauki i sztuki, które nie służą narodowi. A po drugie, muszę powiedzieć, że nie wszystko noszące podpis „Lew Toł-



stoj" pisał rzeczywiście Tołstoj. Mógł to napisać znany w całej Moskwie cenzor Sergiej Iwanowicz. To człowiek bez wykształcenia, z niższej szkoły duchownej, a przy tym niezbyt mądry z natury i dlatego jest bardzo despotyczny, pewny siebie, zarozumiały. Niejednemu literatowi wyrządził dużo złego. Gdy mu się nie podobają jakieś myśli, zdania lub nawet oddzielny wyraz autora, to albo wymaże całe zdanie, albo zostawi początek, a koniec wykreśli, albo nawet doda własny. Powstaje wtedy coś zgoła niepodobnego do oryginału, bezsensownego i dzikiego, a gdy autor to czyta, sam siebie poznać nie może, wielce jest tym zdumiony i zaskoczony.

— Dlaczego pan nie pisze w tej sprawie do prasy?

— Ba, gdybym zaczął pisać o wszystkim tym, co się o mnie pisze, to nie miałbym czasu oczu podnieść. Codziennie otrzymuję setki listów z całego świata. Nie mam siły ani czasu odpisywać na wszystkie. Na niektóre odpowiada za mnie moja córka Maria, ja zaś czasami stawiam tylko moje nazwisko na tych odpowiedziach. Powiem panu coś jeszcze, co trochę pana zdziwi: tym, którzy piszą do mnie bez twardego i miękkiego znaku <sup>67</sup>, nie odpowiadam wcale.

— Dlaczegoż to?

— Dlatego, że tak piszą do mnie przeważnie młodzi, niedojrzali mądrze, którzy powinni dobrze się nauczyć gramatyki, zanim zaczną się zagłębiać w światowe problemy... A co do listów, to jeśli zechcę — odpowiem, nie zechcę — nie dam odpowiedzi. Natomiast gdy się zjawi jakiś człowiek, który szuka prawdy na ziemi lub pragnie wiedzieć, w jaki sposób pozostać czystym między ludźmi, to chcąc nie chcąc trzeba z nim rozmawiać.

— Stacja Sierpuchow — zawołał nagle pod oknami konduktor. — Pociąg stoi 15 minut.

— Chodźmy wypić szklanę kawy — zaproponował Tołstoj.

Wyszliśmy i usiedli na dworcu przy stoliku. Podano nam kawę, do niej mleko i biały chleb. Tołstoj wziął kawę, a mleko i biały chleb odsunął. Potem z trzymanego w ręku zawiniątka wyjął flaszeczkę jak gdyby gęstego mleka i wlał do swojej szklanki.

— Co to takiego? Mleko z domu? — zapytałem.

— Nie, to jest mleko migdałowe. Jestem, proszę pana, jaroszem, nie jadam mięsa ani ryby, nie używam krowiego mleka ani białego chleba.

Gdy po kawie wróciliśmy na swoje miejsce, Lew Nikolajewicz wydostał z tego samego zawiniątka kawałek żytniego chleba i zaczął go powoli jeść. Było widoczne, że z powodu braku zębów niełatwo sobie radzi z twardym chlebem, ale Tołstoj unikał wszelkiego fałszu, toteż nie chciał mieć nawet sztucznych zębów.

Zjadłszy trochę chleba poprosił nas, byśmy mu pozwolili poleżeć parę chwil na ławce.

— Zaczęłem już siedemdziesiąty pierwszy rok życia, ciało moje wymaga nieraz odpoczynku.

Zerwaliśmy się z miejsca i zwolniliśmy całą ławę. Rozesłałem mój pled, aptekarz położył swoją poduszkę. Lew Nikolajewicz położył się, ale nie miał zamiaru zasnąć i długo jeszcze rozmawiał z nami na różne tematy.

## U ŁESI UKRAINKI

W roku 1910 Jawornicki pojechał do Grecji i Egiptu, głównie po to, by obejrzeć muzea w Atenach, Aleksandrii i Kairze i przywieźć zza granicy wzory dla projektu nowego muzeum w Katerynosławiu.

Przed wyjazdem do Egiptu dowiedział się, że tam na obczyźnie mieszka słynna poetka ukraińska Łarysa Kosacz, znana jako Łesia Ukrainka, i postanowił ją odnaleźć.

Mieszkała wtedy w Heluanie, dokąd się przeniosła w związku z nieubłaganą chorobą płuc.

Gościł u niej około tygodnia. Były to, jak potem mówił, najszcześniejsze dni w jego życiu. Gawędzili o ojczyźnie Ukrainie i jej żalonym losie. Poetka czytała rodakowi nowe swoje wiersze. Opowiadała mu, że opłamała arabszczyznę i uczy teraz dzieci arabskie czytania i pisanie. Zapewniała Jawornickiego, że arabskie pieśni ludowe swoją melodyjnością przypominają ukraińskie.

W liście z 15 lutego 1910 roku do M. W. Krywieniu-ka Łesia Ukrainka pisała: *Wczoraj był u mnie Jawornicki, który ledwie mnie odnalazł, ale w końcu jakoś trafił, i to bardzo mi jest miłe, bo tutaj w ogóle nieczęsto się zobaczy Ukraińca. Przy tym wydał mi się sympatycznym i ciekawym człowiekiem. Pojechał teraz do Górnego Egiptu oglądać tamtejsze ruiny, a wracając pobędzie tutaj w naszej willi jakiś tydzień dla odpoczynku. Zawzięte chłopisko, wchodził na piramidy i do środka piramid i gdzie go tam jeszcze nie nosiło! I to przy jego sześćdziesiątce i reumatyzmie! No, no! Trzeba będzie wybrać się z nim raz jeszcze do muzeum egipskiego, obejrzeć „panią o złotym obliczu” (jest taka jedna piękność). A tymczasem siedzę kamieniem i nigdzie się nie ruszam...*

Na pożegnanie Łesia Ukrainka wzięła z biurka swoje zdjęcie, podpisała je i ofiarowała gościowi na pamiątkę.

Zdjęcie to Jawornicki przechowywał u siebie w domu jak cenny skarb i przy okazji pokazywał przyjaciołom i znajomym.

## U ŹRÓDEŁ OPERY „TARAS BULBA”

Jawornicki dobrze się znał z M. W. Łysenką, wielkim kompozytorem ukraińskim, obecnie już klasykiem. Zachowana korespondencja wykazuje, że przyjaźń uczonego z kompozytorem zrodziła się w czasie, gdy Łysenko powziął zamiar napisania opery „Taras Bulba” i razem z Jawornickim przemierzał obszary dawnej Sycy zaporoskiej. Podróż ta wywołała na nim wielkie wrażenie. Syn kompozytora, Ostap, pisze, iż ojciec do ostatka swoich dni snuł wspomnienia o tej podróży i o przeprawie łodziami przez rwące porohy dniewprowe.

*W takich chwilach trzeba było widzieć naszego locmana Musija Bojkę. Wysokiego wzrostu, barczysty, w białej koszuli tkwi jak skamieniały na dziobie łodzi. Twarz ma suchą, jakby wykutą z brązu. Wąsy długie, wypłowiałe od machorki. Rozwścieczone fale rzucają się na nas z dzikim rykiem, a ten ani drgnie. Tylko wzrok jego, utkwiony w kipiącej otchłani, mówi o jego napięciu i niepokoju. Jeden błędny ruch sterem — i całe nasze uczone towarzystwo pójdzie rakom na przekąskę.*

— Czy uwierzysz, Ostapie — mówił ojciec — patrzyłem na Musija i widziałem jego ojca, dziada i pradziada. Na takich właśnie łodziach za Światosława i za Bohdana przeprawiali się przez porohy. Zmagali się na śmierć i życie z nieprzyjacielem. Nie wypuszczając z rąk oręża siali zboże, budowali fortece, miasta i wioski, ci właśnie Musije i Iwany, Maksymy i Ostapy. Męczyli ich Tatarzy w jasyrze, na pal nabijali Lachy-panowie, „właśni” prawosławni panowie uciskali pańszczyzną, szczuli psami. A Musij — oto macie go — niczym dąb owiany wszystkimi burzami, zahartowany na słońcu i na mrozie, przesiąknięty dniewprową wodą, obmy-



Obraz M. Strunykowa: „Taras Bulba z synami”

*ty w wiosennych ulewach. Żywy, nieujarzmiony rycerz o rękach zwycięzcy, o czystym, dziecięcym sercu. Przetrwał czasy Tatarów, czasy Lachów, przetrzyma także czasy pańskie. Bo to jest potęga. To jest lud!*

Nie mniejsze wrażenie wywarły na kompozytorze ruiny starej Siczy. Wszak ziemia ta była świadkiem wielkich czynów, dziś przyprószonych pyłem historii,

po niej stąpali Zaporozcy, uszli z niej w nieszczęsnym roku 1775, gdy wojsko Katarzyny II obróciło ją w popiół, uszli, gdzie oczy poniosą, za Dunaj w tureckie poddaństwo, na Kubań walczyć z Czerkiesem...

A stojący obok Jawornicki odczuwał nastrój kompozytora i cicho mówił:

— Kiedyś przecie kipiało tu życie, i to jakie! Zamaszyste, swobodne. I bandury tutaj brzęczały, i pieśni się rozlegały, i wirowali chwaccy tancerze, aż się kurz wzbijał jak chmura, a ziemia dudniła...

I w wyobraźni kompozytora ożyła ta daleka przeszłość, wyłoniły się z niebytu postacie, które miały się stać bohaterami jego dzieła.

I tak na brzegach Dniepru narodziła się muzyczna scena Siczy Zaporoskiej, którą kompozytor wprowadził później do swojej opery „Taras Bulba”.

Konstanty Stanisławski nazwał Łysenkę „słońcem muzyki ukraińskiej”. Wielostronność jego działalności muzycznej budzi podziw.

Łysenko był to nie tylko wybitny kompozytor, ale także uczonej etnograf, zbieracz i badacz skarbów ludowej pieśni.

W tej dziedzinie Dmytro Iwanowicz był mu bratnią duszą. Toteż długo trwała przyjaźń i korespondencja pomiędzy nimi.

#### **Z KOMISARZEM LUDOWYM NA DNIEPROWYCH POROHACH**

Pewnego sierpniowego dnia 1926 roku w hallu muzeum zjawił się ludowy komisarz oświaty RFSRR A. W. Łunaczarski w towarzystwie małżonki.

Uprowadzono Dmytra Iwanowicza zawczasu, że do muzeum przybędzie komisarz, i profesor niecierpliwie

oczekiwał człowieka, który w Związku Radzieckim tyle dokonał w dziedzinie muzealnictwa.

Zapewne i Łunaczarski chciał na własne oczy zobaczyć znanego historyka i usłyszeć jego żywe, barwne słowo.

Dostojnych gości poproszono przede wszystkim do działu zaporoskiego.

Dmytro Iwanowicz wiedział, że Łunaczarski, pochodzący z Połtawy, zna dobrze język ukraiński i kulturę tej ziemi, zachwyca się ukraińską twórczością ludową, toteż wyjaśnień udzielał w języku ojczystym.

Już pod koniec zwiedzania muzeum Dmytro Iwanowicz zatrzymał gości przed obrazem „Poroh Nienasytec” i z uniesieniem opowiadał o groźnych skałach i kozackich przeprawach przez Dniepr. Szczególnie ciekawe było opowiadanie o najstraszniejszym Dział-porohu. Łunaczarski słuchał z zainteresowaniem, wreszcie zaproponował:

— Dmytrze Iwanowiczu, tak nas pan zaciekawił dnięprową romantyką, że oboje z żoną gotowi jesteśmy pojechać z panem na porohy. Mógłby pan nam towarzyszyć?

— Proszę bardzo, jestem gotów.

W samochodzie siedziały cztery osoby: koło szofera małżonka komisarza, a na tylnym siedzeniu Łunaczarski i Jawornicki.

Po drodze „zaporoski tata” opowiadał o malowniczej urodzie siwego Dniepru, o dawnych pamiątkach i minionych czasach.

Na dziesięć kilometrów przed Nienasytciem Jawornicki dotknął ramienia kierowcy, dając znak, by zatrzymać samochód.

Wysiadł pierwszy z samochodu.

— Słyszysz pan huk?

— Słyszę, co to jest?

— To właśnie jest Nienasytec. Ryczy i jęczy, szumi i zawodzi, zależnie od pogody. Słyszysz się go w promieniu trzydziestu kilometrów. Taką ma siłę!

— To doprawdy potęga — przyznał Łunaczarski.

— Tutaj do tego groźnego Nienasytca jesienią 1843 roku przybył Taras Szewczenko — mówił Jawornicki. Odwiedził wtedy Chortycę, był w Ołeksandrowsku, w Nikopolu, w Pokrowskiem. Tak, a teraz proszę wsiadać, jedziemy dalej.

Samochód pylnym gościńcem pomknął dalej ku porohom.

Po paru chwilach ujrano ogromną granitową skałę, nawisłą nad samym Nienasytciem. Przed porohem powoli toczyły się przejrzyste wody, niebieskie jak bezchmurne niebo w słoneczny dzień. A w tym samym czasie coś to się działo na Nienasytciu! Woda tutaj bulgotała, stromymi grzywami wznosząc się ponad wiekowe skały, płatami rozpryskując białą pianę. Dnieprowe rybitwy całymi stadami krążyły nad porohem czatując na żer.

Wszyscy weszli na Skałę Carowej. Widać z niej było rozległy step i szerokie zakole wezbranego Dniepru. Łunaczarski zdjął czapkę. Wietrzyk niosący wilgoć od porohu przyjemnie muskał mu włosy. Znikło gdzieś zmęczenie podróżą.

— Ze wszystkich porohów dniewprowych — ciągnął Jawornicki — Nienasytec jest największy i najgroźniejszy. Długość jego wynosi ponad dwa kilometry, spada dwunastu ławami, cały spieniony. Zimą pozostaje nie zamrożony. Jest w nim jakaś potężna, żywiołowa moc, przerażająca a jednocześnie uderzająco piękna...

— A gdzież jest przejście dla łodzi? — pytał Łunaczarski.

— Przejście znajduje się przy prawym brzegu. Wy-



konano je w roku 1799, zabezpieczając z lewej strony murem kamiennym. Jest tam i drugi kanał, zbudowany w roku 1805. Później podobne kanały powstały na porohu Kodackim, Surskim i Łochańskim. Jednakże wszystkie one były niedoskonałe, nie przystosowane do przepuszczania tratw i statków. Toteż spławiano ładunki tak jak dawniej, „kozackim szlakiem” przez porohy. Dzielni locmani, potomkowie dawnych Zaporozców, przeprowadzali tamtędy nawet tratwy. Przez Nienasytec tratwy przelatywały w mgnieniu oka!

— Ciekawe, dlaczego ten poroh nazywa się „Nienasytec”? — spytała żona Łunaczarskiego.

— Ponoć dlatego, że — jak mówią ludzie tutejsi — wciąż nie może się nasycić: „Łyka i łyka, a nasycić się nie może”. I rzeczywiście, łyka co popadnie. Każdego lata ginęło tutaj przeszło pół setki osób. Locmani raczej się ratowali, ale flisacy ginęli.

Następnie Dmytro Iwanowicz zaprosił komisarza na małą przechadzkę, podczas której pokazał mu jeszcze jedną osobliwą rzecz.

— Proszę popatrzeć na tę skałę, sterczącą z wód Nienasytca. Jest tam na niej ciekawa płyta pamiątkowa. Zawolałam rybaka, żeby nas przeprowadził.

Na wezwanie Dmytra Iwanowicza rybak szybko przybił do brzegu.

Wszyscy wsiedli do łódki i podpłynęli pod samą skałę z płytą.

— Może pan zechce przeczytać, pan widzi lepiej niż ja.

I komisarz przeczytał na głos:

— *W roku 972 przy dniewprowych porohach zginął w nierównej walce z Pieczyngami witeź ruski, ksiązę Światosław Igorowicz.*

— Jakże się panu podoba nasz Dniepr?

— Cudownie piękny, napatrzeć się nie można!

— To prawda, a jednak zbliża się czas, kiedy zostanie okiełznany, a porohy znikną na zawsze. Chodzą wieści, że w Kiczkasie zacznie się wkrótce budowa tamy. Czy to prawda?

— Prawda, Dmytrze Iwanowiczu. Wkrótce powstanie tutaj najpotężniejsza elektrownia.

— A więc za rok, za dwa wielka tama spiętrzy te wody. Ileż to władców próbowało okiełznać Dniepr, i bez skutku. A teraz, jak widać, zdołają go przegrodzić. Nastali inni ludzie, nowa technika.

— Słusznie, Dmytrze Iwanowiczu — zaśmiał się Łunaczarski. — Pełnowodny Dniepr-Sławuta uruchomi olbrzymie turbiny, a jego energia przeistoczy się w elektryczność.

Łunaczarski w zamyśleniu popatrzył na porohy, skały i wyspy pokryte bujną zielenią. Zauważył to Jawornicki.

— Wydaje mi się, Anatoliju Wasiljewiczu, że w tej chwili zamyśla pan coś w związku z tym Dnieprem.

— Ma pan rację. Chodzi o to, że niedługo już woda zaleje tyle pamiętnych miejsc i cudów natury. Mocarny Dniepr będzie służył ludziom, a to wszystko, co teraz widzimy, zniknie pod wodą. Dobrze byłoby, gdyby pan opracował album dniewprowych porohów i miejscowości historycznych.

— Już pomyślałem o tym, a nawet zacząłem zbierać materiały. Spodziewam się, że będzie to jakaś pamiątka minionych czasów. Album chcę nazwać „Dniewprowe porohy”. Może to już czas wracać, Anatoliju Wasiljewiczu?

— Żal opuszczać tę bajecznie piękną okolicę, ale nie ma co, trzeba ruszać.

Na wieczór samochód komisarza powrócił. Dziękując za wycieczkę Łunaczarski mocno uściśnął dłoń Jawornickiemu.

## FUNDATOR MUZEUM

W swoich przemówieniach, rozmowach prywatnych i korespondencji Dmytro Iwanowicz często wymieniał imię Aleksandra Pola, którego głęboko szanował i cenił.

Przyjaźń ta datowała się jeszcze z czasu pierwszych podróży Jawornickiego po Ukrainie.

Przyjeżdżając z Petersburga na południe w poszukiwaniu pamiątek zaporoskich Jawornicki zwiedził najpierw Kijów, Połtawę, Odesę i Jekaterynodar. Podróże te były bardzo ciekawe, jednakowoż nie dostarczyły historykowi materiału, którego szukał. Później udał się na Katerynosławszczyznę. Tutaj poszukiwania były owocne, natrafił bowiem na bogate zbiory kozackich pamiątek w prywatnych muzeach generała Aleksiejewa i działacza społecznego A. Pola.

Pol przyjaźnie odniósł się do młodego archeologa i zawsze gotów był mu pomóc. Pomagał mu prowadzić poszukiwania archeologiczne, gromadzić eksponaty, dawał mu nawet na całe lato robotników, których opłacał z własnej kieszeni. Przyjaźń ich była rzetelna i bezinteresowna.

Nazwisko A. Pola (1832—1890) należy zarówno do historii kopalnictwa rudy żelaznej na Krzyworożu, jak do historii kultury na Katerynosławszczyźnie. Był to ruchliwy społecznik, znawca kultury regionalnej, archeolog. Interesował się techniką, oświatą, historią. Gdziekolwiek się znalazł, wszędzie umiał odnaleźć skarby kultury materialnej ojczystego kraju.

Urodził się we wsi Małooleksandrówce, powiatu werchniodnieprowskiego, guberni katerynosławskiej, w ziemiańskiej rodzinie. Średnie wykształcenie uzyskał w gimnazjum połtawskim, a w 1854 roku ukończył wydział prawny uniwersytetu w Dorpacie.

Na owe czasy był to człowiek postępowy. Należał do kilku towarzystw naukowych, czynnie działał w Komisji Urządzącej do spraw włościan powiatu werchniodnieprowskiego. Jako radny ziemstwa gubernialnego, odznaczał się wielką ludzkością, broniąc uciśnionych i pomagając prostym ludziom w potrzebie. Wspierał finansowo gimnazjum żeńskie i szkołę realną. Za to wszystko współmieszkańcy bardzo go szanowali i nadali mu obywatelstwo honorowe miasta Katerynosława.

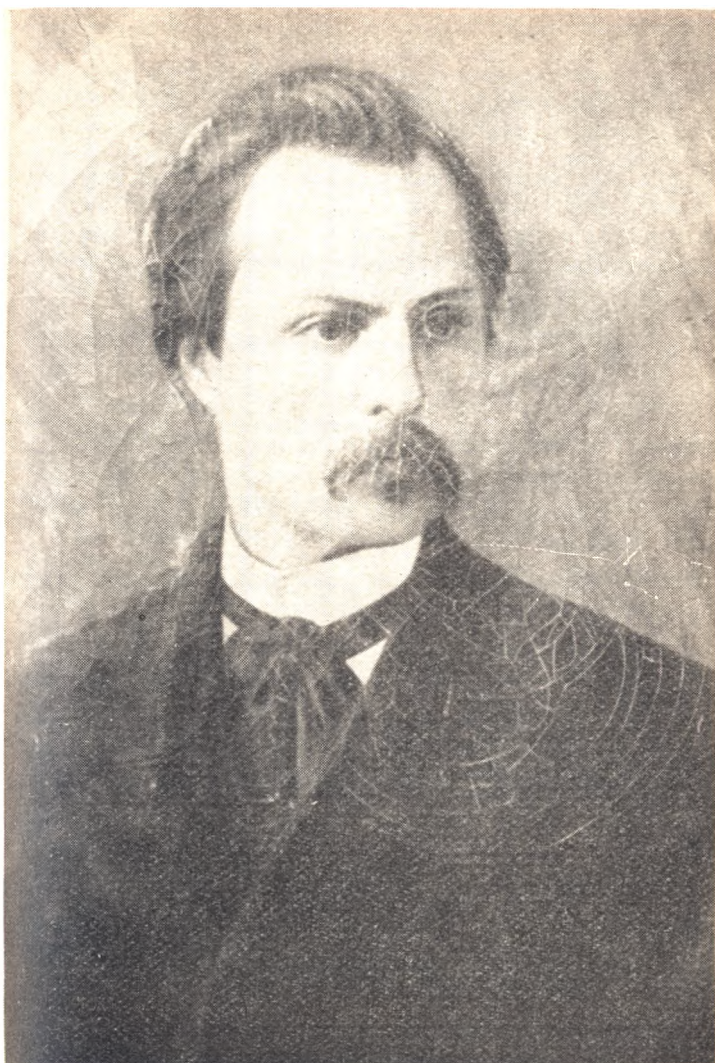
Pol dużo zdziałał dla rozwoju górnictwa rudy żelaznej na Katerynosławszczyźnie i utworzenia na Ukrainie nowego ośrodka hutniczego. Nie bez przyczyny postawiono mu w Krzywym Rogu pomnik z napisem: „Kolumbowi Noworosji”, a w Katerynosławiu jedną z ulic miasta nazwano jego imieniem.

Jeszcze jako chłopiec Pol słyszał od matki opowiadania o sławnych czynach Zaporozców. Z młodzieńczym zapałem jął gromadzić pamiątki zaporoskie. Najpierw przeszukał wszystkie kąty domu swojej babki — wnuczki nakaznego hetmana Pawła Połubotka, którego car Piotr I za obronę praw Ukrainy zamęczył w twierdzy Pietropawłowskiej. Na strychu znalazł Pol różne ciekawe okazy kozackiego rynsztunku.

Po ukończeniu uniwersytetu i powrocie na ziemię ojczystą Pol ze wzmożoną energią poświęcił się umiłowanej sprawie. Chcąc lepiej poznać dzieje swojego kraju, obszedł piechotą stepy nad górnym Dnieprem, następnie całą Katerynosławszczyznę, obejrzał i spisał wszystkie mogiły, grodziska, uroczyska.

W czasie tych podróży zaszedł do Dubowej Bałki na Krzyworożu. Uderzył go tam widok stuletnich dębów, ogromnych skał i głębokich pieczar.

Zbadał tę miejscowość pod względem archeologicznym i krajoznawczym, a przypadkowo znalazł tu rów-



*Portret założyciela muzeum etnograficznego w Katerynosławiu  
(obecny Dniepropietrowsk) A. Pola*

niez inny skarb — rudę żelazną, która wychodziła na powierzchnię ziemi w pobliżu rzeki Saksahań.

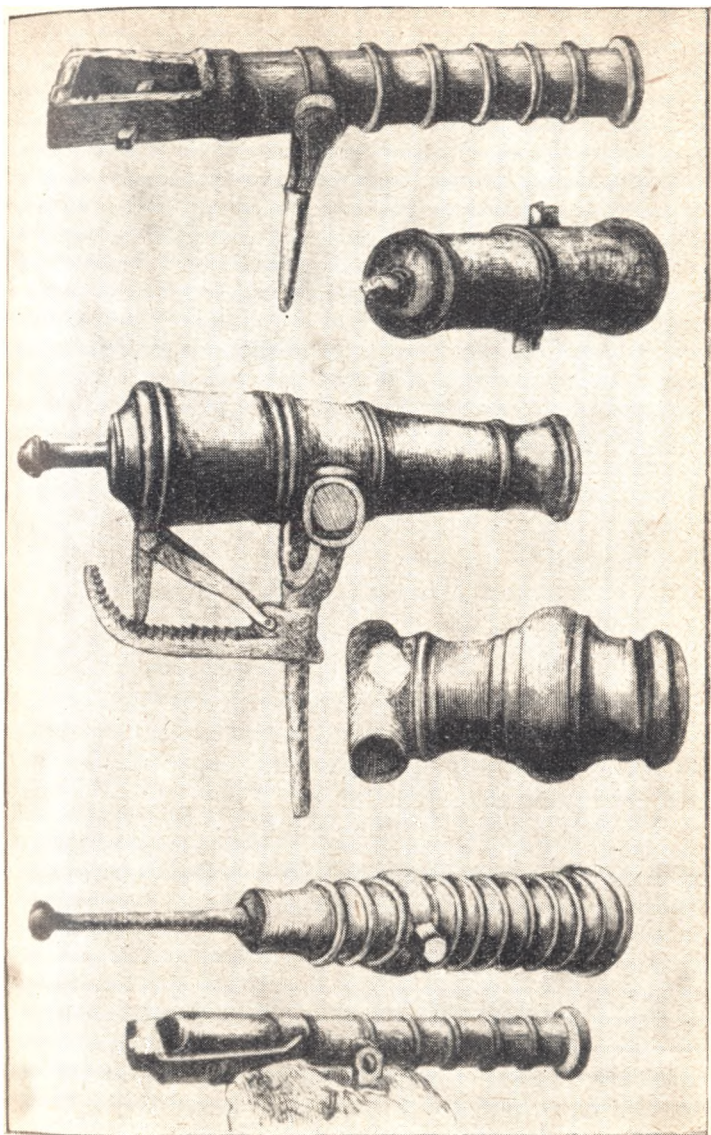
Wprawdzie o rudzie żelaznej na Krzyworożu wiadziano już przed nim, nikt jednak nie zainteresował się bogactwem pokładów i zawartością żelaza w rudzie. Pol w wyniku mozolnych badań, przy pomocy zagranicznych specjalistów, ustalił, że pokłady są olbrzymie, ruda zaś należy do najbogatszych w świecie, jako że zawiera 70% żelaza.

Gdy Pol wydzierżawił działkę kamienistej ziemi, okoliczni włościanie dziwowali się: „Co za cudak? Kupuje ziemię za drogie pieniądze, a tymczasem nic na niej nie rośnie, tylko jakieś rude kamienie”. Nieborak tak się wykosztował na tę rudę, że własny dom z ogrodem sprzedał restauratorowi, a mieszkanie dla siebie musiał wynająć. Chłopi na jego widok mówili: „Patrzcie no, poszedł zubożały pan w łatanej koszuli, tak się wpakował w tę rudę, że własnej chaty się pozbył”.

W ciągu swego niedługiego życia (58 lat) Pol zgromadził ponad pięć tysięcy eksponatów muzealnych. Szacowano je wówczas na dwieście tysięcy rubli. Zdawałoby się, że to suma niemała. A jednak w ostatnich latach życia Pol doznawał trudności materialnych. Płacąc punktualnie chłopom dzierżawę za „nieurodzajną” ziemię, nie szczędził jednocześnie grosza i wysiłków, by wydobyć spod ziemi żelazne skarby. Gotów był sprzedać nawet swoje zbiory, byle tylko wyleźć z długów. Znaleźli się na nie kupcy z Londynu. Jednakże właściciel odrzucił oferty zamorskich gości i pozostawił swoje muzeum narodowi.

Trzonem kolekcji były bogate zbiory z epoki kamiennej — młoty, siekiery, strzały i inne narzędzia wykonane z granitu.

Mnóstwo eksponatów było w dziale brązu. Znajdowały się tam wyroby garncarskie, noże, miedziane



*Armaty zaporskie*



strzały, oszczepy, sprzęt domowy, ozdoby używane przez mężczyzn i kobiety. W dziale żelaza były miecze, noże, sztylety, strzały różnego kształtu. Wielką wartość przedstawiał dział kultur europejskich, a także dalekowschodnich. Tutaj można było zobaczyć misterne wyroby sztuki greckiej, genueńskiej, weneckiej. Były to różne złote przedmioty — pierścienie, broszki, łańcuszki, wieńce laurowe — wiele z nich wysadzane brylantami.

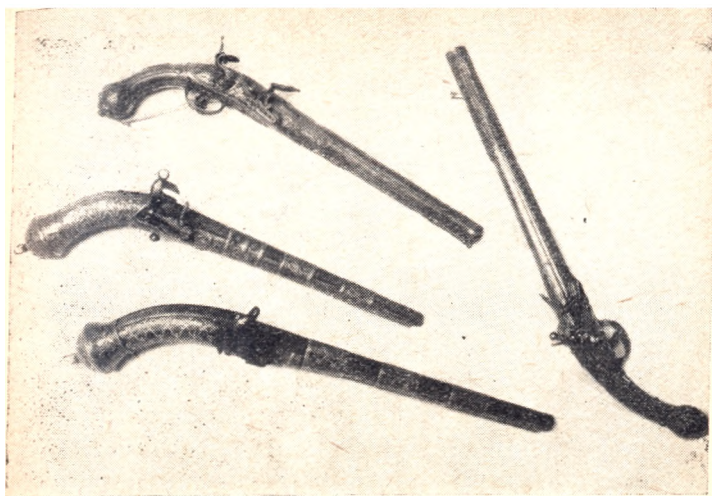
Szczególnie cenną kolekcję Pol zebrał w Siczy Zaporoskiej. Na polach dawnych walk z najeźdźcą znaleziono broń zaporoską — szable, rusznice, hakownice, armaty, pistolety. Udało się Polowi zebrać także insygnia władzy, buławy hetmańskie, buńczuki, nawet ozdoby noszone przez jakiegoś rycerza i rząd jego konia. Broń była nieraz inkrustowana złotem i drogimi kamieniami — turkusami, jaspisami, opalami. Jest też w tych zbiorach niemało rzadkich obrazów, starych ikon.

Po niespodziewanej śmierci zbieracza małżonka jego przekazała zbiory muzeum w Katerynosławiu, któremu dla uczczenia tego patriotycznego czynu nadano imię A. M. Pola. A po śmierci Dmytra Iwanowicza z kolei otrzymało ono imię D. I. Jawornickiego, jako pierwszego dyrektora muzeum, który wzbogacił je o liczne cenne eksponaty i uczynił prawdziwą narodową świątynią kultury.

#### WSPÓŁPRACOWNICY UCZONEGO

Zbierając skarby kultury duchowej narodu, a między innymi słowotwórstwo ludowe, wciągał Jawornicki do współpracy licznych korespondentów — nauczycieli, agronomów, lekarzy, włościan.





*Pistolety starszyny zaporoskiej*

Ludzie ci systematycznie nadsyłali mu cenny materiał leksykalny — wyrazy, pieśni, porzekadła itd. Dmytro Iwanowicz był z nimi w stałym kontakcie i wymieniał z nimi listy, w których udzielał porad, co i jak zapisywać. Zwracając się po raz pierwszy na przykład do młodego nauczyciela, posyłał mu następujące drukowane pismo:

*Szanowny kolego! Do słownika autentycznej ludowej mowy, nad którym pracuję już kilkadziesiąt lat, potrzebne mi są wyrazy charakterystyczne w ogóle dla ukraińskiej leksyki, a także materiały dotyczące ludowego humoru, wyobraźni i życia codziennego: autentyczne uliczne przezwiska, nazwy z ekonomiki i technologii rolniczej, nazwy ziół i leków, słowa wyrażające męską lub kobiecą brutalność, tkliwość, miłość itp., rzadko spotykane nazwy ubioru, sprzętów i narzędzi i w ogóle wszystko, co się wiąże ze słowotwórstwem.*

Do współpracy wciągał także Jawornicki swoich studentów. Było ich dużo, pochodzili z różnych stron republiki, toteż stanowili niewyczerpane źródło informacji.

## NA BRZEGU SAMARY

W pewien ciepły jesienny wieczór stary Macehora łowił ryby w Samarze. Nagle ujrzał, jak do brzegu przybija czółno z nie znanymi mu pasażerami. Wyszli na brzeg, rozbili namiot i rozsiedli się przy namiocie.

— A ja sobie siedzę przy swoich wędkach — opowiada Macehora — i myślę: nie inaczej, tylko ktoś przyjechał na ryby. Ale widzę, że pomiędzy młodzieżą, studentami, pewno jest i ktoś stary — w kapeluszu, siwowąsy, w okularach. Rozsiedli się przy nim kołem i pilnie go słuchają.

Z ciekawości Macehora zostawił swoje wędkę i podszedł do nieznanomych.

— Witajcie! — powiada.

— Życzymy zdrowia — odparł mu stary pan w okularach.

— Nie będę wam przeszkadzał?

— Bynajmniej, prosimy do towarzystwa — życzliwie zaprosił dziadka.

Macehora usiadł i zaczął się przysłuchiwać jego słowom, ale w tej chwili nad głowami siedzących przeleciały ze świstem dzikie kaczki. Huknęło. Trafiona kaczka spadła w oczerety.

— Patrzajcie no — powiedział Macehora. — To tutaj gdzieś i myśliwi się zaczaili.

— I to jest całe nieszczęście — odezwał się stary pan. — Niszczą bez litości dzikie ptactwo, maluczko,



*Popiersie Bohdana Chmielnickiego*

a nie będzie go wcale. A ileż tutaj było dzikiego ptactwa, ryb rozmaitych, po prostu zatrzęsienie!

Macehora zapytał któregoś ze studentów, kto jest ten w okularach.

— To Dmytro Iwanowicz Jawornicki, nie słyszeliście o nim? Uważajcie, co opowiada!

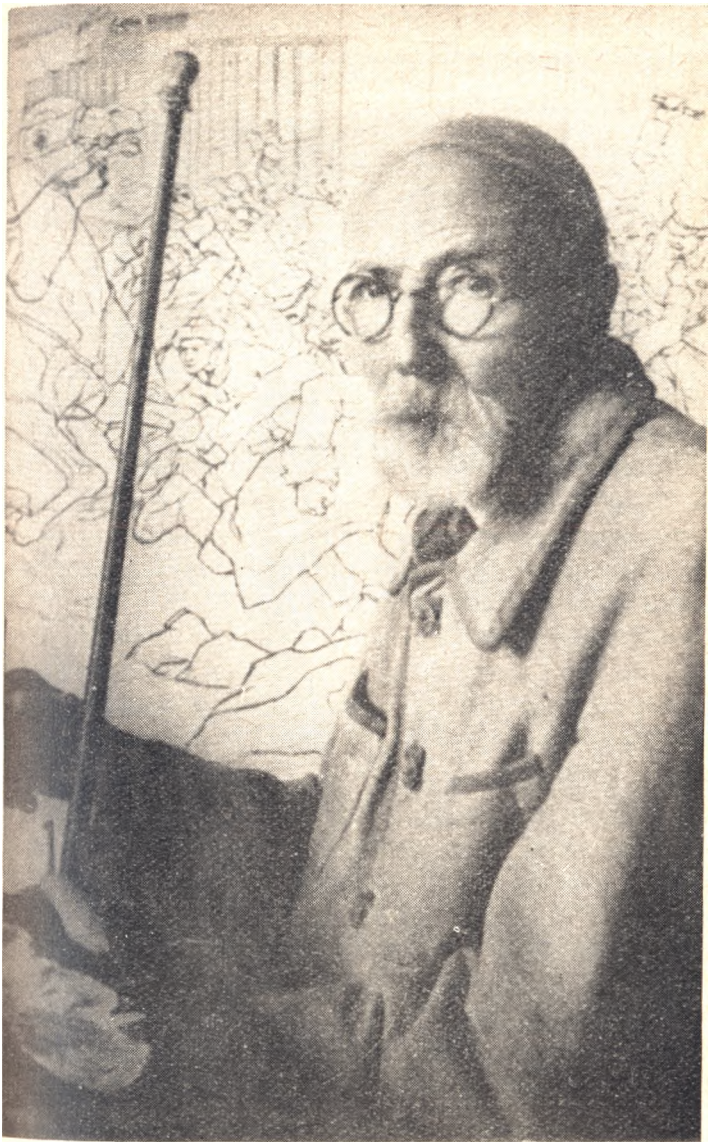
Tematem gawędy był ostatni najazd Turków na Ukrainę.

— Turcy — mówił Dmytro Iwanowicz — lewym brzegiem Dniepru podeszli do samego ujścia Samary i tutaj się rozłożyli obozem. Zaczęli ścinać drzewa i wiązać tratwy, by się przeprawić na prawy brzeg Dniepru. A Zaporozcy, którzy wtedy byli na brzegu Samary, cofnęli się i zasiedli w lesie, dając baczenie na to, co robią Turcy. Gdy odgadli zamiary Turków, podeszli oczekiwającami do ujścia i ściągnęli tutaj sporo łodzi. A następnie ciemną nocą przeprawili się na lewy brzeg Samary i z krzykiem rzucili się na śpiących Turków. Zrobiło się zamieszanie, Turcy przerażeni potracili głowy. A było ich ze trzy razy więcej niż Zaporozców. W przerażeniu setkami rzucali się do Dniepru, no i ginęli tam jak muchy. Tych zaś, którzy nie zdążyli rzucić się wpław, porąbano szablami. Turcy dostali od Kozaków takiego łupnia, że potem już nie wazyli się nas niepokoić. Działo się to właśnie tutaj, gdzie teraz łowimy ryby, jemy juskę i kaszę... — zakończył Jawornicki.

Rybak przysunął się bliżej do studentów, ciasnym kołem otaczających profesora. Z kolei Jawornicki opowiadał o historii powstania Katerynosławia, o pierwszych fabrykach i zakładach, o kolei, która połączyła Krzyworoże z Donbasem, o tym, kto i jakim sposobem odkrył krzyworoską żelazną rudę.

Nazajutrz nim wstało słońce siedział Macehora przy swoich wędkach. Cichutko podszedł do niego Dmytro Iwanowicz.





*Ukraiński malarz M. Samokysz w swojej pracowni*

— Dobry dzionek, rybaku — przywitał się.

— Dzień dobry. Czemu tak wcześnie, Dmytrze Iwanowiczu?

— Wcześnie? A czy można nocować przy Dnieprze, być w pobliżu Samary i przespać taki piękny poranek? Po cóż bym tutaj przyjeżdżał?

— Doskonale. I ja lubię wstać wcześnie, posiedzieć nad wędką.

— No, jak, bierze?

— Proszę zajrzeć do czółna, złowiłem co nieco.

— Oho, dobra rybka, widzę krasnopiórkę, płotkę, sandacza. Na juszkę już wystarczy — uśmiechnął się Dmytro Iwanowicz.

Profesor przysiadł się do rybaka i opowiadał mu, jakie ryby żyją w Samarze i w Dnieprze, jakie mają zwyczaje i wybiegi, radził, gdzie, czym i które ryby łowić. Macehora był doświadczonym wędkarzem, ale z uwagą słuchał uczonego.

— Wczoraj pan opowiadał o ostatnim najeździe Turków. A czy Tatarzy także się zapędzali nad Samarę?

— I owszem. Samara i stepy okoliczne z dawien dawna były ulubionym miejscem Kozaków. Wysłannicy Bohdana Chmielnickiego do cara, rokujący w 1654 roku w sprawie połączenia Ukrainy z Moskwą, stawiali warunek „aby hosudar zezwolił Kozakom tym wszystkim (tj. Samarą i jej użytkami) władać po dawnemu”. Toteż nic dziwnego, że okolice Samary często najeżdżali Tatarzy. W roku 1660 zapędzili się na Ukrainę, zagarnęli wielki jasyr, wzięli do niewoli wojewodę z ramienia Moskwy Szeriemietjewa, z Ukrainy rzucili się do zaporoskiej pałanki<sup>68</sup> nad Samarą, ale w pobliżu ujścia spadł na nich niespodzianie ataman koszo- wy Sirko, rozbił do szczętu i zwrócił wolność wszystkim brańcom. Starzy ludzie jeszcze do dziś powiada- ją: „Tutaj na lewym brzegu Samary, przy samym jej



Obraz M. Samokysza: „Zaporozhczycy po zwycięstwie”

ujściu, wśród pagórków, mnóstwo się poniewierało trupów ludzkich i końskich kości — krew ziemię przesiąkła na ćwierć arszyna”.

Macehora nieraz jeszcze spotykał się z Dmytrem Iwanowiczem, czy to nad Samarą i Dnieprem, czy też w siedzibie profesora.

### W ŚWIĄTYNI KULTURY

Co dzień o dziesiątej rano Dmytro Iwanowicz zjawiał się w muzeum. Z mieszkania do muzeum szedł zawsze tą samą trasą, przez plac Rewolucji Październikowej. Plac ten teraz jest wspaniałym parkiem, ale dawniej był prawie goły — bez drzew, bez kwiatów, porośły tylko kępkami trawy. Drogę tę powszechnie nazywano w Dniepropietrowsku drogą Dmytra Iwanowicza.

Już od rana jeden z dwóch dozorców muzeum czekał

przy wejściu, aby zawczasu otworzyć drzwi i powitać profesora. W ten sposób dawali wyraz swojego szacunku i przyjaźni do uczonego.

Przekroczywszy próg Dmytro Iwanowicz zdejmował kapelusz o szerokich kresach, witał się serdecznie, wchodził do gabinetu, wieszał płaszcz, stawał w kątku laskę. Potem rozpoczynał obchód muzeum. Lekkim krokiem, pilnie przypatrując się gablotom i znajomym eksponatom, dyrektor przechodził przez wszystkie sale. Zaglądając gospodarskim okiem w każdy kącik, robił uwagi, radził współpracownikom, gdzie najlepiej będzie wystawić nowy nabytek: tego pocieszy — tamtego pochwali, rzuci jakąś replikę, a następnie zadowolony wraca do swego gabinetu.

Z gabinetu często dobiegał huczny śmiech. To Dmytro Iwanowicz opowiadał komuś jakąś dykteryjkę.

Kiedys obchodząc muzeum Dmytro Iwanowicz zauważył, że jacyś dwaj młodzieńcy spacerują po muzeum w czapkach. Podszedł do nich i grzecznie powiedział:

— Zdejmijcie czapki, młodzieńcy.

Ale młodzi ludzie spojrzeli na starego pana z niechęcią, najwyraźniej dotknięci.

— A bośmy to w cerkwi? — odburknęli.

— Nie w cerkwi, ale w świątyni kultury, czyli więcej niż w cerkwi. Tutaj przechowuje się to, co w ciągu wielu wieków stworzył nasz naród. To jest historia, chłopcy, przed nią zdjąć czapkę to nie wstyd.

Jednakże pewni siebie młodzieńcy nie zdjęli nakrycia głowy. Dmytro Iwanowicz wrócił do gabinetu rozgniewany, ręce mu drżały.

— Co się stało, czemu pan taki rozgniewany? — zapytał któryś z pracowników.

— Jak mam się nie denerwować, skoro tam dwóch chłystków weszło w czapkach i ani myślą ich zdjąć. Jak można tak się zachowywać?





*Fronton Muzeum Historycznego w Dniepropietrowsku*

Pracownicy podeszli do winowajców i wytłumaczyli im, że rozmawiał z nimi dyrektor muzeum, Jawornicki, który czuje się bardzo obrażony ich zachowaniem.

Chłopcy stropili się, zdjęli czapki, poszeptali między sobą i zjawili się w gabinecie dyrektora.

— Proszę nam wybaczyć, panie profesorze, rzeczywiście nieładnie się zachowaliśmy.

— No, dobrze już. Powiedzcie mi, skąd jesteście?

— Ze wsi, niedawno zaczęliśmy pracować w Zakładach imienia Petrowskiego.

— A wiecie, co mówił o muzeum ów Petrowski, którego imię nosi wasz zakład? Powiedział mi podczas swej bytności w muzeum: „Dmytrze Iwanowiczu, ucicie naszą młodzież kultury. Muzeum to skarb, wielka zdobycz ludzkości. Do zabytków przeszłości trzeba się odnosić z wielkim szacunkiem...” A więc szanujcie siebie i nie obrażajcie mnie starego. Poradziłem wam dobrze, a wyście się zachowali jak dzikusy.

Chłopcy ponownie przeprosili profesora, podzię-

kowali mu i odeszli. Po tym zdarzeniu profesor kazał napisać wołowymi literami: „Zdejmować nakrycie głowy”.

## PAMIĘĆ O LUDZIACH I DRZEWACH

Podczas wielkiej wojny narodowej część zbiorów muzealnych wywieziono daleko w głąb kraju, ale większość przetrwała okupację na miejscu. Nieraz mieli na nie chętkę okupanci. Trzy osoby uratowały wtedy nagromadzone skarby przed faszystowską grabieżą, a byli to: czterdziestopięcioletni dozorca muzeum Mychajło Jakowicz Biły, jego małżonka Jaryna Namówna i sprzątaczką Paraska Kuźmówna Duż.

Z narażeniem życia chowali eksponaty w podziemiach muzeum oraz u swoich znajomych. Po wyzwoleniu Dniepropietrowska z rąk okupantów cenne zbiory zostały znowu wystawione.

Dozorca Mychajło Biły pilnuje muzeum już ponad trzydzieści lat, z czego dwanaście przepracował z Dmytrem Iwanowiczem.

Za czasów dykcji Jawornickiego muzeum odzwierciedlało swymi eksponatami przede wszystkim stepową Ukrainę. Aby zwiedzający mieli pojęcie o stepie, Jawornicki „przeniósł” tutaj część Dzikich Pól z czasów Siczy Zaporoskiej. Z lewej strony, gdy stoimy twarzą do muzeum, do dnia dzisiejszego szumi gęsta wysoka trawa, z której wycierają głowy kamiennych bab. A gdy wejść na nią zimą, wydaje się, że stąpamy po olbrzymiej poduszce przyprószonej śniegiem.

— Patrzenie — pokazywał zwiedzającym Dmytro Iwanowicz — taki dziki, nieprzejrany step był kiedyś na Ukrainie. Nie widzieliście go. Spójrzcie więc na ten kawałek ziemi porośnięty trawą, ze stojącymi na nim ka-

miennymi posągami, i wyobraźcie sobie dzikie rozłogi stepowej Ukrainy, gdzie fruwały chmary ptactwa i kryło się mnóstwo zwierzyny. Brakuje tu tylko Kozaka na czatach. Wjedzie Zaporozec w taką gęstwinę i tylko głowa mu górą wystaje. To dopiero była trawa!

Gdy już Dmytro Iwanowicz musiał się pożegnać z muzeum, wieczorami często zachodził do Białego, przynosił mu na kolację barszczu albo kaszy.

— Bierz, Mychajło, z pewnością jesteś głodny, a te suchary oddaj pieskowi, gdzież to on?

— Dziękuję, panie profesorze, że pan pamięta.

— Chciałbym ci coś powiedzieć, Mychajło... Czuję, że opuszczają mnie siły, słabnę, pewno śmierć się już zbliża... Pamiętajże, Mychajło, o co cię proszę. Kiedy umrę, pochowajcie mnie tutaj koło muzeum, na Dzikim Polu. Grób obsadźcie kwiatami, w głowach niech rosną dwa jawory, a napis ma być „Tu leży Jawornicki”. To wszystko. Zapamiętasz sobie?

Znacznie później, w kwietniu 1964 roku, przy grobie Jawornickiego ujrano młode drzewka. Posadził je jakiś nieznamy. Przyszedł, poprosił dozorcę o szpadel, wykopał cztery dołki i posadził cztery młode dąbki.

— Kto pan jest? — zapytał dozorca Biły.

— Jeden z tych, którzy na całe życie zachowali pamięć o Dmytrze Iwanowiczu. Podlewasz, dziadku, dęby, niech przypominają o naszej miłości do tego człowieka.

## TOAST NA DROGĘ ŻYCIA

Urok osobisty i talent gawędziarski profesora Jawornickiego znane były szeroko pośród studentów. Również młody medyk, Dmytro Jakymiuk, słysząc zachwyty kolegów postanowił zobaczyć go na własne oczy.

Nie od razu mu się to udało. Dwa razy był w muzeum, nie mogąc utrafić. To akademik był chory, to znów wyjechał do Kijowa na sesję Akademii Nauk. Za trzecim razem ujrzał starszego pana oprowadzającego wycieczkę i natychmiast przyłączył się do grupy.

Żywe, obrazowe opowiadanie, przeplatane dykteryjkami, zafascynowało młodzieńca. Zapragnął porozmawiać z uczonym — podejść do niego, ale nie śmiał tego uczynić w muzeum.

Kiedyś wiosną razem z kolegą przechodził koło domu Jawornickiego. Zobaczywszy go na ganku, siwowąsęgo, w niebieskich okularach, z szarym kotkiem na kolanach, studenci przeszli się kilka razy tam i z powrotem. Zauważył to profesor i zaprosił ich do siebie na herbatę.

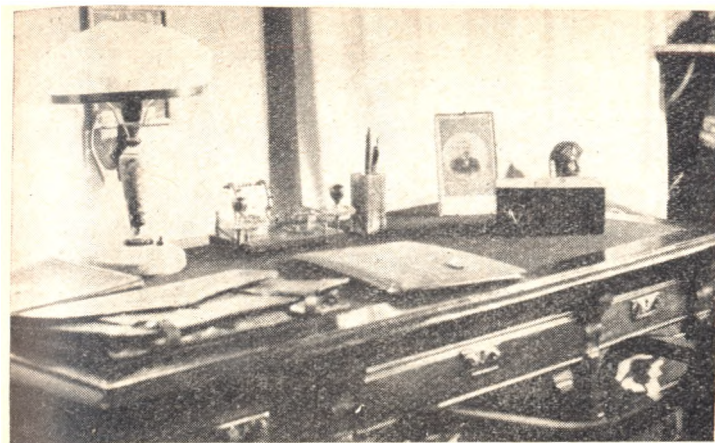
Potem nieraz jeszcze odwiedzali profesora. Pomagali mu przekopać ziemię w sadzie, spulchnić rabatki, poświęcać suche gałęzie, oczyścić z gąsienic drzewa owocowe.

Profesorowi szczególnie przypadł do serca Dmytruś Jakymiuk. Pewnego razu zaproponował mu, aby z domu akademickiego przeniósł się do niego na facjatkę.

— Jest tam niewielki pokój, łóżko, stół, a drzwi się otwierają wprost na park Szewczenkowski — będzie pan miał piękny widok.

Dmytruś nie mógł odmówić tak ponętnej propozycji. Przeniósł się do profesora i mieszkał tam przez dwa lata, aż do ukończenia Instytutu Medycznego.

Widywali się niejednokrotnie w ciągu dnia, a wieczorem Jawornicki zapraszał wychowanka do gabinetu, aby wspólnie poczytać świeże gazety, pisma i korespondencję, ponieważ po operacji usunięcia katarakty miał trudności z czytaniem i potrzebował pomocy.



*Gabinet w mieszkaniu D. Jawornickiego*

Dmytro nie nudził się na nowym mieszkaniu. Miał do dyspozycji zasobną bibliotekę profesora, toteż wertował całe stopy książek.

Z dzieł Jawornickiego najbardziej mu się podobały „Porohy dniewrowe”.

— Język! — mówił. — Żywy, soczysty ludowy język! Czemuż to nasi literaci nie piszą takim językiem!

Dmytro Iwanowicz z sympatią spojrział na Dmytrusia.

— Język rosyjski znam nie gorzej niż ukraiński. Ale tę książkę dopiero za władzy radzieckiej mogłem napisać po ukraińsku. Za caratu nie dano mi pisać o Zaporozcach w języku ojczystym. Dlatego historię Kozaków zaporoskich napisałem po rosyjsku. Jakież to było przykre. Skarżyłem się nawet Lwu Tołstojowi, by ujął się za nami w ministerstwie, rzekł swoje ważne słowo. A „Porohy dniewrowe” pisałem, gdy serce i dusza były wolne, pewnie dlatego książka podobała się panu.

Za „Porohy dniewrowe” Dmytro Iwanowicz otrzymał na Światowej Wystawie Książki w roku 1930 drugą na-

grode — szesnaście tysięcy rubli. Wypłacono mu ją częściowo w gotówce, resztę w bonach towarowych.

Okazało się później, że gotówkę wydał na zakup eksponatów. Pieniądze rozdawał także, ku niezadowoleniu żony, kobziarzom, nauczycielom, potrzebującym włościanom, ubogim studentom.

W wolnych chwilach Jawornicki opowiadał wychowankowi wspomnienia ze swego życia.

— Pewnego razu pojechałem do ziemianina Brodzkiego, który mieszkał koło stacji Erastówka i uzyskałem pozwolenie rozkopania na jego stepie trzech mogił. Wieczorem wyszedłem obejrzeć jedną z nich, aby rano rozpocząć kopanie. Pospacerowałem, obejrzałem wszystko jak należy i wróciłem do mieszkania. O moim przyjeździe dowiedziało się dwóch pijaków, rozeszła się bowiem fama, że przyjechał Jawornicki i będzie wydobywać skarby z mogił. Zaczaili się w krzakach i zaznaczyli sobie tę mogiłę. Z nadejściem nocy wzięli łopaty i dalejże szukać skarbu. Rozgrzebali mogiłę, aż tu nagle coś jak nie prychnie! W kopaczy jakby grom trzasł. Siedzą w mogile na wpół żywi ze strachu. Tak się przerazili, że do samego rana przesiedzieli bez ruchu. O świcie ten śmielszy wydostaje się na paluszkach i wygląda z mogiły. No i co? Oprócz gniadej kobyły nikogo przy mogile nie było. Pała się w pobliżu i od czasu do czasu prychała, a poszukiwacze zamierali ze strachu. Tak to się zdarza, synku!

Gdy w roku 1936 Jakymiuk skończył Instytut, Dmytro Iwanowicz kazał mu zaprosić kilku przyjaciół i urządził dla nich domowe przyjęcie. Młodzi medycy dobrze pamiętają toast, jaki wzniósł Jawornicki:

— Zważcie sobie, chłopaki, że chociaż macie w kieszeni dyplomy, nie jesteście jeszcze lekarzami. Staniecie się nimi, kiedy z głową pograżycie się w życie. Wasza nauka w Instytucie to tylko kanwa, na której ściegi

będziecie haftować przez całe życie. Pracujcie zgodnie z waszym powołaniem, pracujcie, póki w piersi bije serce. Stać na straży zdrowia ludzkiego to święta sprawa, pamiętajcie o tym zawsze. W każdej pracy rzecz zasadnicza to umiłowanie swego zawodu. Poświęćcie mu wszystko: rozum, serce, miłość i wiedzę. Bądźcie skromni i przystępni dla prostych ludzi — to sprowadzi na was honory, sławę i szacunek...

Nazajutrz Jakymiuk odjechał do Symferopola odbyć służbę wojskową. Odtąd rozpoczęła się korespondencja Jawornickiego z wychowankiem, nie przerwana aż do choroby, która zmogła profesora i powaliła go na łóżko.

Rozpoczęła się wojna. Hitlerowcy okupowali Dniepropietrowsk. Z domu nieżyjącego już Jawornickiego wypędzili jego rodzinę. Dobrali się do biblioteki. Darli cenne książki, rękopisy, listy do uczonego, palili tym wszystkim w piecu. Siostra małżonki Jawornickiego piła do Jakymiuka 29 kwietnia 1944 roku:

*Dotąd nie możemy się pogodzić ze śmiercią Serafymy (żony Jawornickiego), a wszystko przez tego przekłętego Hitlera. Warunki życia mieliśmy okropne: sroga zima, ogromne mrozy, nie było opału i jedzenia. Niemcy ograbili nas do szczętu. Od lutego 1942 roku nie zostawili nas w spokoju, wypędzili z domu. Gdyby Dmytro Iwanowicz wstał z grobu i spojrzął na swój dom, umarłby po raz drugi. Niemcy zniszczyli werandę, a zamiast niej zrobili jakąś niezgrabną nadbudowę, z której ostrzeliwali miasto. Wyrzucili schodki prowadzące do facjatki. Wszystkie malowidła zdobiące budynek podbijali lub zatynkowali. Na miejscu kafelkowej podłogi wykopali w piwnicy dół. Szyby w oknach wybite, żelazna brama znikła, w mieszkaniu wszystko zakopcone, bo palili w domu papiery, sufity zrujnowane, łazienka zburzona, klamki i okucia przy drzwiach zerwane...*

## HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Fedor Jakymowicz Cyhanienko, mistrz-wytwórca bandur, na koncercie ukraińskiej kapeli kobziarzy w Dniepropietrowsku usłyszał słowo wstępne Jawornickiego. Prelegent powiedział na zakończenie, że kto by chciał więcej się dowiedzieć o dziejach kobzy, temu chętnie udzieli bliższych wyjaśnień u siebie w domu.

Ośmielony tym Cyhanienko odwiedził profesora, zaspokoił swoją ciekawość, a także zademonstrował pięknie wykonaną przez siebie kobzę. W czasie rozmowy zapytał profesora, co to za kobziarz w czamarze, którego zdjęcie wisi nad biurkiem.

— Jest to — odpowiedział Dmytro Iwanowicz — kobziarz Iwan Jowycz Kuczuhura-Kuczerenko. Poznałem się z nim chyba wiosną 1906 roku. Przechadzałem się po rynku katerynosławskim, rozglądając się, czy przypadkiem nie trafi mi się coś ciekawego dla muzeum. Raptem usłyszałem śpiew kobziarza. Zbliżyłem się i widzę siedzącego na stołku młodego jeszcze człowieka bez czapki, z wąsikami i bródką, uczesanego z przedziałkiem. Na ziemi przy nim leży czapka z miedzianymi. Posłuchałem jednej, drugiej pieśni i spodobały mi się. Głos z natury wspaniały, ale trzeba nad nim jeszcze poważnie popracować. Na moje zaproszenie spędził u mnie trzy dni. Okazało się, że urodził się w 1878 roku we wsi Merefa, powiatu bohoduchowskiego na Charkowszczyźnie. Od dziecka los go ciężko doświadczał: dziewięcioletniego odumarł go ojciec, przy matce została gromada drobiazgu. Z tej nędzy i przebytej w dzieciństwie jaglicy na całe życie wzrok miał zepsuty, ledwie rozróżniał ludzi i drogę przed sobą, dlatego przeważnie chodził z przewodnikiem. Grać na bandurze nauczył się jako dwunastoletni chłopak, a natura obdarzyła go wspaniałym barytonem.



Wędrownym śpiewakiem został od 1900 roku, gdy tylko poczuł swoje powołanie. Wędrował najpierw po Ukrainie, a potem także po Rosji. Słuchano jego pięknego śpiewu w Kijowie, Charkowie, Połtawie, Mińsku, Katerynosławiu, a później w Moskwie, Petersburgu, Rostowie. Wydawał mi się kosztownym diamentem, który dopiero po oszlifowaniu zagra wszystkimi kolorami. W owym czasie jeden tylko człowiek mógł pomóc kobziarzowi, by stał się prawdziwym artystą: głośny malarz Panas Heorhijowicz Słastion, który nie tylko malował, ale także grał i śpiewał. Napisałem do niego z prośbą o pomoc dla uzdolnionego śpiewaka, dałem kobziarzowi list, do kieszeni włożyłem mu pieniądze na bilet do Mirhorodu, gdzie wówczas mieszkał Słastion, w chusteczkę zawiązałem prowiant na drogę i — szczęśliwej podróży!

Słastion ucieszył się listem przyjaciela i życzliwie przyjął kobziarza. Po wysłuchaniu paru jego pieśni zgodził się go poduczyć.

Po trzymiesięcznej edukacji śpiewak przyjechał do Dmytra Iwanowicza, aby mu wyrazić swoją wdzięczność.

— Powiadajcież, Kozacze, czy nauka przyniosła wam korzyść? — pytał Jawornicki.

— O, tak, ojcie, dużo mi dała. Tylko z początku było ciężko, ale potem już lżej.

— Ciężko było z początku? Dlaczego?

— A bo tylko „hej-hej” przez cały tydzień. Myślałem sobie, że hejchnąć można, jak się chce, a okazuje się, że nie. Panas Heorhijowicz, dzięki mu za to, nauczył mnie śpiewać to „hej” aż w pięciu modulacjach.

Pytam go się: „I na cóż to?”, a on mi na to: „Od tego, kochaneczku, wiele zależy; słuchacze wraz ocenią, co za śpiewaka mają przed sobą.” Proszę tylko mnie teraz posłuchać.

Kozak uderzył w struny i tak wyciągnął „hej-hej”, aż Jawornickiemu łzy stanęły w oczach.

Ojcowska opieka Dmytra Iwanowicza nad kobziarzem na tym się nie skończyła. Postanowił dopomóc mu materialnie. Uzyskał u gubernatora zezwolenie na koncert i ułożył się z administracją teatru, że 50% wpływów otrzyma młody kobziarz.

Na koncert przybyło całe miejscowe ziemiaństwo z gubernatorem na czele, a także przedstawiciele inteligencji pracującej i prości ludzie. Z afiszów wiadano, że słowo wstępne wygłosi profesor Jawornicki. Bilety szybko rozprzedano, teatr był wypełniony do ostatniego miejsca. Dmytro Iwanowicz sam przyprowadził pod rękę kobziarza do teatru.

Ale pierwsza pieśń *Dumy moje* nie porwała słuchaczy. Zmartwił się Dmytro Iwanowicz. „Co się stało z Kuczerenką?”

Podszedł do kobziarza i pyta:

— Co się z wami stało, Iwanie Jowyczu, że tak niepewnie śpiewacie?

— A bo tu w pierwszym rzędzie siedzi chyba gubernator. Wybałuszył oczy i nie spuszcza ich ze mnie. Znieść nie mogę jego diabelskiego spojrzenia, zaleli mi już sadła za skórę różni gubernatorzy.

— To nie trzeba patrzeć na niego. Patrzcie na mnie, siedzę w łoży na prawo.

Gdy Dmytro Iwanowicz wrócił na swoje miejsce, kobziarz spojrział na niego, zobaczył znak, jaki Jawornicki dał mu chusteczką, i pełnym głosem zaśpiewał swoją ulubioną *Dumę o burzy na Czarnym Morzu*. Pieśń podbiła słuchaczy burzliwą muzyką i cudownym brzmieniem lirycznego barytonu. Huczne oklaski wynagrodziły Jawornickiemu jego zachody.

Kobziarz zachęcony powodzeniem coraz więcej zapалу wkładał w śpiewane jedna za drugą pieśni: *Hej,*

*huk, matko, huk; Zorzo moja wieczorna; W Carogrodzie na ryneczku i inne.*

Trudno oddać wzruszenie słuchaczy. — Wykonanie jego — opowiadał Dmytro Iwanowicz — było zniewalające, po każdej pieśni publiczność żądała bisów.

Po koncercie administrator teatru wręczył śpiewakowi kopertę, w której znajdowało się pięćset rubli. Tak wielkiej sumy kobziarz jeszcze nigdy nie widział. Drżącymi rękoma ujął kopertę i złożył głęboki ukłon nie dyrektorowi, lecz Jawornickiemu.

Wkrótce kobziarz wyruszył na wędrowkę do Galicji. Gdy po dwóch latach zjawił się u profesora, ubrany był w granatową czamarkę, spodnie, mocne buty, a przez ramię zwisała mu kobza.

— Opowiadajcież, jak się wam teraz powodzi?

— Jak widzicie, ojczy. Jestem dobrze ubrany i obyty, kupiłem sobie domek z ogródkiem i po ludzku żyję. Już mnie teraz nie zobaczą na bazarze z czapką na miedziaki. Dzięki panu jak bym się po raz drugi urodził! Przyjechałem raz jeszcze podziękować za wszystko.

— Cieszę się całym sercem, że się tak wszystko obróciło na dobre. Ale teraz proszę o piosenkę od serca.

Srebrzyście zadzwoniły struny, dźwięcznie zabrzmiał liryczny baryton. Przybiegli do ogródka sąsiedzi, zesłi się pracownicy muzeum.

Po skończonym koncercie Jawornicki uściskał go i ucałował.

— Idźcie teraz, Iwanie, z naszą śliczną ludową pieśnią po całej naszej ziemi, niechaj waszą kobzę, wasze dumy, wasz głos usłyszą wszyscy, szanujący nasz naród.

I wędrował Kuczuhura-Kuczerenko po wioskach i miastach, po zakurzonych gościńcach stepowych. Pieśń jego to czuła i łagodna, to znów gniewna, głęboko poruszała słuchaczy.

Długo grał w Kaniowie, gdzie chciał złożyć hołd mogile Szewczenki i dokąd zawsze przybywało dużo ludzi. Z ust jego nie schodziła pieśń *Dumy moje, dumy*. Później sam Kuczuhura ułożył kilka pieśni, a jedna z nich, *Na wysokiej skale* poświęcona była pamięci Tarasa Szewczenki.

Kuczuhura miał dwie kobzy, jedną nastrojoną minorowo, drugą durowo. Obydwie wykonane z dobrze wysuszonej gruszy miały bardzo piękny ton.

Kobziarz ten miał bardzo bogaty repertuar — ponad 500 pieśni różnego rodzaju. Znamcy utrzymują, że nie było równego mu wykonawcy pieśni ludowej. Nic dziwnego, że on właśnie, jako jeden z pierwszych, otrzymał tytuł ludowego artysty USRR. Wierny syn ludu, wśród ciemnej nocy caratu pieśnią budził pracujące masy do walki o lepsze jutro. A to, że stał się niedoścignionym wykonawcą dum i pieśni ludowych, stanowi wielką zasługę Jawornickiego.

## ROBOTNIK ARTYSTA

Stary rybak Iwan Iwanowicz zręcznymi smagłymi rękami chwycił za wiosła. Śpieszno mu było przybyć punktualnie na dziesiątą do Potiomkinowskiego parku (teraz park im. Szewczenki). Czekał tutaj na kogoś. Niezadługo nadszedł energiczny mężczyzna w białym ubraniu, o pięknych, nieco zwisających wąsach. Na głowie miał słomkowy kapelusz, nosił wyszywaną ukraińską koszulę. Wyglądał na lat pięćdziesiąt.

W czasie jednej z przejażdżek łódką po Dnieprze, zbliżając się do Szewskiej Wyspy, Dmytro Iwanowicz usłyszał czyjś śpiew w gęstwinie. Nieznany śpiewak czysto i donośnie wyciągał *Patrzą ja na niebo*.

Wyszedłszy na brzeg Jawornicki skierował się w

stronę gromadki ludzi. Dobiegła stamtąd wesoła rozmowa, pieśni, gra na harmonii. To robotnicy wybrali się na łono natury.

— Łowicie ryby czy tak się tylko zabawiacie? — zapytał profesor.

— Nałowiliśmy już, teraz gotujemy juszkę.

Do juszki zaproszono i Dmytra Iwanowicza. Dziękując za zaproszenie, powiedział:

— Widać, że jesteście ludzie dobrzy i gościnni. A który to z was śpiewał *Patrzę ja na niebo*?

Wszyscy spojrzeli na Dziabenkę.

— To pewno Hordij Fedorowicz! — zawołał ktoś wesoło.

— Dobrze śpiewasz, Kozacze! A może byś jeszcze coś zaśpiewał?

Hordij, nieco speszony, rozejrzał się po innych.

— A może wszyscy razem?

— Jak wszyscy, to wszyscy — Jawornicki wziął w swe ręce inicjatywę. — Zaśpiewajmy *Ryczy i jęczy Dniepr szeroki*.

Chórem podjęli:

Ryczy i jęczy Dniepr szeroki,  
Wiatr wyje pędząc chmury w dal,  
Ku ziemi wierzby gnie wysokie  
I wzdyma góry groźnych fal.

A błądy miesiąc o tej porze  
Między chmurami kryć się zwykł —  
Jak łódź na niespokojnym morzu  
To się wynurzał, to znów niął.

Jeszcze noc. Nigdzie żywej duszy.  
Trzeci kur milczy — wstrzymał czas.  
Puszczyki tylko kwilą w głuszy  
I jesion skrzypi raz po raz.

Śpiewał tenorem także Dmytro Iwanowicz. Lecz najbardziej wybijał się w chórze piękny baryton Dziabenki. Jawornicki uważnie wsłuchiwał się w ten głos, wpatrywał się w męską, urodziwą twarz ślusarza i myślał: „To talent, prawdziwy talent!”

Przy pożegnaniu zaprosił Dziabenkę do muzeum.

Którejś niedzieli Hordij Fedorowicz przybył do profesora.

— Nie domyślacie się, po co was zaprosiłem?

— Skądże, wcale się nie domyślam.

— Przyjechał tutaj zespół znanych artystów ukraińskich, Tobilewiczów. Chciałbym, żebyście się przyłączyli do ich zespołu. Co wy na to? Z waszym głosem!

Ucieszył się Hordij, ale i nastraszył. „Tutaj, w parowozowni, szybko się zaprzyjaźniłem z robotnikami, ale jak to będzie wśród artystów?”

— Macie chęć czy nie macie? — nalegał uczony.

— Miałbym, Dmytrze Iwanowiczu, ale się boję. Przecie tam trzeba podróżować, występować na scenie. A jeżeli coś się nie uda, to wygwizdzą i precz ze sceny!

— Et, przyjacielu! Strach ma wielkie oczy. Co z was za Kozak, że się ludzi boicie?

— No, dobrze, co będzie, to będzie, spróbuję!

Nazajutrz Dmytro Iwanowicz poznał Hordija Dziabenkę z Karpenką-Karym, koryfeuszem sceny ukraińskiej. Po rozmowie z nim Dziabenko porzucił warsztaty kolejowe i obrał inną drogę życiową — jął służyć pieśniami narodowi.

W zespole przebywał Dziabenko parę lat, jednakże nie poszczęściło mu się: przeziębził się, zachorował i przerwał swoje wędrówki. Wrócił do Katerynosławia i znowu pracował jako ślusarz na kolei. Dowiedziawszy się o tym Jawornicki zaprosił go do siebie. Uczony nie mógł zaznać spokoju na myśl, że taki talent się mar-

nuje! Po namyśle znalazł ślusarzowi zajęcie zgodne z jego skłonnościami.

Już przed pierwszą wojną światową nurtowała Jawornickiego myśl stworzenia amatorskiego teatru objazdowego. Ale trzeba było znaleźć odpowiedniego człowieka: organizatora, kierownika i artystę w jednej osobie. A Dziabenko posiadał te zalety.

— Wie pan co — powiedział Dziabence — proszę sobie dobrać odpowiedni zespół i stawajcie do pracy. Prawdziwy ludowy teatr to wielka rzecz!

W ciągu pół roku powstał amatorski zespół artystyczny; znalazło się w nim wielu kolegów Dziabinki z parowozowni. Świadkowie opowiadają, że Dmytro Iwanowicz własnym kosztem wyposażył zespół w dwanaście kostiumów, zdobył gdzieś czerwone i zielone skórzane buty, kolorowe pasy jedwabne, spódnice samodziałowe.

Ta hojna pomoc zachęciła robotników-amatorów. Pierwsze ich występy odbyły się w wioskach Katerynosławszczyzny i cieszyły się niezwykłym powodzeniem.

W roku następnym, gdy zespół „zdobył już ostrogi”, Dmytro Iwanowicz zaproponował mu wyjazd na Kubań.

Na Kubaniu kierowany przez Dziabenkę młody teatr objazdowy wystawił „Swaty na Honczarówce”, „Sto tysięcy”, „Mariusię Bohusławkę”, „Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje”.

Repertuar teatru z roku na rok się wzbogacał. Gdy zespół powtórnie przybył na Kubań, miał już w repertuarze „Zaporożca za Dunajem” i „Natałkę-Połtawkę”. Występując na scenie Hordij Dziabenko używał już pseudonimu teatralnego „Hamalija”<sup>69</sup>.

Zespół jeździł na występy latem. Zimą teatr zawieszal działalność, a artyści wracali do swoich dawnych zajęć. Sam Dziabenko znowu pracował w parowozowni jako ślusarz. I tak co zima, dopóki zdrowie mu na to pozwalało.

Odwiedziwszy go pewnego razu w jego mieszkaniu, Jawornicki przekonał się, że Dziabenko, bez reszty oddany teatrowi, zaniedbuje własne życie. Malutka wilgotna chatynka „na kurzych nóżkach”, zimna i nieprzytulna, podczas deszczu trzeba podstawić miednice, miski i wiadra, bo sufit w paru miejscach przecieka.

Wszystko to sprawiało przygnębiające wrażenie. Hordij tłumaczył się, że chciałby zbudować sobie domek, ale jeszcze go nie stać.

Jawornicki zaprosił go do siebie. Wręczając mu plik banknotów profesor rzekł:

— Proszę wziąć te pieniądze i zbudować sobie domek, ale sza! nikomu ani słowa o tym zasiłku!

Stropił się Dziabenko, ze wzruszeniem zaczął dziękować.

W niedługim czasie zbudował sobie domek, do którego przeniósł się z rodziną i mieszkał w nim do roku 1932.

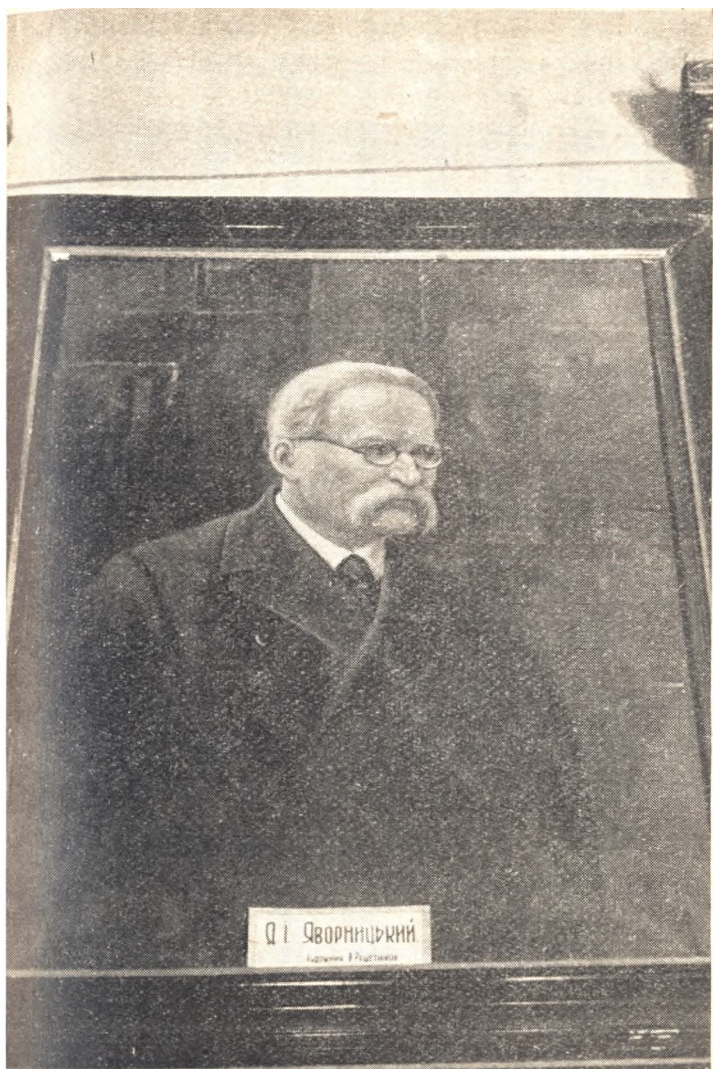
### Z KATEDRY PŁYNIE ŚPIEW

Do grona znajomych i przyjaciół Dmytra Iwanowicza należał także profesor uniwersytetu w Dniepropietrowsku Aleksander Bellegarde. Miał lat trzynaście, gdy po raz pierwszy usłyszał żywe słowo znanego historyka. Oto jego wspomnienia:

W jesieni 1915 roku, gdy wojna rozgorzała na dobre musiał jako trzynastoletni chłopiec opuścić rodzinną Litwę. Rodzice jego osiedli w Katerynosławiu. Bellegarde został przyjęty do trzeciej klasy gimnazjum. W marcu następnego roku zetknął się z profesorem Jawornickim.

W gimnazjum ogłoszono, że w niedzielę o 10 rano odbędzie się wykład profesora uniwersytetu moskiew-





*Portret D. Jawornickiego — mal. W. Rieszetnikow*

skiego D. I. Jawornickiego, który będzie mówił o ludowych muzykantach-kobziarzach, a towarzyszyć mu będzie kobziarz Kuczuhura-Kuczerenko.

Na oznaczoną godzinę sala się wypełniła po brzegi. Drzwi się otworzyły, wszedł inspektor gimnazjum Aszewski, a z nim profesor Jawornicki, prowadzący pod rękę ślepego kobziarza w granatowym żupanie. Wszyscy powstali.

Przy stole stały trzy krzesła. Pośrodku zajął miejsce profesor Jawornicki, mając po lewej ręce inspektora, a po prawej kobziarza.

— Młodzi przyjaciele! — zwrócił się do uczniów profesor. — Dzisiaj nie będzie tutaj mowy o fizyce, chemii czy matematyce. Jestem historykiem i opowiem wam, jak powstała i rozwijała się sztuka ludowa. Krótko opowiem też o historii kobzy, a kobziarz, którego przyprowadziłem, wykona kilka pieśni. Struny kobzy przekazują odgłosy wieków, a jednocześnie odsłaniają najtajniejsze ludzkie uczucia. Kobziarze, niewidomi jak Homer, śpiewali przeważnie historyczne pieśni i dumy, układali także sami nowe pieśni, które łatwo znajdowały drogę do ludzkich serc. Wędrując z kijem w rękę, prowadzony przez przewodnika, niósł kobziarz swoje mądre wieszce dumy do wsi i miast. Szanowano za to i poważano kobziarzy. Twórczością swoją wzbogacili naszą kulturę...

Po małej pauzie Jawornicki poprosił kobziarza, by uderzył w struny. Ten wziął kilka akordów, uniósł czoło i w sali rozległa się pieśń o dziewczynie-brance, Marusi Bohusławce, a potem jeszcze trzy pieśni — każda pełną szczerości i ciepła.

Ten wykład-koncert sprawił, że w świadomości młodzieży inaczej zabrzmiały ludowe pieśni i dumy, znane dotąd uczniom tylko ze skąpych wzmianek „Historii literatury rosyjskiej” Sypowskiego. Ten koncert od-

słonił duszę ludu ukraińskiego, opowiedział o odwiecznej walce Ukrainy przeciw najeźdźcom i ciemnościom.

Minęło parę lat. Bellegarde został studentem biologii w katerynosławskim Instytucie Oświaty Ludowej. Były to czasy, kiedy audytoria wyższych uczelni zapełniła młodzież robotnicza i wiejska. Chłopcy i dziewczęta chciwie garnęli się do wiedzy. Nic to, że w audytoriach często panował chłód, że nieraz siedziało się w płaszczu z postawionym kołnierzem i chuchało w rękę. Młode serca rozgrzewało namiętne pragnienie zdobycia wiedzy.

W Instytucie Oświaty Ludowej pracowali wtedy wybitni uczeni, jak Ł. W. Pisarzewski, W. P. Karpow, H. O. Hruzyncew. Na wydziale historycznym profesor Jawornicki wykładał historię ziem tutejszych.

Student-biolog Bellegarde poszedł także posłuchać Jawornickiego. Trafił na wykład „Historyczne miejscowości przy porohach dniewprowych”.

Był to właściwie nie wykład, lecz żywa, niewymuszona gawęda. Na katedrze siedział mądry siwowąsy dziadunio i opowiadał o dawnych dziejach, jak gdyby sam był ich uczestnikiem.

Słuchacze pochłonięci byli wykładem, zwłaszcza że wykładowca opowiadając o zdarzeniach historycznych ilustrował swoje słowa podaniami, dumami i cytatami z pieśni. Czasami jakby zapominał, że przemawia z katedry i zaczynał nucić. Opowie na przykład o wyprawie Sirki i zaraz zaśpiewa o niej dwie, trzy zwrotki pieśni ludowej.

Gdy po tym wykładzie Bellegarde zwiedzał porohy, patrzył na nie innymi oczyma. Ujrzał w nich nieśmiertelnych świadków wspaniałej i tragicznej historii Ukrainy.

Po ukończeniu studiów Bellegarde zaczął pracować nad rozprawą doktorską o lasach na południowym

wschodzie Ukrainy. — Należało zapoznać się z przeszłością leśnych oaz, rozsianych w niezmiernych stepach.

Gdy zwrócił się do Jawornickiego, ten wskazał mu potrzebną bibliografię i udzielił wskazówek co do układu rozprawy oraz systematyzacji i krytyki zebranego materiału. Między innymi dał młodemu uczonemu własną książkę „Swobody Kozaków zaporoskich”.

Znajomość z tą książką wiodła nieraz Bellegarde'a w dolinę Samary. Szczególnie malownicza jest Samara w miejscu, gdzie wpada do niej Wowcza. Okolice te Jawornicki często wymienia w swojej książce. W dolinę Samary Zaporozców pociągały wspaniałe lasy, soczyste łąki, rybne strumienie. A studenci, przyszli botanicy i zoolodzy, tutaj przeprowadzali i przeprowadzają swoje badania.

Skończywszy rozprawę Bellegarde dał jako motto do rozdziału „Bajraczne lasy” słowa Jawornickiego: *Bajrak od turańskiego wyrazu bair — zboczce; tak nazywano nieduży, ale z grubych, silnych drzew złożony las, przeważnie rosnący w jarach i na zboczach jarów.*

Opowiadając swoim studentom o pięknie i bogactwie ojczystego kraju, Bellegarde zawsze serdecznie wspominał postać Dmytra Iwanowicza, który sam umiłował gorąco i innym zaszczepiał miłość do zabytków historycznych i przyrody ojczystej.

#### A TO CI DZIADEK!

W każdy poniedziałek muzeum było zamknięte, ale Dmytro Iwanowicz w ten dzień również tutaj przychodził, ażeby spojrzeć gospodarskim okiem, czy wszystko w porządku.

Zlustruwawszy tak pewnego dnia muzeum, tylnymi

drzwiami wyszedł na dwór i usiadł sobie na krześle przy ganeczku. Skromnie ubrany, z laską w ręku i w czapce na głowie, siwowąsy, wyglądał na dozorcę. Siedział przy nim student — dziś naukowiec — P. H. Wynnyczenko, który też później opowiadał o tym wydarzeniu.

Spadł właśnie pierwszy wiosenny deszczyk, wyjrzało słońce. Dmytro Iwanowicz siedział zamyślony, jakby słuchał, jak pękają pączki na klonach. Koło niego zwinęty w kłębek leżał pies Żuczek. Skrzypnęła furtka. W podwórze weszły dwie starsze kobiety. Obejrzały kamienne baby i posąg Katarzyny II, podeszły do Jawornickiego, przywitały się. Przysiadły obok i narzekają:

— Jaka szkoda! Raz na tyle lat przyjechałyśmy do muzeum, a tu jak na złość zamknięte.

— A panie z daleka? — zapytuje Dmytro Iwanowicz.

— Z Nikopola.

— Mamy i na dworze muzeum, proszę spojrzeć, ile tutaj kamiennych bab!

— Widziałyśmy to już. Bardzo chciałybyśmy wejść do środka, dziadku, a może byście tak po cichu nas wprowadzili? Podziękujemy za to.

Dmytro Iwanowicz uśmiechnął się pod wąsem, ale wszedł w rolę dozorczy i powiada:

— Jakoś mi niezręcznie. Jeżeli wpadnie władza, to dostanę za swoje, a panie też będą miały przykrość.

— Nie bójcie się, dziadku, władzy. Kiedy muzeum zamknięte, władza siedzi w domu, po co by miała tutaj przychodzić.

Jedna z kobiet wyjęła portmonetkę, pogrzebała w niej i wyjęła pieniądze.

— Weźcie sobie, dziadku.

— A cóż to?

— Macie trzydzieści kopiejek na piwo.

Kryjąc uśmiech, Dmytro Iwanowicz tłumaczył się:

— Już na piwo, kiedy jeszcze nic nie pokazałem. To może już później... No to chodźmy, przeprowadzę panie do muzeum.

Kobiety uradowane poszły za „dziadkiem”.

— Tutaj proszę zdjąć płaszcze i kalosze — pokazał w przedpokoju wieszak i miejsce na kalosze. Kobiety powiesiły swoje okrycia, a kalosze niedbale zostawiły na środku. Jawornicki w milczeniu pochylił się, podniósł kalosze i starannie ustawił je w kąciuku. Właścicielki zauważyły to, ale się nie odezwały. Proste i grzeczne obejście Dmytra Iwanowicza nie wzbudzało żadnych podejrzeń. Kobiety zatrzymały się przy lusterku, a Jawornicki tymczasem wyjął z kieszeni klucze i otworzył muzeum, po czym rozpoczął oprowadzanie. Trwało to ze dwie godziny. Objasnienia dawał jak zawsze ciekawe, źródłowe i przeplatane żartami.

— Skąd wy to wszystko wiecie? — pyta jedna z kobiet.

— A bo z dawna już tutaj pracuję, tom się nasłuchał, napatrzył i spamiętałem sobie to i owo.

— Doskonale wyjaśnacie. A czy to tutaj pracuje profesor Jawornicki? Jak by to można go zobaczyć? Czy on bywa w muzeum?

— Bywa codziennie. Stoi właśnie przed wami.

Kobiety wymieniły spojrzenia, zmieszały się, poczerwieniały i zupełnie straciły kontenans.

— A myśmy byle jak rzuciły kalosze, obiecałyśmy dać na piwo! I to komu, Jawornickiemu! Niech nam pan wybaczy! Nie zorientowałyśmy się, z kim rozmawiamy. Z całego serca dziękujemy za oprowadzenie po muzeum, nigdy tego nie zapomnimy.

Pożegnały się kobiety i wychodząc jeszcze się zdumiewały.

— A to ci dziadek!

## DOBRY SĄSIEDZI

Podczas rewolucji i za pierwszych lat władzy radzieckiej cały plac przed budynkiem Dmytra Iwanowicza zarósł dzikimi chwastami. Podówczas bowiem nikt nie hodował kwiatów ani nie sadił dekoracyjnych drzew, jak to się czyni teraz. W roku 1921 Dmytro Iwanowicz naradził się ze swoim sąsiadem Łarywonem Podołynnym i postanowił zasiać na placu proso.

— Tylko czym będziemy orać? — zapytał Podołynny.

— Jak to czym? Wołami i pługiem.

— Tak, ale skąd je wziąć?

— Nie trzeba się martwić, ja to już załatwiłem.

Dmytro Iwanowicz zwrócił się do katerynosławskiego komitetu aprowizacji i już nazajutrz przekazano mu do dyspozycji na cały dzień dwie pary tęgich wołów, pług i bronę. Dmytro Iwanowicz sam chodził za pługiem, ziemię zorał, a potem przewiesił sobie przez ramię torbę z prosem i obsiał zbronowaną rolę.

Zebrane ziarno podzielił w taki sposób, że część dał sąsiadowi, mniejszą część zostawił dla siebie, a resztę po przesianiu przez sito oddał do obwodowego szpitala na wyżywienie dla chorych, ubogich wdów i sierot.

— Ojciec mój — wspomina syn Podołynnego — w sadku, który wyhodował, miał sześć uli. Co niedziela Dmytro Iwanowicz przychodził do nas i nie mógł się nacieszyć pasieką. Udzielał nam także praktycznych porad, jak się obchodzić z pszczołami i z sadem.

Matka Włodzimierza, Hanna Ołeksandrówna, pochodziła z Połtawy. Była smagła, czarnooka, przystojna, знаła stare ukraińskie pieśni. Na prośbę uczonego nie raz chętnie śpiewała, a Dmytro Iwanowicz zapisywał słowa i melodię pieśni. Pewnego razu Jawornicki przyniósł z muzeum kobiecy strój ukraiński, noszony na Połtawszczyźnie, i poprosił Hannę Ołeksandrównę, aby

go włożyła. Gospodyni przebrała się, przystroiła i wyglądała jak kwiatusek.

— A tańczyć umiecie?

— A jakże, nie zapomniałam, umiem!

— No, to proszę spróbować ukraińskiego hopaczka. I harmonista gdzieś się znalazł, zagrał hopaka.

Tupnęła Hanna Ołeksandrówna obcasami o ziemię i zakręciła się jak wicher dokoła poważnego gościa.

Profesor zrobił jej zdjęcie i posłał Riepinowi do jakiegoś obrazu.

Nieco później na koszt i według wskazówek Dmytra Iwanowicza sprawiono małemu Wołodi ukraińskie ubranie: czerwone buty z podkówkami, szerokie szarawary kozackie, wyszywaną koszulę i siwą czapkę barankową z czerwonym denkiem, a do tego kaszmirowy pas. Kiedy tak Wołodię przebrano, przybył z fotografem Jawornicki i sfotografowano chłopca w różnych pozach. Fotografie te Jawornicki także posłał Riepinowi.

Zwiedzając pewnego razu zaporoski dział muzeum stary sąsiad zapytał Dmytra Iwanowicza:

— Co to jest za sztandar? Gdzie go pan zdobył?

— Zaporoski, Kozacze kochany, ale to kopia. Oryginał sztandaru znajduje się w Leningradzie, w Ermitażu.

— A czy nie można tutaj przywieźć oryginału?

— Ano, chciałem dopaść tego sztandaru, ale mi go nie dano. Posłałem nawet Ermitażowi parę dubletów z naszych zbiorów archeologicznych, ale i to się na nic nie zdało. Musiałem się zgodzić na kopię, na dodatek zaś wzięłem od nich parę zaporoskich pistoletów, szabli i jeszcze coś niecoś.

Dmytro Iwanowicz przyprowadził gościa do gabloty i pokazał mu ciekawe znalezisko, wydobyte z rozkopanego grobowca — brązowe lustro z rękojeścią. Lu-





*Sztandar zaporoski*

sterko było dobrze zachowane, chociaż przeleżało tysiąclecia w ziemi. Archeolog dumny był z niego i chętnie opowiadał, jak usiłowano mu zabrać to lusterko do Petersburga.

— Urzędnicy z ministerstwa oświaty jakoś tam się dowiedzieli, że wykopałem to lusterko. Przyszło pismo, aby w celu obejrzenia natychmiast wysłać lusterko z brązu do Petersburga. Co tu począć? Myślę sobie: „Jeżeli wyślę, to je tak potem zobaczę jak własne ucho”. Ale odmówić władzy także nie mogę. Wołam dozorcę i mówię: „Masz tutaj, Iwanie, trzydzieści kopiejek, idź na rynek i kup mi stare wiadro”. No i na jutro posłałem do ministerstwa zardzewiałe dno tego wiadra. I cóż wy myślicie, na piąty dzień zwrócono mi przesyłkę z pisemkiem od ministerialnych urzędników: „Zwracamy jako nieprzydatne”.

Jawornicki nie zapomniał o dobrych sąsiadach nawet w ostatnich chwilach swego życia.

Na dzień przed śmiercią posłał pomocnicę domową Kalerynę do Podołynnego z prośbą o prędkie przybycie.

— Witam, Dmytrze Iwanowiczu! — ukłonił się z szacunkiem sąsiad.

— A, to wy, Łarywonie Omelanowiczu! Dobrze, żeście przyszli... A ja już umieram... Pożegnajmy się... I powiedzcie, aby zaszli do mnie Hanna Ołeksandrówna i Wołodia, trzeba się z nimi pożegnać, bo się już nigdy nie zobaczymy...

Nazajutrz nie było już Dmytra Iwanowicza wśród żywych.

## DRUGIE MUZEUM

Z inicjatywy wybitnego uczonego-chemika Ł. W. Piarszewskiego, w przededniu Rewolucji Październikowej grupa profesorów i wykładowców postawiła sobie za cel zorganizować w Katerynosławiu wyższe kursy żeńskie. Członkiem tej grupy był także Jawornicki. Inicjatywę wywołało polecenie carskiego ministra Kasso, aby ze wszystkich uniwersytetów usunąć kobiety. W ten sposób zostały pozbawione możliwości studiowania.

Zespół inicjatorów dołożył niemało starań, by dobrać wykładowców, opracować plany i programy nauczania. Kursy żeńskie miały dać kobietom wykształcenie takie, jakie dawały wyższe uczelnie. Zdawało się, że wszystko idzie jak najlepiej, gdy jednak wysunęła się sprawa funduszków, organizatorzy ujrzeni się w położeniu bez wyjścia.

Wyjście znalazł profesor Jawornicki. Zwrócił się do M. Łebediewa, który potem został dyrektorem żeńskich kursów:

— Chodźmy do Kopyłowa, ten ma pieniędzy jak ło-  
du. Spróbuję przemówić do niego, by trochę potrząsnął  
sakiewką.

Kopyłow był to milioner katerynosławski. Przed laty  
przyszedł na piechotę do Katerynosławia z Kapulówki,  
wioski położonej naprzeciwko wyspy, na której kiedyś  
była Sicz Czortomłycka. Pracował najpierw w sklepie  
spożywczym jako chłopiec na posyłki, a kiedy dorósł,  
objawił nie byle jakie zdolności handlowe. Na Krzywo-  
rożu przeszły w jego ręce kopalnie rudy, koleje, wiel-  
kie młyny, zagarnął również wydawnictwo „codzien-  
nej, bezpartyjnej, postępowej” gazety „Naddnieprzań-  
ski Kraj”. Pieniądze rozrzucał na prawo i na lewo. Zda-  
rzało się, że wykupywał wszystkie bilety na przedsta-  
wienie, po to, aby na parterze zasiadła jego córka  
i przez cały wieczór artyści grali dla jednej osoby.

Postępowi działacze zwracali się nieraz do niego  
o pomoc materialną, on zaś wiedziony ambicją często  
dawał, nie zapominając również o własnej korzyści.  
Dmytro Iwanowicz umiał potrącić właściwą strunę  
w duszy takich groszorobów i wydostać pieniądze to  
na wyposażenie muzeum, to na wykopaliska, to na wy-  
danie potrzebnej literatury.

Obydwaj profesorowie weszli do urządzonego z prze-  
pychem gabinetu.

— Przychodzimy do pana w niezwykle doniosłej  
sprawie — rozpoczął Dmytro Iwanowicz. Chcemy otwo-  
rzyć żeńskie kursy, bo dziewczęta są usuwane z uni-  
wersytetów, a tymczasem pomiędzy nimi jest dużo zdol-  
nych. Jak pan sam widzi, myśl jest zacna, ale fundu-  
szów nie mamy.

— Ach tak! — mruknął gospodarz. — Myślałem, że  
chodzi panom o jakąś naprawdę poważną sprawę, na  
przykład o budowę mostu lub kopalni.

Ale Dmytro Iwanowicz się nie cofał.

— Proszę mi wybaczyć, ale czy trzeba panu, człowiekowi mądrymu i zasobnemu, tłumaczyć, że człowiek, jego kultura i oświata to coś cenniejszego aniżeli most czy kopalnia? Czemuż to Chriennikow tak bardzo zabiegał o wydanie oryginałów pism naszego wielkiego Kobziarza? A co Pol zrobił dla ludzi, czy nie podarował im tego, co najbardziej sobie cenił — muzeum? Czy wypada panu pozostawać w tyle?

Kopyłow kręcił się na krześle, marszczył czoło, a wreszcie spytał o kosztorys i przyrzekł dać pieniądze.

— Ale pamiętajcie — rzekł na pożegnanie — moje pieniądze i moja sława. Bierzcie pieniądze i nie zapominajcie, kto je daje!

— Jestem pełen uznania — rzekł na ulicy Łebiediew do Jawornickiego. — Gdyby nie pan, nic by nie było z żeńskich kursów w Katerynosławiu.

Profesor Łebiediew o tej rozmowie Jawornickiego z Kopyłowem opowiedział profesorowi Reinhardowi z Charkowa, do którego zwrócono się, by wykładał na kursach zoologię.

— Jak można się zobaczyć z Jawornickim? — spytał od razu Reinhard. — Dużo o nim słyszałem, a nie miałem okazji się spotkać.

— Proszę wstąpić do muzeum, zawsze tam jest. Muzeum jest mu bliższe niż własny dom.

Profesor Reinhard uważał sobie za zaszczyt złożyć wizytę Jawornickiemu. W najbliższym czasie udał się do muzeum. Dyrektor powitał go serdecznie i swoim obyczajem sam oprowadził go po salach, chcąc mu pokazać swoje skarby.

Dowiedziawszy się, że gość jest zoologiem, Dmytro Iwanowicz zaprowadził go do działu ekologicznego, gdzie znajdowały się okazy flory i fauny miejscowej.

Oglądając ten dział, stworzony z inicjatywy Dmytra

Iwanowicza, Reinhard przekonał się, jak rozległe były zainteresowania tego historyka. Ciekawiły go nie tylko dzieje narodu, ale także zwierzęta, rośliny i ptaki ojczyztego kraju. Chciał także wiedzieć, jaki ma wpływ przyroda Ukrainy na człowieka, na jego sposób myślenia, na wyobraźnię, pieśni ludowe, opowiadania, podania.

Zoolog dowiedział się z przyjemnością, że nim jeszcze przybył do Katerynosławia, znalazł się tutaj człowiek, który pomyślał o stworzeniu w muzeum działu ekologicznego.

— A to kierownik działu, Mykoła Iwanowicz Podosynnykow — przedstawił Jawornicki — człowiek o złotych rękach. Proszę spojrzeć, ile tu wypchanych zwierząt, wszystko to jego praca. Długo musiałem szukać kogoś takiego, aż wreszcie natrafiłem.

Zamierzając utworzyć w muzeum działu flory i fauny, Jawornicki obszedł wszystkich niemal przyrodników i myśliwych w mieście. Udało mu się wreszcie znaleźć wyjątkowego znawcę przyrody i zarazem mistrza w preparowaniu zwierząt i ptaków.

Podosynnykow miał ciekawy życiorys. Jako słuchacz drugiego kursu charkowskiego Instytutu Technologicznego, został usunięty z uczelni za udział w strajkach. Zdobył jednak później wykształcenie przyrodnicze, co mu pozwoliło zostać nauczycielem przyrody w gimnazjum i w szkole realnej.

Znajomość z Dmytrem Iwanowiczem otworzyła przed nim nowe perspektywy.

— Niech pan porzuci swoją belferkę i przeniesie się do mnie do muzeum. Tutaj może pan dokonać czegoś, co uwieczni pańskie nazwisko. Zgoda? Otrzyma pan pracownię z całym wyposażeniem. Reszta należy do pana. Proszę nie tracić czasu i zaraz zabrać się do pracy.

Podosynnykow sam zdejmował skórki z zabitych ptaków i zwierząt i wypychał je, sam sporządzał rysunki do gablot. Kunsztownie wykonał sto dwadzieścia gablot, wypchał siedemset ssaków, i ptaków, wykonał ponad tysiąc makiet mięczaków.

Reinhard miał okazję podziwiać również zbiory paleontologiczne.

Najbardziej interesujący był komplet kości mamuta, dalej czaszka tura, a także wypchany wąż położony trzymetrowej długości.

— Ten wąż ma swoją historię — zauważył z uśmiechem Dmytro Iwanowicz. Do policmajstra w Katerynosławiu doszły słuchy, że pod miastem pojawił się potwór, który... pożera ludzi. Wiadomość ta zaalarmowała władze. Bezwzględnie zorganizowano całą wyprawę stróżów porządku i rzucono ich na poszukiwanie „straszliwego smoka”. Szukano tego zbereźnika w ciągu trzech dni, nareszcie znaleziono i wspólnym wysiłkiem chwackich stójkowych zatłuczono. Ale tego samego dnia „zwrócił się do policji administrator zwierzyńca, prosząc o pomoc w odnalezieniu rzadkiego okazu, który przed paru dniami uciekł mu z klatki.

„O, niech pan będzie spokojny” — mitygował policmajster. — Myśmy go już zabili.

„Jak to zabili?” — przeraził się administrator. — To spokojne stworzenie, nikomu nie robi krzywdy.

„Tak się panu zdaje, a nas tymczasem doszły wiadomości, że smok pożera ludzi. Nie mieliśmy czasu dociekać, zjadł kogo czy też nie zjadł, dobiliśmy salwą i baśta. Złożyliśmy już nawet meldunek zwierzchności” — z dumą oświadczył policmajster.

Gdy dowiedziałem się o zabiciu węża, zwróciłem się do policmajstra:

„Żle się stało, że zabiliście węża, bo to było nieszkodliwe stworzenie. Administrator zwierzyńca chce zło-

żyć skargę do gubernatora. Może z tego być wielka przykrość”.

„Cóż tu zrobić?” — pyta speszony policmajster.

„Porozmawiam z gubernatorem, a pan niechaj zawczasu każe wypchać skórę zabitego węża i przekazać ją do muzeum”.

I w dwa dni później na wystawie w muzeum ukazał się wypchany ogromny połów.

W roku 1918 na bazie Wyższych Kursów Żeńskich otwarto w Katerynosławiu uniwersytet o czterech wydziałach: historyczno-filologicznym, prawnym, medycznym i matematycznym.

Jego pierwszym rektorem został profesor Łebediew, a Jawornickiemu powierzono wykłady z historii Ukrainy. Uniwersytet istniał do roku 1920, kiedy to przemianowano go na Instytut Oświaty Ludowej. W 1933 roku znowu utworzono tutaj uniwersytet.

Jawornicki i Reinhard byli członkami Ogólnoukraińskiego Komitetu Ochrony Zabytków. Wielką ich ilość zarejestrowali i uchronili przed zniszczeniem. Wyjeżdżali niejednokrotnie do dalekich wiosek i pouczali ludność, aby szanowała puszczynę historyczną.

Pewien nauczyciel z Kamiańskiego (obecnie Dnieprodzierżyńska) doniósł Jawornickiemu, że miejscowi wieśniacy znaleźli kości mamuta i używają ich na opał. Reinhard i Jawornicki natychmiast pojechali pociągiem i za godzinę byli na miejscu. Wstąpili do nauczyciela, potem zajrzeli do dołu, z którego wydobyto pozostałości mamuta. Część kości rzeczywiście była spalona, ale większość ocalała i znalezisko tegoż dnia zostało wysłane do muzeum.

Ponieważ przybywało eksponatów i w muzeum zaczęło się robić ciasno, Jawornicki zdecydował, by tymczasowo, zanim zbudowane zostanie nowe pomieszczenie, przekazać eksponaty działu ekologicznego

wydziałowi biologicznemu Uniwersytetu. Dziekanem wydziału był Reinhard i dyrektor muzeum wiedział, że eksponaty będą w dobrych rękach. Reinhard stworzył z nich następnie uniwersyteckie muzeum ekologiczne, w którym z czasem wyrosły dwa nowe działy: „zwierzęta przemysłowe” i „kącik miczurinowski”. Ostatnio muzeum wzbogaciło się o okazy fauny antarktycznej.

### „JECHAŁ KOZAK ZA DUNAJ”

Idąc kiedyś do parku im. Szewczenki zobaczyłem dwóch mężczyzn stojących na ganku domu, w którym mieszkał dawniej nieżyjący już wtedy Jawornicki. Zapytałem, dlaczego się tutaj zatrzymali.

Okazało się, że są to dawni przyjaciele Jawornickiego, artysta ludowy teatrów USSR Choroszun oraz klar-necista Sablin.

Usiedliśmy w parku na ławeczce i rozpoczęły się wspominki.

— W 1924 roku — powiedział Choroszun — w Zaporozżu, gdzie występował wtedy nasz teatr, wszedłem do rekwizytorni i tam wśród rupieci zauważyłem grubą starą księgę. Był to ręcznie pisany ewangeliarz z XVI wieku. Coś tam zapłaciłem i przywiozłem go do Jawornickiego.

„Zdaje mi się, że pan coś przywiózł? — zapytał gospodarz widząc w moim ręku pakunek. — Symol! — zawołał do żony — wyciągnęłaś nalewki i świeżych jabłuszek dała na stół dla gościa”.

Zobaczywszy księgę, Jawornicki włożył okulary, odwrócił kilka kartek i natychmiast zaniósł ją do drugiego pokoju, gdzie w gablotach leżały eksponaty. Po czym wrócił do mnie, ale już bez książki.

„Jak tam moja książka, Dmytrze Iwanowiczu?”





*Budynek, w którym mieszkał Jawornicki*

„Na co ona się panu przyda? Niechaj pobędzie u mnie...”

Uśmiechnął się Choroszun, bo wiedział, że dobrze trafił — księga podobała się Jawornickiemu, dostała się we właściwe ręce. Ewangeliarz pozostał w muzeum na zawsze.

Ja zaś sobie przypomniałem, jak pewnego razu przyjechał do Dmytra Iwanowicza z Połtawszczyzny znany jego, chirurg Budaj, i przywiózł rarytas — „Historię Rusów, czyli Małorusi” Heorhija Konyskiego, wydaną w 1846 roku.

— Niech no pan spojrzy na tę książkę, Dmytrze Iwanowiczu!

Jawornicki pochwycił książkę, spojrzął na kartę tytułową i schował książkę za siebie, jakby się bał, że mu ją odbiorą.

— Ja ją sobie obejrzę, a pan niech do mnie zagląda...

Budaj zaglądał parę razy, ale rozmowa o książce ja-  
koś się urywała. Wreszcie Budaj spytał ostrożnie:

— Cóż tam porabia moja książka?

— A nic takiego, ma się dobrze. Już jej pan więcej  
nie zobaczy.

— A to dlaczego?

— Bo pańska książka pomnożyła nasze zbiory biblio-  
teczne. Taka rzecz bardzo nam się przydaje.

— I ja tak przypuszczałem, że już jej nie zobaczę.  
Może chociaż napiszę na niej, że ją daruję muzeum?  
Proszę mi ją dać, to napiszę.

Dmytro Iwanowicz czujnie spojrzął na Budaja.

— Niech pan napisze na tej kartce, a my to prze-  
niesiemy do książki.

Książka ta jest do dziś w muzeum, nosi numer inwen-  
tarzowy, ale napisu ofiarodawcy na niej nie ma...

W rozmowie brał udział klarncista Sablin. I on miał  
też co wspominać.

Przed wojną narodową Sablin należał do radiowego  
zespołu orkiestrowego w Dniepropietrowsku. Pewnego  
razu Dmytro Iwanowicz usłyszał przez radio, że waria-  
cje na temat *Jechał Kozak za Dunaj* z opery Hułak-Ar-  
temowskiego „Zaporożec za Dunajem” wykonuje soli-  
sta Sablin.

Podobało mu się to wykonanie. Zapamiętawszy na-  
zwisko klarncisty udał się niezadługo do radia i chciał  
zobaczyć „tego Szablę”, co wczoraj grał na klarncie  
*Jechał Kozak za Dunaj*. Powiedziano mu, że Sablin gra  
w zespole dętej orkiestry w parku im. Szewczenki.

Dmytro Iwanowicz lubił bardzo klasyczną muzykę  
Czajkowskiego, Chopina, Gounoda, ale szczególnie

przemawiały do niego utwory ukraińskich klasyków — Hułak-Artemowskiego, Łysenki, Łeontowicza, Stecenki, Rewuckiego. Prawie co wieczór słuchał ich utworów w parku, naprzeciwko swego domu.

Pewnego wieczoru usłyszał w parku zapowiedź: „Obecnie muzyk Sablin wykona solo z koncertu...”

Dmytro Iwanowicz podniósł się z krzesła i skierował się do estrady. W czasie antraktu odnalazł Sablina.

— Nareszcie pana odnalazłem. Nazywam się Jawornicki. Chciałbym z panem porozmawiać. Czy pan jest wolny?

Sablin się ucieszył. Dumny był, że zainteresował się nim znany historyk.

— Za jakieś czterdzieści minut, po skończeniu koncertu będę do usług.

Gdy tylko koncert dobiegł końca, Sablin stanął przed Jawornickim. Ten zaś rozpoczął tradycyjnym pytaniem:

— Proszę mi powiedzieć, skąd pan pochodzi?

— Urodziłem się w Mandrykówce.

— Tak... A wie pan, czemu to osiedle nazywa się Mandrykówka?

— Nie, nie wiem. Wdzięczny będę za wyjaśnienie.

— Bo tutaj, na brzegu Dniepru, osiadł w 1779 roku pierwszy osadnik, esauł<sup>70</sup> zaporoski, Andrij Mandryka.

Z zainteresowaniem wysłuchał Sablin jeszcze opowiadania, jak inny Zaporoziec, esauł pułkowy Łazar Hłoba przy pomocy dwóch innych, Mykyty Korża i Hnata Kapłuna, założył w Katerynosławiu wspaniałą ogród miejski. Rozciągał się on na przestrzeni osiemdziesięciu tysięcy pięciuset sążni kwadratowych i był jednym z najpiękniejszych na Ukrainie. Po śmierci Hłoby przeszedł na własność państwa. Grobowiec Hłoby znajduje się w parku im. Czkałowa.

— A czy nazwisko pańskie nie jest czasem przekręcone? — zainteresował się Dmytro Iwanowicz.

— Jakby to powiedzieć... Ojciec mój pisał się Szabla, ale kiedy odbywał służbę wojskową, stał się Sablinem. I tak już zostało.

— Tak i ja pomyślałem sobie. Okazuje się, że miałem rację, kiedy pana po raz pierwszy nazwałem Szablą. Mam do pana prośbę: proszę zabrać cały zespół orkiestrowy i przyjąć do mnie w gościnę — mieszkam na wprost parku.

W umówionym czasie muzycy stawili się nieco zaskoczeni tak niespodziewanym zaproszeniem.

Gościom rzuciły się od razu w oczy malowidła na ścianach bawialni. Sablin podszedł do jednego z obrazów i pyta:

— Dmytrze Iwanowiczu, co to za stary wążal siedzi przy wozie?

— A to czumak. Jedzie do Krymu po sól. Zdrożony podróżą, wyprzągnął woły i wypuścił je na pastwisko, a sam postanowił pokrzepić się trochę. Siadł sobie pod swoją mażarą <sup>71</sup>, wyciągnął rakę (gorzałkę), nalał do drewnianego czerpaczka, ale, jak widzicie, nie śpieszy się z wypiciem.

— Dlaczego to?

— A dlatego, że Ukrainiec nigdy się nie śpieszy do picia. Lubi przedtem powiedzieć coś żartobliwego, przyjemnego, a dopiero potem wychyli aż do dna, nie zostawi ani kropli. Na przykład postawi Zaporozec przed sobą flaszkę okowity i tak sam siebie pyta i sam sobie odpowiada:

„Ktoś ty?

„Okowita!”

„A z czegoś ty?”

„Z żyta!”

„A skądęś ty?”



*Zaporoska flaszka z okowitą*

„Z nieba!”

„A gdzie jedziesz?”

„Gdzie trzeba!”

„Masz bilet?”

„Nie wzięłam!”

„To marsz do więzienia!”

Zaporozcy mieli zwyczaj dawać zmarłemu do grobu gorzałkę. Jewdokija Tymofiejewa, mieszkanka Nikopola, opowiadała, że na własne oczy widziała, jak stary cmentarz nad Dnieprem, podmyty wodą, uległ zniszczeniu: ziemia obsuwała się do Dniepru, a razem z ziemią wpadały trumny kozackie. Znaleźli się wtedy ludzie chciwi cudzego dobra, którzy otwierali trumny, spodziewając się zdobyć pieniądze. Ale zamiast pieniędzy znajdowali wielkie szkielety z czubami włosów na głowie, mające w nogach zieloną flaszkę z gorzałką. Ten i ów złakomił się i skosztował. No i walił się jak snop na ziemię, bo zaporoska gorzałka była bardzo mocna.

Z zapartym tchem słuchali muzycy opowiadań Jawornickiego. Gdy poprosił, żeby mu zagrali, z całej duszy starali się mu wygodzić.

Sablin opowiadał dalej, jak wyprawiał Jawornickiego do Kijowa na sesję Akademii Nauk.

Było to chyba w 1935 roku. Jawornicki kończył już osiemdziesiątkę i zdrowie miał nieszczególne. W dalszą podróż nie puszczano go z domu. Ale tym razem uparł się, że pojedzie. Na dworcu w Kijowie mieli go powitać koledzy z Akademii, należało tylko ulokować go w pociągu na stacji w Katerynosławiu.

Sablin umieścił go w wygodnym przedziale, po czym zwrócił się do konduktora z prośbą:

— W tym przedziale jedzie patriarcha nauki, akademik Jawornicki, niech się pan nim zaopiekuje.

— Wszystko będzie dobrze, proszę się nie martwić.

W tym samym przedziale jechał akademik Dynnyk i inni uczeni. Podobno żaden z nich nie spał w drodze, kiedy Jawornicki opowiadał różne epizody z historii Siczy.

— Dmytrze Iwanowiczu, co to takiego była „słupna śmierć” u Zaporozców?

— Za zabicie towarzysza Zaporozcy natychmiast wbijali na pal winowajcę. To właśnie nazywało się „słupna śmierć”. Przed wbiciem na pal wszem wobec ogłaszano, czy nie znajdzie się dziewczyna, która zechce wyjść za mąż za słupnika. Jeśli się taka znalazła, zwalniano go od kaźni, wypędzając jedynie z Siczy. I pewnego razu zgłosiła się taka. Przyszła cała otulona w chusty. Słupnik poczuł, że coś nie jest w porządku. Zbliżył się do niej i rzecze: „Odsłońże się, niech cię zobaczę” Odsłoniła się tedy, a on widzi, że dropiata jak czerwcową zozula. „Miał się z tobą żenić — mówi słupnik — to już lepiej wić się na palu”. No i poszedł na stracenie.

Kiedy Dmytro Iwanowicz wracał z sesji, w Dniepietrowsku na peronie znowu czekał na niego Sablin.

— Jakże się pan czuł w podróży?

— Tak się mną opiekowano, wie pan, jak małym dzieckiem. Nie wiedziałem nawet, czy jestem w domu, czy w podróży. Po prostu „Jechał Kozak za Dunaj”.

#### PRZY DZWONIECKIM POROHU

Spośród miejscowych artystów najbliższym przyjacielem Jawornickiego był aktor teatru im. Szewczenki, Wołodymyr Patlań.

— Nie zapomnę — opowiadał — tych szczęśliwych godzin, kiedy miałem okazję spędzać czas wspólnie

z Dmytrem Iwanowiczem, płynąc z nim po dnipro-  
wych falach, jeść z jednego kociołka stepową kaszę  
jaglana, okrywać się tym samym kocem i słuchać jego  
niepowtarzalnych opowieści.

Po raz pierwszy Patlań zobaczył i usłyszał Dmytra  
Iwanowicza około 1925 roku podczas zwiedzania muze-  
um. Dyrektor, który tego dnia udzielał wyjaśnień, za-  
trzymywał się przed każdym eksponatem i z takim prze-  
jęciem opowiadał jego „życiorys”, że porwał wszy-  
stkich słuchaczy.

Młody aktor nie mógł się wstrzymać i zapytał jedne-  
go ze zwiedzających: „Proszę mi powiedzieć, kto to  
jest?” — „Nie wie pan? To Jawornicki” — brzmiała od-  
powieź.

Po raz drugi zobaczył go Patlań w rok później na  
brzegu Dniepru przy Dzwonieckim porohu. Spotkanie  
nastąpiło wieczorem przy ognisku. Gotowała się jusz-  
ka. Jawornicki siedział wśród locmanów i opowiadał  
o Siczy Zaporoskiej. Kiedy jeden z locmanów zaśpie-  
wał przy kobzie *Oj, pójdę ja ponad morzem*, Dmytro  
Iwanowicz od razu zapisał melodię pieśni.

Kiedy kobziarz zamilkł, Dmytro Iwanowicz zapytał:

— Siedzimy sobie przy Dzwonieckim porohu, a czy  
wiecie, czemu się tak nazywa? — i opowiedział cieka-  
we podanie.

Z rozkazu Katarzyny II przewożono Dnieprem na łó-  
dzi ogromny dzwon. Na porohu łódź uderzyła o skałę  
i dzwon zatonął. Powiadają, że kto da nurka i nadsta-  
wi ucha, usłyszy głos dzwonu. Dlatego właśnie poroh  
ten nosi nazwę Dzwonieckiego.

Nieco później opowiadał jeszcze, jak Kozacy rozgro-  
mili Tatarów poniżej porohu Wownihowskiego.

— W nocy wpędzili ich do głębokiego jaru i tam  
wszystkich posiekali. Odtąd jar ten nazywa się „Ta-  
tarski”.



Następnie wspomniał Jawornicki swoją wyprawę do wsi Kamianki nad Dnieprem.

— Spotkałem tam starego sadownika Herasymenkę. Wybraliśmy sobie rozłożystą jabłoń i położyliśmy się na mięciutkiej trawie. Był to wyborny gawędziarz, który zachował w pamięci wiele zwyczajów i obyczajów zaporoskich.

„Tutaj, w Myłowej Bałce — opowiadał Herasymenko — była cerkiew zaporoska, i to jaka, trzciniowa! Na święto Matki Boskiej Orędowniczki Zaporozcy spływali do tej cerkwi jak woda. Każdy z czubem, przy szabli, w żupanie. Nam także, gdy byliśmy mali, przy ścinaniu włosów zostawiano nieduże oseledce. Nieraz bywało, jak się weźmiemy za czuby, to się ciągamy, aż nas kto nie rozdzieli albo czubów nam nie obetnie. A cóż to była za kraina! W rozlewiskach chowały się dziki po jakie dziesięć pudów, rzeki się roiły od ryb, ptactwo chmarami latało. A trawa — po pachy! Jak spadnie rosa, to mus portki zdejmować, bo się człowiek tak zachlapie, aż wstyd!”

Długo opowiadał Dmytro Iwanowicz o Herasymencie, juszka już nawet ostygła, a locmani siedzieli jak urzeczeni, myśląc o dawnych czasach... Gdy zaś zabrali się do juszki, Dmytro Iwanowicz nie przerwał gawędy.

— Wzdłuż całego Dniepru Kozacy mieli swoje wojsko dla obrony przed Tatarstwem. Stali Kozacy i przy Samarze, tam gdzie teraz jest Nowomoskowsk. Tam znajdowała się dziewiąta pałanka zaporoska. Na pamiątkę po niej wystawili tam cerkiew o dziewięciu baniach.

Po tej pierwszej znajomości przy Dzwonieckim porohu miał Patlań okazję jeszcze parę razy spotkać się z Dmytrem Iwanowiczem. Razem płynęli przez porohy do Zaporozża i w górę rzeki do Dniepropietrowska.

Był raz Patlań w mieszkaniu Dmytra Iwanowicza, kiedy tam grali bandurzyści. Dmytro Iwanowicz siedział z zamkniętymi oczami, słuchał pieśni, a myślami przebywał gdzieś daleko. Artysta spytał:

— Dmytrze Iwanowiczu, co pana tak pociąga w bandurze?

— Kozacze miły, bardzo kocham swój naród, duszę jego, jego muzykę. Dla mnie pieśń jest wszystkim: to jest przeszłość, terażniejszość i nawet przyszłość naszego narodu. Jest wiecznie żywa, nieśmiertelna. Pamięta pan Szewczenkę: „Nasza дума, наша пісня не умре, не згинє, в неї то людиє, наша слава, слава України”.

Po raz ostatni Patlań widział się z Jawornickim podczas swoich występów teatralnych w Kijowie w 1938 roku. Spotkali się na Chreszczatyku i Jawornicki poprosił Patłania, aby go odprowadził do siedziby Akademii Nauk na ulicę Wołodymyrską. Wspominali po drodze wieczór na Dzwonieckim porożu, spalonych słońcem, wesołych locmanów dniewprowych, ryczące poroży.

— Ach, gdybyż móc się tam wybrać raz jeszcze! — westchnął Jawornicki. — Ale zdaje się, że już nie da rady...

## CZARODZIEJ SŁOWA

Na regionalnej naradzie pisarzy w Dniepropietrowsku autor poznał się ze skromnym, szczupłym, trochę pochylonym starszym mężczyzną. Był to lekarz z Dnieprodzierżyńska, Ołeksza Kowałenko, liczący sobie już ponad osiemdziesiątkę, ale jeszcze ruchliwy, pełen werwy, obdarzony dobrą pamięcią. Niedawno ujrzała światło dzienne niewielka książeczka — jego wier-

szowany przekład na język ukraiński „Słowa o pułku Igora”<sup>72</sup>.

Pięćdziesiąt lat życia poświęcił Kowałenko ochronie zdrowia ludzkiego, a czterdzieści z nich tłumaczeniu „Słowa” na język ukraiński. Znał on dobrze Jawornickiego.

— Miałem sposobność słuchać jego wykładów z archeologii — opowiadał Kowałenko — jakie prowadził dla nauczycieli. Bywałem u niego w domu i w muzeum. Dostarczałem mu zapisane przeze mnie pieśni ludowe, podania, pojedyncze wyrazy. Co więcej, w 1905 roku ukrywałem się u niego przed żandarmami.

Kowałenko po raz pierwszy zobaczył Jawornickiego jeszcze w 1903 roku na kursach oświatowych, które organizowali wykładowcy uczelni katerynosławskich, w czasie wakacji. Dmytro Iwanowicz miał tam cykl wykładów z archeologii. Sławny był wtedy już nie tylko na Ukrainie, ale także daleko poza jej granicami.

Dmytro Iwanowicz rozpoczął od pieśni:

Hej, w polu mogiła  
Z wiatrem rozmawiała:  
Owiejże mnie, szumny wietrze,  
Żebym nie czerniała,  
Żebym nie czerniała,  
Żebym nie marniała,  
Żeby na mnie trawa rosła  
I zazieleniała...

Taki niecodzienny wstęp od razu przykuł uwagę słuchaczy.

A wykładowca ciągnął dalej:

— Sądźcie państwo, że mogiła nie może mówić, że przytoczony fragment to zwrot poetycki, wytwór fantazji ludu ukraińskiego. I ja tak sądziłem. Ale napra-

wdę jest inaczej. Mogiła może rozmawiać nie tylko z wiatrem, ale także z człowiekiem, byleśmy rozumieli jej mowę. Dodać trzeba, że to mowa kryształowo czysta, prawdziwa... O przeszłości naszego kraju dowiadujemy się ze źródeł pisanych — kronik, pamiętników, a także ze wszystkich podań, pieśni, ale zawartość tych źródeł może być nie dość obiektywna, jako że jest zależna od osobistych skłonności autora, od nastrojów, metod oceny itd. A mogiła nie zdradzi, nie oszuka, przechowuje wszystko, co przyjęła na przechowanie. Udowodni dokumentami materialnymi, archeologicznymi, co za człowiek tutaj leży, z jakiego plemienia, jakie miał upodobania, powie o jego sposobie bycia, o zwyczajach, religii, o sztuce, o sąsiadach..

Dmytro Iwanowicz mówił językiem prostym i łatwym, bez gestykulacji, ale słowa jego głęboko zapadały w serca słuchaczy.

Niejednokrotnie mówiliśmy między sobą, jakby to było dobrze utrwalić jego opowiadania na płycie gramofonowej, jaka wspaniała pamiątka pozostałaby dla następnych pokoleń — i dla pracowników muzeum, i dla zwiedzających.

W pamięci Kowałenki utrwaliła się najbardziej uroczystość z 1913 roku — obchód trzydziestolecia pracy literacko-naukowej profesora. Wygłoszono wtedy szereg przemówień, w których podnoszono zasługi jubilatą jako archeologa, pisarza, historyka, serdecznego, towarzyskiego człowieka, organizatora muzeum, zbieracza zabytków kultury duchowej i materialnej narodu ukraińskiego. Kiedy przemówienia dobiegły końca, głos zabrał jubilat:

— Wysłuchałem wszystkich waszych przemówień — powiedział — i tak sobie myślę: nie ma w świecie lepszego człowieka niż ten Dmytro Iwanowicz. Jaki on dobry, zdolny, rozumny! Jakby to dobrze było na zie-

mi, gdyby wszyscy ludzie byli tacy jak Dmytro Iwanowicz!... Ale ja sam, patrząc na swój dorobek na niwie ojczyźnej, na wszystkie jego dziedziny, powiem wam uczciwie: Jawornicki jako pisarz — niewart dobrego słowa; jako archeolog — nic szczególnego; jako człowiek — powinien by być o wiele lepszy; jako historyk — nienadzwyczajny; jako zbieracz materiału archeologicznego, a przede wszystkim folkloru — na tym polu zrobiłem rzeczywiście sporo. Ale nie mnie jednemu należą się słowa uznania. W tej dziedzinie ogromną pracę wykonało mnóstwo ludzi — nauczyciele, lekarze, felczerzy, pracownicy różnych placówek, studenci i inni. Jestem im niezmiernie wdzięczny za ich bezinteresowny, szlachetny wysiłek, za pracę bez przymusu, szczerą i dobrowolną. Tutaj właśnie należy im się wdzięczne wspomnienie, podzięką za pomoc w zbieraniu skarbów kultury materialnej, a przede wszystkim duchowej. Trzeba również dodać, że czerpano ze źródeł pierwotnych, z nie naruszonych pokładów etnograficznych, gdzie te skarby zachowały się w autentycznej, pierwotnej krasie.

Parę słów o moich pracach historycznych. Leżał przede mną nie napoczęty ugór, a oraczy prawie nie było. Pisałem, orałem ten ugór, jak umiałem. Dużo w mojej pracy błędów, wiem jednak, że po mnie staną na tym polu inni oracze, narzędzia mieć będą nowe, lepsze i orać będą bez błędów, a mnie nie osądzą zbyt surowo, a może nawet złożą słowa podziękii...

#### PRZY DOSTOJNYM GROBIE

Dozorca muzeum rozejrzał się po podwórzu i chciał już wrócić do mieszkania, gdy zauważył, że przy grobowcu Jawornickiego klęczy jakaś postać.

Okazało się, że jest to sześćdziesięcioletni inżynier fizyk Korsunowski, który kiedyś mieszkał w Dniepropietrowsku, później ze względów zdrowotnych przeniósł się na Krym, a teraz przyjechał złożyć hołd zmarłemu.

W pamięci Korsunowskiego zachowało się wiele ciekawych szczegółów z życia Jawornickiego.

W roku 1918 wpadła mu w ręce (mieszkał wtedy we wsi Kowpakówce pow. nowomoskiewskiego), książka Jawornickiego „Śladami Zaporozców”. Zaczął ją czytać — i nie mógł się od niej oderwać.

Od miejscowego nauczyciela dowiedział się, że autor żyje i jest w Katerynosławiu dyrektorem muzeum historycznego.

Po upływie trzech lat Korsunowski został studentem Instytutu Oświaty Ludowej. Tam zobaczył Jawornickiego. I chociaż młody człowiek studiował fizykę, poszedł na jego wykład. Nazajutrz udał się do muzeum, odszukał dyrektora i zaczął go wypytywać o historię eksponatów.

Podobał się Jawornickiemu dociekliwy młodzieniec.

— Czy zna pan dobrze język ukraiński? — spytał go.

— Sądzę, że tak.

— Ma pan tu kartkę papieru, proszę cokolwiek napisać, no choćby skreślić wrażenia z muzeum.

Korsunowski usiadł przy stole i napisał kilka wierszy. Jawornicki przebiegł pismo wzrokiem, uśmiechnął się z zadowoleniem i powiedział:

— Chcę teraz pana o coś poprosić. Czy może pan mi pomóc w przepisywaniu słownika? Ma pan czas?

— A czemuż by nie, dopomogę panu!

Dmytro Iwanowicz zaprosił młodego człowieka do domu, zdjął z półki stos zapisanych kartek i położył przed nim.



*Popiersie D. Jawornickiego i obraz „Zaporożcy ruszają na wyprawę” (malarz nieznany)*

— Oto mój największy skarb. Tak się złożyło, że zacząłem od rozkopywania grobowców. Powinienem był jednak zaczynać nie od mogił, ale od tych pereł ludowej mądrości. Przecież język ludzki to największe bogactwo. Żałuję nieraz i nie mogę sobie darować, że tak późno zabrałem się do tej pracy. Gdybym się tego chwycił wcześniej, dawno już miałbym gotowy słownik języka ukraińskiego. Dopędzam teraz, ale wydaje mi się, że już nie zdążę nadrobić zaległości. Widzi pan, jakie stopy zebrałem! A końca jeszcze nie widać. Proszę sobie wyobrazić, ile jeszcze skarbów nieśmiertelnej ludowej mądrości jest do zebrania! A życie nie czeka, trzeba się śpieszyć...

Młody pomocnik zabrał się do przepisywania słownika i pracował nad tym przez prawie siedem lat.

Dmytro Iwanowicz był wesołym i dowcipnym rozmówcą. Wieczorami opowiadał coś z własnego życia. Gdy miał szczególnie dobry nastrój, mistrzowsko odtwarzał postaci cara, ministra, uradnika, popa — typy ludzkie, z którymi zdarzało mu się spotkać w życiu.

## TA ŚCIEŻKA NIE ZAROŚNIE TRAWĄ

Za swoje ofiarne życie, za niestrudzone wysiłki w zbieraniu skarbów zamierzchłej przeszłości akademik Jawornicki zdobył sobie zasłużony szacunek i miłość narodu.

Już w roku 1929 w rejonie wełykochortyckim na Zaporozżu powstała nowa wieś o nazwie „Jawornickie”. Autor niniejszej książki zainteresował się jej historią. Mieszka tam teraz sześćdziesiąt rodzin. Podczas wyprawy archeologicznej na tereny Dnieprogesu niektórzy z jej mieszkańców współpracowali z Jawornickim. W związku z tym postanowili nazwać imieniem





Gabinet D. Jawornickiego, ściana z obrazami — I. Riepina „Zaporozcy piszący list do sułtana” oraz portretami: Riepina (u góry pośrodku), Kropywnickiego (z lewej), Łysenki (z prawej), Hilarowskiego (u dołu)

uczonego swoją nową wioskę, przeniesioną tutaj z zatopionego terenu. Wielu starszych mieszkańców do dzisiaj mile wspomina Dmytra Iwanowicza.

W 1940 roku dekretem Prezydium Naczelnej Rady USRR nadano imię Jawornickiego muzeum historycznemu w Dniepropietrowsku i zapowiedziano postawienie pomnika na grobie uczonego. W domu, gdzie pracował i mieszkał, zorganizowano filię biblioteki muzeum, do której weszło kilka tysięcy książek z księgozbioru uczonego. W salach pozostawiono obrazy, dawne stroje, materiały archiwalne Jawornickiego. Pracownicy muzeum studiowali korespondencję Dmytra Iwanowicza i uporządkowali bogate archiwum.

W 1964 roku nastąpiło uroczyste otwarcie pamiątkowego pokoju-muzeum profesora.

Przy drzwiach domu, który kiedyś był celem ludzi zdążających tu z całej Ukrainy, widnieją teraz dwie tablice. Jedna głosi, że tutaj się znajduje sala pamiątkowa Jawornickiego, a na białym marmurze drugiej widnieją złote litery: *Tutaj żył i pracował od 1905 do 1940 roku wybitny uczonec, akademik Dmytro Iwanowicz Jawornicki (1855—1940).*

Pracownicy muzeum z pietyzmem zebrali materiały z życia oraz działalności naukowej i społecznej Jawornickiego. W jego gabinecie wszystko zachowane zostało w postaci takiej, jak za życia uczonego. W sali pamiątkowej wystawiono oryginały dokumentów i prace naukowe, które charakteryzują go jako wybitnego badacza dziejów kozaczyzny zaporoskiej, archeologa, folklorystę, etnografa, leksykografa, literata i postępowego działacza.

W gablotach leżą jego dyplomy, drukowane prace, fotografie i portrety działaczy kultury, z którymi utrzymywał stosunki. Na ścianach obrazy, wśród nich dwa portrety hetmanów: Samojłowicza i Połubotka. Wśród

dokumentów afisze i programy wystąpień w różnych miastach Ukrainy oraz ponad pięć tysięcy listów do Jawornickiego, pisanych przez literatów, artystów, historyków, malarzy, etnografów.

W ciągu krótkiego czasu pokój-muzeum odwiedziło tysiące uczonych, a w księdze pamiątkowej znalazło się dużo serdecznych wyrazów czci i uznania.

Domostwo starego historyka znowu żyje. Przychodzą tutaj starzy i młodzi, wszyscy, którzy miłują swój naród, szanują jego przeszłość, żyją jego teraźniejszością i myślą o jego przyszłości.



## OBJAŚNIENIA

- <sup>1</sup> **diak** — psalmista, śpiewak cerkiewny, zakrystian.
- <sup>2</sup> **Taras Szewczenko** (1814—1861) — ukraiński poeta i malarz, twórca nowoczesnej literatury ukraińskiej; rewolucyjny demokrat, z pochodzenia chłop pańszczyźniany.
- <sup>3</sup> **Sicz** — w XVI—XVIII w. warowny obóz Kozaków zaporoskich, zakładany na wyspach Dniepru (Chortyca, Tomakówka, Bazawłuk); w końcu XVII w. ustalił się na prawym brzegu Dniepru koło Nikopola; zburzony w 1209 r. na rozkaz Piotra Wielkiego, odbudowany w 1734 r. nad rzeczką Podpolna (tzw. Nowa Sicz), zlikwidowany ostatecznie przez Katarzynę II w 1775 r.
- <sup>4</sup> **separatyzm** — dążenie do oddzielenia się; dążenie grup narodowościowych do utworzenia własnego państwa.
- <sup>5</sup> **Ilja Riepin Jefimowicz** (Juchymowicz) (1844—1930) — najwybitniejszy przedstawiciel realizmu w malarstwie rosyjskim XIX—XX w.; **Władimir Stasow** (1824—1906) — rosyjski krytyk i historyk sztuki.
- <sup>6</sup> **Fiodor Korsz** (1843—1915) — profesor uniwersytetu moskiewskiego, filolog sławista i orientalista.
- <sup>7</sup> **prywat-docent** — habilitowany wykładowca uniwersytecki, nie pobierający w zasadzie wynagrodzenia.
- <sup>8</sup> **Roksolana** (ok: 1505—1561) — Ukrainka porwana w jasyr; wywierała wielki wpływ na męża, sułtana Sulejmana II Wspólnego.
- <sup>9</sup> **Chortyca** — skalista wyspa na Dnieprze, wchodząca w skład miasta Zaporozże, długości 12 km, szerokości 12,5 km
- <sup>10</sup> **Urząd Ziemski** (Ziemstwo) — rodzaj samorządu miejscowego (ziemskiego), wprowadzony przez carat w 1864 r. pod naciskiem ruchów rewolucyjnych w kraju; oprócz ziemiaństwa w Ziemstwie uczestniczyli przedstawiciele zamożnej burżuazji; do kompetencji Ziemstwa należały miejscowe sprawy gospodarcze
- <sup>11</sup> **synod** — ustanowiona w 1721 r. przez cara Piotra Wielkiego — w związku z likwidacją patriarchatu — najwyższa władza

w cerkwi prawosławnej w Rosji; działalność synodu podlegała kontroli świeckiej władzy — na czele synodu stał oberprokurator, osoba świecka

<sup>12</sup> e p a r c h i a — diecezja

<sup>13</sup> „A p o s t o ł” — tu: listy apostołskie, lekcjonarz

<sup>14</sup> a t a m a n — u Kozaków: naczelnik wojskowy, dowódca zbrojnego oddziału; atamani byli z początku wybieralni; w Siczy Zaporoskiej wykonawcą postanowień Rady był ataman koszowy (k o s z — warowny obóz Kozaków na Siczy Zaporoskiej; Polacy nazywali tak obóz w polu, otoczony wozami) bądź kurenioowy. Godność atamana utrzymała się do czasu zniesienia Siczy Zaporoskiej w 1775 r., później byli już tylko atamanowie „nakaźni” — z nakazu rządu

<sup>15</sup> t w i e r d z a K o d a c k a (Kudak) — dawna twierdza polska na prawym brzegu dolnego Dniepru

<sup>16</sup> p o r o h y — progi rzeczne, poprzeczne stopnie w korycie rzeczonym, nieraz tworzące wodospady

<sup>17</sup> c z a r n o s e c i n n y — określenie oznaczające skrajnie reakcyjną prawicę społeczną. Czarna Sotnia to nazwa nadawana najbardziej reakcyjnym monarchicznym organizacjom i kierunkom w Rosji w okresie rewolucji 1905—1907 i w latach reakcji 1907—1912, zwalczającym zaciekle ruch rewolucyjny; organizacje czernosecinne rozwiązano po rewolucji lutowej 1917 r.

<sup>18</sup> Ł e s i a U k r a i n k a, wł. Łarysa Kosacz-Kwitka (1871—1913) — wybitna poetka ukraińska, córka pisarki Ołeny Pczilki

<sup>19</sup> l i m a n — płytką zatoka morska, powstała na skutek odcięcia mierzeją wylotów dolin jarowych, zanurzonych w morzu (M. Czarne i Azowskie)

<sup>20</sup> s a m o p a ł — nazwa długiej ręcznej broni palnej, używana w XVI—XVII w. w Rosji, na Ukrainie i Białorusi

<sup>21</sup> w a t a ż k a — dawniej: dowódca Kozaków ukraińskich

<sup>22</sup> a r c h i m a n d r y t a — wysoka godność zakonna, opat

<sup>23</sup> a r s z y n — dawna rosyjska miara długości = 71 cm, dzielił się na 16 werszków; trzy arszyny stanowiły jeden sążeń

<sup>24</sup> u ł ũ s — jednostka mongolskiej organizacji rodowo-plemiennej (obozowisko, osada koczownicza); później: nazwa państw mongolskich podległych centralnej władzy

<sup>25</sup> j u s z k a — zupa rybna ze świeżej ryby

<sup>26</sup> s z e j t a n — szatan

<sup>27</sup> I w a n W y h o w s k i — hetman Ukrainy w latach 1657—1659, zawarł w 1658 w Hadziaczu umowę z Polską; na mocy tej umowy Ukraina powróciła pod zwierzchnictwo Polski

- Paweł Tetera-Morzkowski w czasie wojny 1648—1654 pisarz pułku Perejasławskiego, aktywny przy zawarciu ugody hadziackiej 1658 r., hetman Ukrainy prawobrzeżnej w latach 1663—1665
- <sup>28</sup> Iwan Samojłowicz — w latach 1672—1687 hetman Ukrainy lewobrzeżnej, w 1674—1681 także prawobrzeżnej; zmarł w 1690 r. w Tobolsku na wygnaniu, oskarżony przez starszyznę kozacką o zdradę cara
- <sup>29</sup> kureń — szałas lub zagroda na Ukrainie; u Kozaków zaporskich także osiedle, stanowiące jednocześnie jednostkę wojskową
- <sup>30</sup> czumacy trudnili się przewozem towarów, głównie soli, od Morza Czarnego, wozami zaprzężonymi w woły
- <sup>31</sup> pud = 40 funtów = 16,33 kg
- <sup>32</sup> nankin — gęste bawełniane płótno koloru żółtego, używane na ubrania letnie
- <sup>33</sup> nosogrzejka — fajka o krótkim cybuszku; buruńka — fajka z korzenia brzozy
- <sup>34</sup> połuszką — dawna moneta rosyjska =  $\frac{3}{4}$  kopiejki
- <sup>35</sup> paramenty — ubiory i sprzęty kościelne
- <sup>36</sup> archijerej — arcybiskup prawosławny
- <sup>37</sup> karbowaniec — rubel
- <sup>38</sup> posoch — laska, kostur
- <sup>39</sup> kobza — strunowy szarpany instrument muzyczny na Ukrainie
- <sup>40</sup> urładnik — niższy stopień policyjny w carskiej Rosji
- <sup>41</sup> Mykoła Łysenko (1842—1912) — kompozytor ukraiński, twórca stylu narodowego w muzyce ukraińskiej
- <sup>42</sup> Elżbieta (1709—1762) — carowa Rosji od 1741 r., córka Piotra Wielkiego
- <sup>43</sup> basztan — na czarnomorskich stepach ogród, w którym hodowano melony i kawony, tu: melony i kawony
- <sup>44</sup> bandura — wielostrunowy szarpany instrument muzyczny o szerokim gryfie
- <sup>45</sup> taczanka — lekki otwarty powóz do parokonnego zaprzęgu; podczas wojny domowej, wyposażona w karabin maszynowy, używana była przez kawalerię
- <sup>46</sup> machnowcy — anarchistyczne oddziały na Ukrainie w czasie wojny domowej; ich przywódcą był Nestor Machno (1884—1934)
- <sup>47</sup> do roku 1682 Piotr I formalnie dzielił władzę z bratem Iwanem; w okresie małoletności obu carów władzę sprawowała ich przyrodnia siostra Zofia

- <sup>48</sup> **cyboria** — naczynia liturgiczne w kościele chrześcijańskim
- <sup>49</sup> **„zieloni”** — luźne oddziały wojskowe, nie podporządkowane żadnej armii; również maruderzy oddziałów regularnych
- <sup>50</sup> **petlurowcy** — oddziały Semena Petlury (1877—1926), stojącego od 1918 r. na czele ukraińskiego rządu nacjonalistycznego; pokonany przez Armię Czerwoną w 1919 roku zawarł układ z Polską, w 1920 r. uczestniczył w wyprawie na Kijów
- <sup>51</sup> **Pantelejmon Kulisz** (1819—1897) — ukraiński historyk i pisarz
- <sup>52</sup> **rahela** — przyrząd do łapania raków
- <sup>53</sup> **wiersza (wersz)** — pleciony z łoży wąski okrągły koszyk o stożkowatym otworze wejściowym
- <sup>54</sup> **plachtą** — tu: tkanina owijana jako spódnica dokoła bioder
- <sup>55</sup> **mowa tu o Maksymie Zaliżniaku** (Żeleźniak), jednym z przywódców hajdamaków podczas „Koliszczyzny” w 1768 roku (ruchu powstańczego przeciwko szlachcie polskiej na Ukrainie prawobrzeżnej); bohater poematu Szewczenki: „Hajdamacy”
- <sup>56</sup> **Karmeluk, Karmaluk Ustym** (1787—1835) — rewolucjonista ukraiński, od r. 1813 do śmierci stał na czele powstań chłopskich na Ukrainie; dobytek zabierany panom oddawał biedakom; bohater wielu legend i pieśni oraz paru utworów literackich
- <sup>57</sup> **Danyło Apostoł** (1654—1734) — hetman lewobrzeżnej Ukrainy w latach 1727—1734
- <sup>58</sup> **sałama cha** — chosnek utarty ze słoniną i z chlebem, czasem z dodatkiem fasoli; sałama chą nazywano także zacierkę czy lemiuszkę z krup owsianych albo jęczmiennych
- <sup>59</sup> **papier herbowy** — używany do sporządzania dokumentów, specjalny papier z herbem państwa, w cenie którego zawierała się opłata stemplowa
- <sup>60</sup> **Mykoła Kostomarov** (1817—1885) — historyk, profesor uniwersytetu kijowskiego, a później petersburskiego
- <sup>61</sup> **apokryf** — pismo sfalszowane, nieautentyczne; utwór puszczony w obieg pod nazwiskiem nieżyjącego pisarza lub ogłoszony jako dokument dawnej twórczości
- <sup>62</sup> **osełedec** — u dawnych Zaporozców kosmyk włosów na czubku ogolonej głowy
- <sup>63</sup> **kobeniak, kopieniak** — luźny płaszcz, burka
- <sup>64</sup> **Taras Bulba** — tytułowy bohater opowiadania Gogola
- <sup>65</sup> **Konstantin Pobiedonoscew** (1827—1907) — reakcyjny polityk rosyjski



- <sup>66</sup> Mykoła Storożenko (1836—1906) — historyk literatur zachodnioeuropejskich
- <sup>67</sup> reforma pisowni dokonana po Rewolucji Październikowej znacznie ograniczyła używanie w piśmie znaków twardego i miękkiego
- <sup>68</sup> pałanka — ta część kosza, w której mieściła się kwatery atamana, kancelaria, skarb wojska oraz cerkiew
- <sup>69</sup> Hamalija — tytułowy bohater utworu Szewczenki
- <sup>70</sup> esauł — u Kozaków adiutant przy atamanie koszowym oraz szef służby porządkowej, bezpieczeństwa i zaopatrzenia
- <sup>71</sup> mażara — na południu Ukrainy długi wóz, zwykle zaprzężony w parę koni lub wołów
- <sup>72</sup> „Słowo o pułku Igora” — anonimowy poemat staroruski, opisujący wyprawę wojsk ruskich z 1185 r., pod wodzą ks. Igora Światosławicza, przeciw Połowcom

## SPIS FOTOGRAFII

- Fotografia D. Jawornickiego z lat młodości (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) str. 27
- Kubek atamana Sirki (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 39
- Fragment malowideł ściennych w mieszkaniu Jawornickiego — str. 45
- Atak jazdy zaporoskiej na obóz tatarski — rysunek (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) str. 49
- Portrety Zaporozców (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 57
- Obraz M. Strunykowa: „Zaporożec podchmielony” (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 77
- Rysunek bojowy Zaporozca (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 89
- Szabla, rusznice i prochownice (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 91
- Karafka zaporoska (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 95
- Zaporoska kobza (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 101
- Obraz M. Strunykowa „Zaporożec” oraz broń palna (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 109
- Sagan, prochownice i kałamarz (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 113
- Kobziarz Ostap Weresaj — str. 133
- Gabinet D. Jawornickiego w Muzeum Historycznym w Dniepropietrowsku — str. 141
- Fajki, czarki i butelki Kozaków zaporoskich (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 147
- Fajki kozackie (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 149
- Szabla i buzdygan (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 163

- Pistolety, rusznica i piernacz (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 163
- Kozak Mamaj (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 181
- Typ Zaporozca (z prywatnych zbiorów Iwana Honczara w Kijowie) — str. 187
- Szabla atamana koszowego J. Hładkiego (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 193
- Obraz I. Riepina: „Zaporozcy piszący list do sultana” — str. 200—201
- Zaporozcy na biwaku — malowidło ściennie w Muzeum Historycznym w Dniepropietrowsku — str. 213
- Obraz M. Strunnykowa: „Taras Bulba z synami” (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 223
- Portret A. Pola — str. 231
- Armaty zaporoskie (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 233
- Pistolety starszyny zaporoskiej (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 235
- Popiersie B. Chmielnickiego (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 237
- Ukraiński malarz M. Samokysz (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 239
- Obraz M. Samokysza: „Zaporozcy po zwycięstwie” (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 241
- Fronton Muzeum Historycznego w Dniepropietrowsku — str. 243
- Gabinet w mieszkaniu D. Jawornickiego — str. 247
- Portret D. Jawornickiego — mal. W. Rieszetnikow (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 259
- Sztandar zaporoski (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 267
- Budynek, w którym mieszkał Jawornicki — str. 275
- Zaporoska flaszka (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 279
- Popiersie Jawornickiego i obraz „Zaporozcy ruszają na wyprawę” (Muz. Hist. w Dniepropietrowsku) — str. 289
- Gabinet D. Jawornickiego — ściana z portretami: Riepina, Kropywnickiego, Łysenki, Hilarowskiego — str. 291

## SPIS RZECZY

<i>Wspomnienie zamiast przedmowy</i> . . . . .	5
Dopóki bije serce . . . . .	11
I tak się zaczęło . . . . .	26
Więzień sołowieckiego klasztoru . . . . .	29
Na grobie Sirki . . . . .	38
Legendarny rycerz . . . . .	43
Na szerokim stepie . . . . .	54
Ślepy Homer . . . . .	60
O diabłach ukraińskich . . . . .	69
Pielgrzymka do Siczy . . . . .	72
Na dwie kłódki . . . . .	84
Poszukiwacze skarbów . . . . .	87
Przepustka . . . . .	90
Koncert kobziarzy . . . . .	97
Jeszcze jeden znaleziony skarb — talent . . . . .	103
Osobliwe płótno . . . . .	107
Pod rozłożystym dębem . . . . .	108
Wesoły kącik na wystawie . . . . .	112
W sztabie u Machny . . . . .	115
Cudowne ikony . . . . .	120
Zaginiony posąg . . . . .	122
„Kobziarz” z autografem Szewczenki . . . . .	129
Gość z kobzą . . . . .	134
Sto tysięcy . . . . .	137
Szczerym sercem . . . . .	143
Skarby twórczości ludowej . . . . .	145
Niezamącone źródła . . . . .	148
Spór z dziedzicem . . . . .	159

Do muzeum — choćby spod ziemi . . . . .	162
W nieodpowiednich rękach . . . . .	169
Pieśni zapisane z pamięci . . . . .	174
Zaporoska skrzynia . . . . .	177
Odgłosy wieków . . . . .	180
Naprzeciwko Nienasytca . . . . .	184
Nie zaginie ród kozacki . . . . .	186
Szabla ostatniego kozowego . . . . .	192
Kolekcja w testamencie . . . . .	196
Jak powstał obraz „Zaporożcy” . . . . .	203
Hopak — taniec Zaporożców . . . . .	212
Spotkanie z Lwem Tołstojem . . . . .	215
U Łesi Ukrainki . . . . .	220
U źródeł opery „Taras Bulba” . . . . .	222
Z komisarzem ludowym na dniewprowych porohach . . . . .	224
Fundator muzeum . . . . .	229
Współpracownicy uczonego . . . . .	234
Na brzegu Samary . . . . .	236
W świątyni kultury . . . . .	241
Pamięć w ludziach i w drzewach... . . . .	244
Toast na drogę życia . . . . .	245
Historia pewnego zdjęcia . . . . .	250
Robotnik-artysta . . . . .	254
Z katedry płynie pieśń . . . . .	258
A to ci dziadek! . . . . .	262
Dobrzy sąsiedzi . . . . .	265
Drugie muzeum . . . . .	268
„Jechał Kozak za Dunaj” . . . . .	274
Przy Dzwonieckim porohu . . . . .	281
Czarodziej słowa . . . . .	284
Przy dostojnym grobie . . . . .	287
Ta ścieżka nie zarośnie trawą... . . . .	290
Objaśnienia . . . . .	295
Spis fotografii . . . . .	300

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”. Warszawa 1971. Wydanie I. Nakład 10 000 + 277 egz. Ark. wyd. 13,7. Ark. druk. A-1 — 15,39. Papier druk. sat. kl. V. 70 g, 82×104/32, Częstochowa. Oddano do składania 21 listopada 1970 r. Podpisano do druku i druk ukończono w kwietniu 1971 roku.

Zakłady Graficzne w Toruniu.

Zam. 2411. — D-13

Cena zł 18.-

